Nr. 1—3 STYCZEŃ — MARZEC 1937 Rok XII

TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ", POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI, ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW, KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW I WILEŃSKIEGO TOW. WALKI Z ALKOHOLIZMEM I INNYMI NAŁOGAMI „MENS"
pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Prenumerata z przesyłką: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna 1.50.
Ogłoszenia: 1 str. 100 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 35 zł., ⅛ str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł.
Konto pocztowe P. K. O. Nr. 270.
REDAKCJA: Warszawa, ul. Fałata 4 m. 1, tel. 843-04, godz. 18—19.
ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Obożna 4 m. 28, telef. 511-07.

TREŚĆ:

Cena zł. 1.50

T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI NARKOMANJAMI,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ",
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW
I WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
I INNYMI NAŁOGAMI „MENS".

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 1—3 STYCZEŃ — MARZEC 1937 Rok XII

WINO, JAKO CZYNNIK CHORÓB PSYCHICZNYCH.

Na łamach prasy specjalnej, poświęconej zagadnieniu walki z alkoholizmem, rozgorzała ostatnio dość ostra polemika w przedmiocie stwierdzenia, czy wino może być czynnikiem chorób psychicznych, między znanym psychjatrą włoskim, prof. *Amaldi*, dyrektorem szpitala psychjatrycznego we Florencji i docentem psychjatrji na uniwersytetach we Florencji i w Pizie z jednej strony, a p. *L. Douarche*, dyrektorem Międzynarodowego Urzędu do spraw wina (Office International du Vin) w Paryżu *), z drugiej.

Zanim przejdziemy do omówienia tej polemiki zupełnie nieoczekiwanej i niezrozumiałej dla wszystkich, którzy uważają sprawę szkodliwości nadmiernego spożywania wina dla życia psychicznego człowieka za niesporną i oddawna przesądzoną, pozwolimy sobie przytoczyć nieco liczb *z okresu przedwojennego*, który w opinji ludów europejskich uchodzi za okres normalny pod względem gospodarczym.

Za sprawdzian jedyny, jaki posiadamy dotąd, przyjąć możemy statystykę przyjęć chorych do szpitali psychjatrycznych i odsetek psychoz alkoholowych, t. j. wywołanych przez nadużycie alkoholu, wśród chorych, przyjmowanych corocznie do tych szpitali.

Dla porównania przytoczymy przedewszystkiem liczby, tyczące się krajów, których ludność w masie nie używa wina, ale *piwo* i *wódkę:* *)

W szpitalach psychjatrycznych *Królestwa Pruskiego* w r. 1911 liczono (na 100 przyjęć) psychoz alkoholowych:

wśród mężczyzn	— 26,29%
„ kobiet	— 3,01%

*) Revue Internationale Scientifique contre l'alcoolisme 1936 — No. 2, 3, 4—5.

*) *Chodźko W.:* „Stan opieki nad umysłowo chorymi w Królestwie Kongresowem w ostatnich latach okupacji rosyjskiej". 1918. (Księga pamiątkowa szpitala „Kochanówka").

W szpitalach psychjatrycznych *m. Berlina* w r. 1908 — 1909 odsetek psychoz alkoholowych wynosił:

w „Herzberge" — 30,62%
w „Dalldorf" — 30,20% (mężczyzn 40,54%
kobiet 3,84%)
w „Buch" — 16,36%
(w tym ostatnim szpitalu w r. 1907 — 21,38%).

W szpitalach psychjatrycznych *Szkocji* liczono w r. 1902:

w Morningside — 28% psychoz alkoholowych
w Gartloch — 37% „ „
w Woodilee — 20,4% „ „

W szpitalach psychjatrycznych *Anglji* w r. 1902:

w Claybury — psychoz alkoholowych wśród mężczyzn 14%, kobiet 9%
w Banstead „ „ „ „ 22%, „ 12%
w Hanwell „ „ „ „ 32%, „ 16%
w Heath „ „ „ „ 30%, „ 16%

Natomiast w szpitalach psychjatrycznych *Szwecji* odsetek psychoz alkoholowych w r. 1901 wynosił 4,85%.

W szpitalach psychjatrycznych *polskich* w dn. 1 stycznia 1911 r. odsetek psychoz alkoholowych był następujący:

w 22 szpitalach i zakładach Królestwa Kongresowego — przeciętnie 1,7%, a wśród nich:

w szpitalu Kochanówka pod Łodzią — 4,9%
„ św. Jana Bożego w Warszawie — 1,9%
„ Drewnica pod Warszawą — 2,4%
„ w Górze Kalwarji pod Warszawą — 1,9%
„ w Tworkach pod Warszawą — 0,4%

Największy odsetek psychoz alkoholowych stwierdzono w Kochanówce, co zapewne zależało od znacznej liczby niemieckich mieszkańców Łodzi, leczonych w tym szpitalu, wśród których pijaństwo było bardzo rozpowszechnione; natomiast w Tworkach, gdzie leczyła się wówczas w przeważającej liczbie polska ludność rolnicza, odsetek psychoz alkoholowych był najniższy.

Niedarmo *Kraepelin* w swojej „Psychjatrji" (wyd. VIII, tom 1) podkreśla, że „rasa germańska, na co już wskazują opowiadania Tacyta, wydaje się szczególniej skłonna do nadużywania alkoholu".

Podane wyżej liczby, zaczerpnięte ze statystyki szpitali psychjatrycznych krajów germańskich, zdają się potwierdzać opinję wielkiego psychjatry niemieckiego; chlubny wyjątek stanowi tu *Szwecja*, która na długo przed wojną światową systematycznie i wytrwale zwalczała alkoholizm.

Przejdźmy z kolei do liczb, wziętych z krajów, których ludność przeważnie używa *wina*.

W szpitalach i zakładach psychjatrycznych *m. Paryża* stwierdzono w r. 1902 następujący odsetek psychoz alkoholowych:

wśród mężczyzn — 32%, wśród kobiet — 10,47%.

W szpitalu psychjatrycznym Kantonu Vaud-Cery pod Lozanną *(Szwajcarja)* liczono:

w r. 1906 — psychoz alkoholowych	19,33%	(wśród	mężczyzn	26,15%
		„	kobiet	10,27%)
w r. 1907 — „ „	18,72%	„	mężczyzn	30,62%
		„	kobiet	10,72%)

W szpitalu *argentyńskim* — „Colonia Nacional de Alienados" w Lujan liczono:

w r. 1908 — psychoz alkoholowych 51,3%
w r. 1909 — „ „ 55,3%

Według pochodzenia skład chorych, leczonych w tym szpitalu w ciągu roku 1909 był następujący:

Argentyńczyków	— 27,7%
Włochów	— 41,0%
Hiszpanów	— 17,3%
Francuzów	— 4,7%

Porównanie liczb, powyżej podanych, a tyczących się obu grup krajów, zarówno krajów, których ludność spożywa przeważnie wódkę i piwo, jak i krajów o przeważającem spożyciu wina, wskazuje, iż pod względem wysokości odsetka zapadnięć na choroby psychiczne, kraje spożycia wina przed wojną światową nie tylko nie ustępowały krajom, spożywającym wódkę i piwo, ale naogół nawet je przewyższały.

*

* *

Jak wspomnieliśmy wyżej w początkach 1935 roku prof. *Amaldi*, psychjatra florencki, ogłosił pracę o psychozach alkoholowych we Włoszech i o roli wina w ich powstawaniu *).

Wnioski prof. *Amaldi* opierają się na następujących liczbach, wziętych, o ile idzie o statystykę spożycia wina, z urzędowego „Włoskiego Rocznika Statystycznego" (Annuario Statistico Italiario); liczby tyczące się psychoz alkoholowych obejmują wszystkie szpitale i zakłady psychjatryczne Królestwa Włoskiego i zostały uzyskane w drodze ankiety:

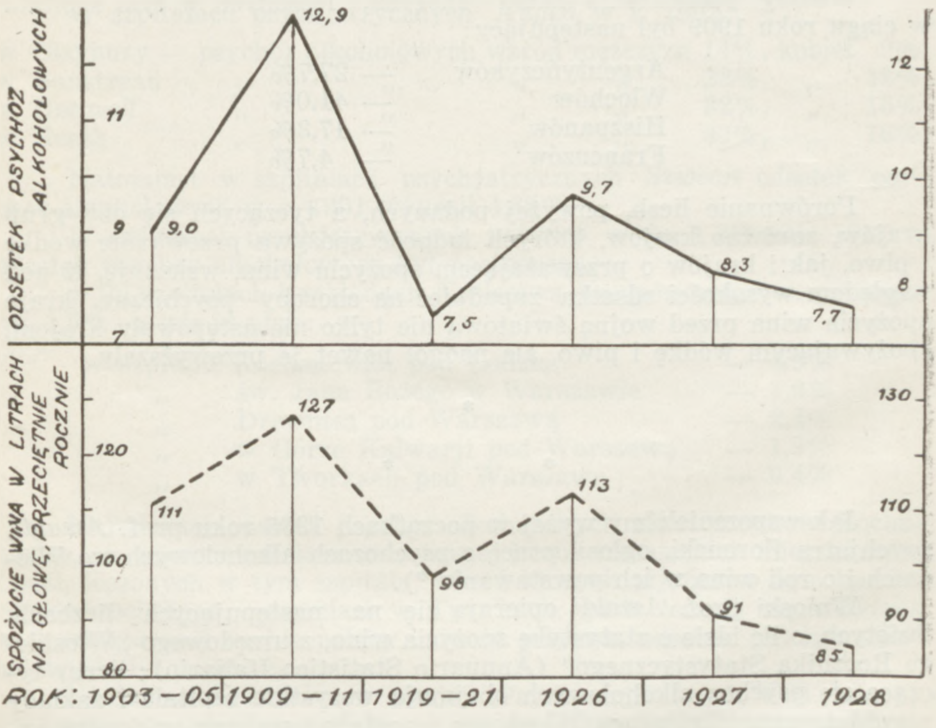
OKRES:	Przeciętny odsetek roczny psychoz alkoholowych w szpitalach włoskich:		Przeciętne roczne spożycie wina na głowę ludności:
r. 1903 — 1905 wł.	— 9%	(mężczyźni — 14,2%)	— 111 litrów
r. 1909 — 1911 wł.	— 12,9%	„ — 19,6%)	— 127 „
r. 1919 — 1921 wł.	— 7,5%	„ — 11%)	— 98 „
r. 1926 — 1928 wł.	— 8,5%	„ — 13,6%)	— 96 „

*) Forschungen zur Alkoholfrage — 1935 — No. 4—5.

ostatni okres według poszczególnych lat:
r. 1926 — 9,7% — 113 litrów
r. 1927 — 8,3% — 91 „
r. 1928 — 7,7% — 85 „

Poniżej podany wykres ilustruje liczby powyższe:
Wykres ten stanowi jaskrawe i dobitne potwierdzenie słów prof. *Amaldi:*

„Alkoholizm we Włoszech jest powodowany w przeważającej ilości przypadków i w przeważającej części kraju przez wino: rozwija się, wzmaga się i spada w stosunku prostym i prawie arytmetycznym do zakresu produkcji i spożycia wina“.



W polemice z p. *Douarche* podkreśla prof. *Amaldi* z właściwą Włochom żywością:

„Wątpić, że we Włoszech alkoholizm jest przedewszystkiem alkoholizmem, wywoływanym przez użycie wina, i że jego objawy typowe, jakimi są wyraźne psychozy alkoholowe, stoją w bezpośrednim i prawie arytmetycznym stosunku do rozmiarów produkcji i spożycia wina, równa się poprostu zaprzeczaniu, że słońce świeci“.

Opinje dyrektorów szpitali psychjatrycznych, położonych we francuskich i włoskich Kantonach Szwajcarji, a więc w Kantonach, których ludność pije przeważnie wino, są zgodne z tezą prof. *Amaldi* *).

---

*) Forschungen zur Alkoholfrage — 1936, zesz. 2.

Na tle wszystkich liczb, w pracy niniejszej podanych, twierdzenie prof. *Amaldi* uznać musimy za *całkowicie* i *bezspornie uzasadnione.*

Ostatnio wychodzące w Atenach czasopismo „Hygie“ rozesłało ankietę w sprawie wina i alkoholizmu do psychjatrów greckich; profesor psychjatrji uniwersytetu w Atenach i członek ateńskiej Akademji Umiejętności, *Dr. Catzaras* nadesłał odpowiedź następującej treści: „Wielokrotnie obserwowaliśmy alkoholizm pochodzący z użycia wina u chorych, którzy wypijali dziennie nie więcej niż 900 cm., (a więc mniej niż 1 litr) wina. Nie należy odróżniać „oenizmu“ (skutków nadużycia wina) od alkoholizmu — nadużycie to wywołuje te same objawy kliniczne, nerwowe, duchowe i trzewiowe, co i alkoholizm“ — (Münch. med. Woch. 1936 — No. 43).

Na szczególną uwagę zasługują podane w pracy prof. *Amaldi* informacje o reformach i zarządzeniach obecnego rządu włoskiego w dziedzinie walki z alkoholizmem:

stopniowe zmniejszenie miejsc sprzedaży napojów alkoholowych (w tem i wina);
zakaz sprzedaży wina i wszelkich innych napojów alkoholowych w instytucjach, szkołach i zakładach, do których uczęszczają dzieci i młodzież (ustawa z r. 1925);
wzmożone zainteresowanie winogronami, jako środkiem odżywczym („uva - alimento“), wskutek czego spożycie winogron we Włoszech przekracza 5 miljonów centnarów rocznie;
rozwijanie akcji „wczasów po pracy“ — („dopolavoro“).

Zaznaczyć należy, że produkcja wina we Włoszech spadła z 50—60 miljonów hektolitrów do 35—40 miljonów hektolitrów rocznie.

Istnieje więc uzasadniona nadzieja, że w tym pięknym i tak dla wszystkich ludzi kulturalnych drogim kraju, szpitale psychjatryczne i więzienia wkrótce przestaną zapełniać się ofiarami alkoholu, który we włoskiem winie jest niemniej niszczący i groźny, jak w polskiej wódce i w polskiem piwie.

Dr. med. Witold Chodźko.

KARTKA Z KRONIKI SĄDOWEJ.

Dawno minęły te czasy, kiedy sędzia, działający na mocy przepisów ustaw karnych był wyłącznie narzędziem do stosowania abstrakcyjnych formuł kodeksu karnego. Dziś sędzia, wydając wyrok zgodny z jego sumieniem, obowiązany jest do zastanowienia się i zbadania osoby oskarżonego, jego warunków życiowych, środowiska, w którym się obracał, albowiem pod ich wpływem częstokroć zwyczajne słabostki ludzkie przekształcają się w ułomność moralną i wady duchowe, ubóstwo — w nędzę, lekkomyślność — w rozpustę, chwiejność charakteru i brak woli — w zboczenie umysłowe i skłaniają człowieka do popełnienia przestępstwa.

Zimne promienie martwej i bezwzględnej ustawy, przełamując się w świadomości i sumieniu sędziego, jak w pryzmacie, tracą swoją jed-

nostajność i prostolinijność, wywołując barwy rzeczywistości życiowej, nieraz ohydne i okrutne, lecz prawie zawsze smutne i przygnębiające. Ta straszna rzeczywistość wzbudza w społeczeństwie nie samo tylko uczucie oburzenia i wstrętu, któremu zadość czynią przepisy ustawy w postaci surowych kar, — lecz częstokroć wywołuje uczucie głębokiego żalu i ostrego bólu nie tylko względem przestępcy, lecz względem całego społeczeństwa za to, co się dzieje w jego łonie, a głównie za to, że jest zbyt obojętnem i nie przedsiębierze środków profilaktyki przeciwprzestępczej, celem zapobieżenia przestępstwu jeszcze przed jego wykonaniem.

Jakie olbrzymie znaczenie ma alkoholizm i wogóle używanie trunków spirytusowych na wzrost przestępczości, jest nabliżej i najlepiej znane sądownictwu.

Niema prawie takiego przewodu sądowego w sprawach karnych, na którymby się nie ujawniło, że przyczyną bezpośrednią lub pośrednią popełnionego przestępstwa były bądź choroba oskarżonego w postaci chronicznego alkoholizmu, bądź stan opilstwa, bądź użycie nawet w nieznacznej ilości napojów spirytusowych, które zazwyczaj wyprowadzają człowieka ze stanu równowagi duchowej, oddziaływując na jego psychikę w sposób podniecająco-szkodliwy.

Zaznajomienie społeczeństwa z tą straszną klęską, którą wywołuje alkohol, jako jedna z najgłówniejszych przyczyn przestępczości, za pomocą przytoczenia przykładów z kroniki sądowej, ma, naszem zdaniem, niemniej doniosłe znaczenie, jak teoretyczne wykłady, ujęte ściśle naukowo i oparte na danych, dostarczonych przez antropologję, psychologję i biologję kryminalną, albowiem przewód sądowy przedstawia nam żywy obraz kliniczny stanu psychicznego człowieka, który popełnił czyn występny pod wpływem działania alkoholu na jego organizm.

Przytaczamy w tym miejscu, w możliwie streszczonej formie, sprawę sądową, w której ujawnił się w sposób bardzo barwny obraz życia rodzinnego, gdzie mąż był chronicznym alkoholikiem.

W r. 193... w m. W..... zamieszkiwała rodzina, składająca się z matki lat 43, dwóch synów z pierwszego małżeństwa, z których starszy Albrecht miał lat 19 i drugiego męża K. W. lat 38.

K. W. był szewcem, pracował, gdy był trzeźwy dobrze, zarabiał sporo, lecz częstokroć wszystko przepijał. W stanie opilstwa K. W. obchodził się z żoną i pasierbami w sposób okrutny. W szczególności bił i znieważał najczęściej żonę i młodszego pasierba. Starszy, Albrecht, częstokroć ujmował się za matką i bratem, jednak zazwyczaj kończyło się na tem, że i on był przez ojczyma pobity i wypędzany z mieszkania; w szczególności, w wypadkach, gdy Albrecht, który pomagał K. W. w jego pracy zawodowej, ukrywał przed ojczymem część zarobionych pieniędzy, lub nie chciał z nim razem iść do szynku.

K. W. w stanie opilstwa, w obecności młodszego pasierba, często groził żonie, że ją zabije. Jednego razu nawet, pokazując rewolwer, tak do niej powiedział: „otóż z tej broni zastrzelę ciebie, a potem i siebie".

6 października 193... r., wróciwszy późno wieczorem do domu, w stanie wysoce podnieconym wskutek opilstwa, K. W., jak zwykle w takich wypadkach, rozpoczął hałasować, burzyć i wywracać wszyst-

ko, co mu pod rękę popadło, tudzież wyłajał i mocno pobił żonę i młodszego pasierba, gdyż Albrechta przypadkowo w domu nie było.

Zmęczony widocznie tymi wszelkimi wybrykami K. W., położył się do łóżka, które stało w sypialni wspólnej z żoną, lecz uspokoić się nie mógł i w dalszym ciągu urągał i groził żonie.

O tej w sam raz porze wrócił do domu Albrecht w stanie nietrzeźwym.

Zazwyczaj nie pił wcale, lecz tego wieczoru wypił z kolegami dwa lub trzy kufle piwa, wskutek czego zamąciło mu się w głowie.

Zwadę i krzyki ojczyma słychać było wyraźnie przez cienkie przepierzenie w pokoju Albrechta.

Leżąc na łóżku obok brata, Albrecht raptownie wstał, usiadł na krawędzi pościeli i przemówił, jak gdyby do siebie: „cierpieć tak dalej niepodobna, trzeba jednak raz nazawsze położyć temu kres!"... „Lepiej jeden za wszystkich, niż wszyscy za jednego"...

Tymczasem w sypialnym pokoju rozległ się odgłos kroków, — to ojczym wstał z łóżka i, wymyślając w dalszym ciągu w najohydniejszy i brutalny sposób wszystkim, przechadzał się po pokoju; za chwilę stanął i słychać było, jak gwałtownie wysunął szufladę komody, w której zwykle przechowywał rewolwer... znowu odgłos kroków w kierunku łóżka matki... tu widocznie zatrzymał się... coś cicho jej powiedział... słychać było tylko szlochanie matki... „Kończyć, trzeba raz kończyć!"... dojrzewa myśl w głowie Albrechta: „lepiej niech jeden cierpi, niż wszyscy... zabiję pijaka i będzie koniec!" — zdecydował rozjątrzony młodzieniec.

Szybko powstał z łóżka, poszedł do kuchni, zabrał tam siekierę i w mgnieniu oka już był przy łóżku matki.

Tam półmrok, prawie ciemno... Matka leży na łóżku; nachylony obok wezgłowia stoi mąż... Matka coś cichutko szepcze i szlocha...

Nie zdołał ojczym obejrzyć się, jak syn uderzył go siekierą w lewą część głowy...

Cios był tak nagły i silny, że ojczym, nie wydając żadnego nawet dźwięku, runął na podłogę...

Jednocześnie niemal rozległ się huk wystrzału rewolwerowego...

„Otóż, mamusiu, teraz urządziłem tobie rozwód; teraz jesteś wolna", — cicho powiedział Albrecht, widocznie wypowiadając odruchowo myśl, która go już oddawna męczyła...

Nie śpiesząc się, Albrecht wyszedł z sypialni, odniósł siekierę na miejsce do kuchni, skąd ją wziął; ubrał się i poszedł na miasto.

Nad rankiem zjawił się on w urzędzie policyjnym i zameldował o popełnionem przestępstwie.

Należy nadmienić, że na śledztwie zostało stwierdzone, że w chwili, gdy Albrecht wszedł do sypialni z siekierą w ręku, K. W. już zamierzał zabić swoją żonę z rewolweru, który kilka minut temu zabrał z komody.

Kurek broni już był podniesiony i lufa przystawiona do czoła nieszczęśliwej kobiety, która przez łzy odmawiała ostatnie modły do Boga, kiedy nagły cios w głowę męża, ocalający życie matki, jednocześnie zmusił syna stać się przestępcą!

Padając z roztrzaskaną czaszką na podłogę, K. W. już nieświadomie ciężarem ciała nacisnął sprężynę rewolweru, wskutek czego nastąpił wystrzał i kula trafiła w ścianę.

Na mocy art. 21 kod. karn. nie popełnia przestępstwa, kto działa w obronie koniecznej, odpierając bezpośredni bezprawny zamach na jakiekolwiek dobro własne, lub innej osoby. Opierając się na przytoczonym przepisie ustawowym, Sąd, mając na względzie powyżej przytoczone okoliczności faktyczne, ustalone na przewodzie sądowym, oskarżonego Albrechta uniewinnił.

* * *

28 listopada 1936 r. znany profesor Uniwersytetu w Rzymie Dr. *Benigno di Tullio* przedstawiciel Włoskiego Związku dla Antropologji, Psychologji i Biologji Kryminalnej, wygłosił w Sali Włoskiego Instytutu Kultury w Warszawie odczyt p. t. „Profilaktyka przeciwprzestępcza i konieczność międzynarodowej jej organizacji".

W odczycie powyższym autor podkreślił całą wagę i znaczenie profilaktyki przeciwprzestępczej, gdyż ona w sposób najskuteczniejszy i rzeczowo najwydatniejszy zwalcza przestępczość, jeszcze przed dokonaniem czynu przestępczego, a co za tem idzie jest jako dzieło społeczne właściwsza niż represja karna.

Za teren swej działalności, słusznie twierdzi prof. *di Tullio,* profilaktyka powinna wybrać takie ośrodki społecznego współżycia, gdzie stosunkowo najłatwiej mogą powstać bodźce, prowadzące do przestępstwa.

Najdoskonalszym po temu terenem jest teren akcji przeciwalkoholowej, jak również teren zakładów wychowawczych i poprawczych dla dzieci zaniedbanych i upośledzonych, albowiem z pośród tych elementów rekrutuje się największa liczba przestępców.

Według statystycznych danych, przytoczonych przez prof. *Németh* w Budapeszcie, liczba przestępców nieletnich w porównaniu z czasami przedwojennymi powiększyła się o 70% [1]), przyczem większość przestępstw popełniono pod wpływem odurzenia alkoholowego.

Prawda, walka taka z przestępczością będzie połączona z wielkimi wydatkami, nie należy jednak zapominać, że według danych statystycznych straty od przestępstw majątkowych, poniesione przez społeczeństwo, obliczane są na 5 miljardów dolarów rocznie.

Myśl prof. Dr. Benigno di Tullio stworzenia międzynarodowej organizacji w dziedzinie profilaktyki przeciwprzestępczej powinna być powitana z największem uznaniem!

Stanisław Czerwiński.

---

1) Das Jugendgericht Zeitschrift für die gesamte Strafwissenschaft, r. 1935.

LECZNICTWO ALKOHOLIKÓW.

(Wykład wygłoszony na Kursie Alkohologji w Państw. Szkole Higjeny w Warszawie).

Leczenie psychoz alkoholowych, oraz stanów psychotycznych na tle alkoholowym powstałych, należy do kliniki psychjatrycznej i dlatego spraw tych nie będę w tym wykładzie poruszał.

Po przebyciu stanu psychotycznego, lub też bez jego wystąpienia, alkoholizm chroniczny cechuje poza nałogiem alkoholowym, szereg zmian chorobowych psychicznych, przedewszystkiem w dziedzinie charakteru, które, jako jednostka chorobowa, często dość trudne są do ujęcia. Cechuje je, jako rezultat społeczny, dewastacja własnego życia, rodziny i najbliższego otoczenia.

Leczenie pacjentów zaczyna się od niezwłocznego odjęcia alkoholu; obawy, że może to odbić się niekorzystnie na bezpośrednim stanie zdrowia chorego, są niesłuszne, gdyż już w pierwszych godzinach abstynencji samopoczucie chorego się poprawia. Odejmowanie stopniowe alkoholu, jak to zmuszeni jesteśmy często robić u morfinistów z morfiną, byłoby błędem lekarskim, podrywałoby autorytet lekarzy i utwierdzało chorego w błędnem mniemaniu, że alkohol jest nieodzownie dla jego organizmu potrzebny.

W pierwszych dniach pobytu w zakładzie występują na plan pierwszy stany neurasteniczne: bezsenność i niepokój, które istniały już uprzednio, jednakże w stadjum alkoholowem były przykryte tuszującemi je stanami podnieceń.

W tych pierwszych dniach, więc, stosuje się środki uspakajające i nasenne, przedłużone kąpiele gorące, anemizujące mózg, oraz izolację na oddziale obserwacyjnym, gdzie rygor szpitalny ułatwia opanowanie się choremu i przebycie pierwszych trudnych okresów. Od początku leczenia podaje się choremu podskórnie strychninę, która przyśpiesza odtrucie ustroju i jest w pewnym stopniu antidotum na działanie alkoholu na system nerwowy; tak naprzykład przekonano się, że halucynacje w gorączce drżennej pod wpływem strychniny wyraźnie się uspakajają.

Dalszem leczeniem cielesnem alkoholików jest tak zwana autohemoterapja, polegająca na przestrzykiwaniu własnej krwi pacjenta domięśniowo; organizm oddziaływuje na wprowadzoną w ten sposób własną krew, jak na obce białko, wytwarzając w stosunku do niego swoistą reakcję. Wytwarzanie tej chemicznej reakcji na własne białko, obarczone głodem alkoholowym, miałoby w sposób zasadniczy zwalczać podstawy chemiczne potrzeby używania alkoholu i w ten sposób usuwać chorobowo zmieniony chemizm ustroju alkoholika, który jest źródłem jego nałogu. Niestety, autohemoterapja częściowo zawiodła pokładane w niej nadzieje i obecnie stosujemy ją, jako metodę pomocniczą, która przyśpiesza odtrucie ustroju i nawrót normalnej przemiany materji.

W przypadkach, kiedy chorzy pod względem nałogu alkoholowego są zupełnie nieopanowani, kiedy cały ich wysiłek jest skierowany na uzyskanie alkoholu, pomimo, że przez czas dłuższy są go pozbawieni i żadne inne metody nie dają rezultatów, stosujemy leczenie

gorączkowe, wywołując co parę dni wysokie temperatury, które utrzymują chorego przez czas dłuższy w łóżku, a pozatem powodują poważny wstrząs ustrojowy. Dzięki tej metodzie udaje się niejednokrotnie doraźnie opanować nawet bardzo trudnych pacjentów. Często po przebyciu takiego leczenia, już w dalszym okresie, potrafią oni dostosować się do wymogów zakładu, a zwłaszcza abstynencji.

Chciałbym odrazu zaznaczyć, że tak często rozsiewane plotki na temat leczenia alkoholizmu ogłaszanemi w angielskich pismach środkami wywołującemi obrzydzenie i wstręt do alkoholu, które zastrzyknięte lub podane doustnie miałyby definitywnie wyleczyć z nałogu, są albo nieuczciwą reklamą, albo nieporozumieniem. Również bezsensowne są pogłoski, jakoby pacjent otrzymuje w zakładzie wszystkie potrawy, jak mięso, chleb, herbatę z alkoholem i w ten sposób nabiera wstrętu raz na zawsze do picia.

Nałogowe używanie alkoholu pociąga za sobą cały szereg szkodliwości dla wszelkich organów i jakkolwiek system nerwowy w największym stopniu tym szkodliwościom ulega, to i system krwionośny, trawienny i gruczołów dokrewnych, a zwłaszcza ogólna przemiana materji są chorobowo zmienione i wymagają leczenia, któreby przyśpieszyło ich odtrucie i regenerację. W tym wypadku ma duże zastosowanie przyrodolecznictwo, jak elektryzacja, kąpiele świetlne i powietrzne, zwłaszcza zaś wodolecznictwo, które, odpowiednio wykorzystane, przedstawia ogromne możliwości terapeutyczne, zaczynając od działania uspakajająco - łagodzącego aż do silnie tonifikującego i pobudzającego ustrój i system nerwowy.

Djetetyka stosowana w zakładzie leczniczym dla alkoholików powinna być jarzynowo-mączno-mleczna, zwłaszcza należy unikać pożywienia pieprznego, przypraw korzennych i tłustych potraw, które wywołują silne pragnienie alkoholu, lub też takich, które są specjalnie związane kojarzeniowo z piciem, a więc te, które podawane są w barach i resturacjach, jako przekąski do wódki. Niestety stosowanie tej djetetyki nie udaje się tak łatwo przeprowadzić. Natrafia się bowiem na tak silny protest pacjentów, że ułożenie jadłospisu musi iść po drodze kompromisu i częściowo tylko da się te wskazania zrealizować. Byłoby naturalnie pożądane całkowicie powyższe zasady djetetyki przeprowadzić.

Bardzo trudną i poważną kwestją w zakładzie leczniczym dla alkoholików jest uniemożliwienie pacjentom nielegalnego zdobywania alkoholu. O ile jest to względnie łatwe do przeprowadzenia w zakładzie zamkniętym, gdzie istnieje cały szereg sankcji, które można stosować, oraz są możliwości całkowitego odseparowania od kontaktu ze światem zewnętrznym, o tyle w zakładzie otwartym, w którym 90 procent pacjentów ma kompletną swobodę i możność wyjścia z zakładu, sprawa ta nastręcza poważne trudności. Cała możność odbudowy tych walorów psychicznych, które mają w przyszłości stać się podstawą społecznego i abstynenckiego życia wyleczonego pacjenta, opiera się na rozbudowie pożytecznych ambicji i szacunku dla samego siebie, to też należy te cechy możliwie w chorym kultywować. Nadmierna kontrola, ograniczenie swobody, inwigilacje pod względem alkoholowym i rewizje, któreby gwarantowały w dużym stopniu niedopuszczenie do przemytu

alkoholu do zakładu, godzą przedewszystkiem w te walory psychiczne pacjenta, na których mamy budować jego przyszłą egzystencję.

Z drugiej strony, stosując liberalizm w stosunku do pacjentów, naraża się zakład na to, że powstaje cały szereg możliwości przemycania alkoholu do zakładu. Na tem tle następuje wykolejenie się pacejntów, czego przy największych nawet wysiłkach zupełnie uniknąć nie można. Oczywiście trzeba się starać o zachowanie umiaru, aby plusy, które dają się osiągnąć przez rozbudowę ambicji i dobrego nastawienia do leczenia jednych pacjentów, nie odbijały się w sposób zły i krzywdzący na losach drugich, dzięki przedostawaniu się alkoholu do zakładu. Stosując tę nieraz bardzo skomplikowaną politykę, mającą na celu nie zrażanie pacjenta i pobudzanie jego ambicji okazywaniem mu zaufania, trzeba jednakże robić wszelkie możliwe wysiłki, aby wypadki przedostania się alkoholu do zakładu były jaknajrzadsze.

Jednym z podstawowych warunków przeciwdziałania przedostawaniu się alkoholu do zakładu, jest to, aby cały personel zakładowy składał się z abstynentów; tylko do tych pracowników, którzy zachowują kompletną abstynencję można mieć zaufanie. Sanitarjusz, któryby wbrew regulaminowi używał alkohol poza zakładem, bardzo łatwo znalazłby się w zależności od pacjentów, i nie możnaby mieć zaufania do jego pracy, a zwłaszcza do nadzorowania przez niego abstynencji w zakładzie. To samo dotyczy lekarzy. Sądzę, że jedynie lekarz, który nie jest zdolny do wczucia się w przeżycia alkoholików, albo nie mający dostatecznego wyszkolenia psychjatrycznego, może nie zdawać sobie sprawy, że leczenie alkoholików wymaga abstynencji od tych, którzy leczą. W leczeniu psychoterapeutycznem nałogowców nic tak silnie nie przemawia i nie przekonywuje, jak przykład stosowania zasady, którą się propaguje.

Personel zakładu powinien być dobrze wynagrodzony, gdyż inaczej będzie narażony na pokusy czerpania dochodów z przemytu środków narkotycznych chorym.

W zakładach otwartych, poza odebraniem wolnego wyjścia i umieszczeniem na oddziale obserwacyjnym, najdalej idącą sankcją jest wydalenie pacjenta z zakładu. Po przybyciu do zakładu pacjenci podpisują zobowiązanie, że zgadzają się na kontrolę ich swobody, oraz wydatkowania pieniędzy i potwierdzają przyjęcie do wiadomości, że w razie niestosowania się do regulaminu, grozi im usunięcie z zakładu. Jakkolwiek może się wydawać, że ta ostatnia konsekwencja mogłaby iść po myśli opornych i zwykle pod częściowym przymusem leczących się pacjentów, to tak jednak nie jest.

Pacjenci, zaawansowani w chorobie, zwykle wiedzą i doskonale zdają sobie sprawę z tego, że istnieje jedynie kwestja wyboru między zakładem zamkniętym, a otwartym, że usunięcie z zakładu otwartego prowadzi do zakładu zamkniętego, przed którym mają, zresztą dla każdego zrozumiały, lęk. Ci zaś chorzy, którzy stoją pod względem zdrowia lepiej, mają więcej samokrytycyzmu i sami chcą się leczyć, dla nich więc usunięcie z zakładu jest rzeczą nader przykrą. W praktyce ta najdalej idąca sankcja usunięcia chorego z zakładu otwartego odgrywa dużą rolę. Nie miałem wypadku, aby pacjent, który został usunięty z zakładu, przeżywał ten fakt w sposób dający mu pewną satysfakcję, czy zadowo-

lenie. Wiem, że dla każdego takiego pacjenta było to tragicznem przeżyciem.

Psychoterapja stosowana w zakładzie ma za zadanie przedewszystkiem przygotowanie pacjenta do abstynencji.

Cechą każdego nałogu jest utrata swoistej odporności w stosunku do danego środka narkotycznego, której nie udaje się już nigdy odzyskać i pod tym kątem widzenia nałóg alkoholowy teoretycznie jest właściwie nieuleczalny. Nigdy nałogowy alkoholik po najdłuższym nawet okresie abstynencji, nie będzie mógł zachować umiaru w używaniu alkoholu. I zawsze — z żelazną konsekwencją — po zwykle bardzo krótkim okresie używania alkoholu względnie umiarkowanym, stoczy się znowu w nałóg. *Z istoty tych faktów wynika konieczność zachowywania ścisłej abstynencji w stosunku do alkoholu i zasada ta jest nienaruszalną podstawą lecznictwa alkoholików.* Zasada ta jednak jest tak trudna do przyjęcia, że jeszcze do tej pory, chociaż lecznictwo alkoholików jest względnie spopularyzowane, jest ona bagatelizowana nawet przez wielu lekarzy.

Wśród całego szeregu pacjentów, którzy zwracali się do mnie o poradę w kwestji leczenia alkoholizmu, nie spotkałem takiego, któryby teoretycznie nie chciał się wyleczyć. Nawet najbardziej bezkrytyczn i zrujnowani psychicznie i fizycznie chorzy, zdobywają się jednak na ten gest w stosunku do swego zdrowia. Niestety, od tej teoretycznej dobrej woli wyleczenia się, do powzięcia postanowienia zachowania ścisłej abstynencji, jest bardzo daleko. Konieczność przestrzegania abstynencji w ścisłej formie jest czemś bardzo trudnem do przyjęcia dla zdrowego rozsądku przeciętnego człowieka. O ile bardzo łatwo jest przekonać kogoś, że alkohol mu szkodzi i daje złe rezultaty życiowe, o tyle trudno jest przekonać, że wypicie szklanki piwa może odegrać katastrofalną rolę w życiu człowieka.

Widziałem byłych alkoholików, którzy po kilkunastu latach abstynencji, po wypiciu niewielkiej ilości alkoholu wracali do nałogu w całej jego pełni, tak jakby nigdy z niego nie wychodzili, a nie spotkałem do tej pory żadnego, któryby potrafił po dłuższym nawet okresie abstynencji, przy nawrocie do picia, zachować umiar i równowagę duchową.

Proszę pamiętać o tem, że jeżeli będziemy mieli do czynienia ze znałogowanymi do alkoholu ludźmi, to możliwe są tylko dwa rozstrzygnięcia, albo pójdą oni w kierunku dalszego nałogu i zniszczą się psychicznie, albo będą zdrowi psychicznie, ale zachowają ścisłą abstynencję. Jeżeli nie zechcą bezwzględnie wyrzec się alkoholu, ale będą próbowali pić „umiarkowanie", to czeka ich z pewnością bezwzględne zatracenie.

Wychowanie do abstynencji nastręcza duże trudności. Lekarz i cały personel zakładu powinni w tym kierunku działać na pacjenta, oraz wykorzystywać wszelkie możliwości, aby obudzić w nim przekonanie i chęć zachowania pełnej abstynencji.

Aby wzbudzić w chorych tendencję do zachowania ścisłej abstynencji, w zakładach zachodnio-europejskich stosuje się metody wychowania o charakterze stowarzyszeniowym, o pewnym odcieniu religijnym. Pacjenci są tam wciągani do stowarzyszeń abstynenckich, których zadaniem jest przedewszystkiem budzenie w swych członkach silnych

nastawień przeciwalkoholowych. Posiedzenia tych stowarzyszeń mają charakter jakby tajnych politycznych lub religijnych, o zabarwieniu mistycznem — narad, które chechuje wysoki ton uczuciowy, naładowany nienawistnie do alkoholu. W ten sposób udaje się rozbudzić w pacjentach nastawienia uczuciowe w stosunku do sprawy alkoholowej, o charakterze idei nadwartościowych, które odgrywają później przez całe życie rolę źródła energetycznego obrony przed nawrotem do nałogu.

Ta metoda łatwa do przeprowadzenia na zachodzie, dająca tam wielkie rezultaty w leczeniu alkoholizmu, u nas dotąd, niestety, nie dała się zastosować. Stowarzyszenia abstynenckie u nas mają charakter towarzysko-samopomocowy, ewentualnie charytatywny i nie udaje się w nich obudzić tego tonu religijno-filozoficznego, który ma jedynie wartości wychowawcze w sensie wyżej wzmiankowanych stowarzyszeń zachodnio-europejskich. My, Polacy, dzięki naszej rasowej odrębności, bardzo trudno poddajemy się pewnym stanom religijno-filozoficznym, które odgrywają rolę kierunkową i ułatwiają zachowanie linji postępowania życiowego człowiekowi na zachodzie Europy.

Tembardziej leczenie alkoholizmu u nas jest trudne i musi szukać innych metod i opierać się na innych stronach duszy człowieka. W budowaniu postanowienia zachowania ścisłej abstynencji trzeba używać wszelkich sposobów przekonania rozumowego, wykazując szkodliwość alkoholu na ustrój ludzki, związane z tem krzywdy społeczne, gospodarcze i t. d.

W nałóg alkoholowy popadają ludzie do tego predestynowani przez podkład neurotyczny, czy psychopatyczny i niedopasowanie do życia społecznego, gdyż mogą w stanach alkoholowych znaleźć rozładowanie i wyżycie.

Rozpoznanie alkoholizmu chronicznego jest niekompletne póki nie poznamy na tle jakich trudności nerwowo-psychicznych wyrósł nałóg alkoholowy i wtedy jedynie możemy zdać sobie sprawę co do możliwości leczniczych i szans na wydobycie się z nałogu.

Atrakcja i rola przeżyciowa stanów alkoholowych dla alkoholików jest bez porównania większa, aniżeli dla przeciętnego, zbliżonego do normy osobnika. I ta właśnie atrakcja przeżyciowa jest siłą tłumiącą alarmujący głos instynktu samozachowawczego w okresach wejściowych do nałogu i ona stanowi o popadnięciu w nałóg alkoholika.

Leczenie alkoholików byłoby niepełnem, gdyby polegało jedynie na możności obudzenia instynktu samozachowawczego i przygotowania alkoholika do zachowywania abstynencji. Pozostałby jeszcze ten podkład neuro- czy psycho-patyczny, który stał u podstawy nałogu i był jego przyczyną. Pełne leczenie alkoholizmu musi sobie postawić za zadanie również i leczenie tego podkładu, gdyż poza terapją fizyko-chemiczną i wychowaniem do abstynencji, jest to jedno z głównych zadań terapeutycznych.

Najczęstszym podkładem nałogu alkoholowego są psycho-nerwice, zwłaszcza lękowe i psychopatja epileptoidalna. Wszelkie jednak inne rodzaje usposobień psychopatycznych, jak i początkowe okresy psychoz, oraz niedorozwoje mogą być genezą nałogu alkoholowego. Terapja musi się stosować do poszczególnych zaburzeń, istniejących poza nałogiem

i wszelka terapja psychjatryczna, gorączkowa, hormonalna, czy chemiczna ma tu zastosowanie. Zwłaszcza jest to rozległa domena do wszelkiego rodzaju psychoterapji, jak reedukacji psychjatrycznej, psychoanalizy i hypnotyzmu.

Zadaniem lekarza jest przystosowanie chorego do nowego życia i wskazanie mu drogi do wyżycia tendencji egoistycznych w sposób społeczny, branie udziału w ułożeniu jego stosunków rodzinnych i jego pracy, gdyż leczenie alkoholików wymaga wniknięcia i zrobienia możliwego ładu w całokształcie zagadnień życiowych pacjenta.

Jednym z czynników najbardziej umożliwiającym opanowanie i uregulowanie rozprzężonego przez nałóg życia alkoholika, jest praca i terapja zajęciowa odgrywa poważną rolę w doprowadzeniu pacjentów do pełni równowagi psychicznej. Zakład powinien być wyposażony w urządzenia warsztatowe, tak, by mieć możność zatrudnienia wszystkich swych pacjentów. W lecie bardziej wskazana jest praca w ogrodzie na świeżem powietrzu. Niestety, napotyka się w nakłonieniu pacjentów do pracy na ogromne trudności; przeciwdziała tu nie tylko rozleniwienie, spowodowane przez nałóg, ale i swoisty snobizm, który wytwarza się w każdym zakładzie, szczególniej o ile pacjenci rekrutują się z różnych warstw społecznych.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że jednym z momentów wciągających w picie alkoholu, jest fakt, że łączy się ono w naszem społeczeństwie z pojęciem nieledwie każdej zabawy i uroczystości i jest wyrazem tendencji do ozdabiania sobie życia.

Błędem byłoby usiłowanie zrobienia z alkoholików ascetów, do czego przeważnie nie mają oni żadnych porywów. Należy nauczyć ich używać życia w sposób społeczny i bez alkoholu, wzbudzić zamiłowanie do sportu, życia z przyrodą, organizowania własnych osiedli.

Istnieją trzy rodzaje instytucyj leczniczych: 1) przychodnie przeciwalkoholowe, w których chorzy leczą się ambulatoryjnie, nie tracąc związku normalnego z rodziną i warsztatem pracy; 2) zakłady otwarte, gdzie podstawą leczenia jest dobra wola pacjenta i 3) zakłady zamknięte, gdzie leczy się takich pacjentów, u których samokrytycyzm jest tak zniszczony, że nie wystarcza, aby można go było leczyć metodami zakładu otwartego. Wszystkie te instytucje służące do leczenia alkoholików są celowe i konieczne i nie można mówić o większym walorze jednej lub drugiej z pośród nich. Każdy typ pacjenta powinien być leczony specjalnie w jednej z tych trzech instytucji. Jeśli leczenie w jednej nie da rezultatów, to w drugiej może być pacjent wyleczony. Wszystkie te trzy instytucje powinny współpracować ze sobą i w miarę możności pacjent powinien przechodzić z zakładu zamkniętego do otwartego, z zakadu otwartego zaś do przychodni przeciwalkoholowej, a następnie pod opiekę pozazakładową.

Naturalnie, że czem wyżej będzie w społeczeństwie rozwinięte lecznictwo alkoholików, tem większy procent chorych będzie leczony w przychodniach przeciwalkoholowych, a mniejszy w zakładach leczniczych, jednakże nigdy wprost teoretycznie nie można sobie wyobrazić, aby któraś z tych instytucji leczniczych była zbędną.

Czas trwania leczenia jest rzeczą bardzo względną. Jako normalną kurację u nas w kraju ze względu na trudne warunki materjalne, w ja-

kich się znajdujemy, przyjmujemy leczenie przez sześć miesięcy, podobnie, jak w Niemczech. W Szwajcarji uważa się za przeciętną roczną kurację. Jest jednak cały szereg pacjentów, którzy dopiero po paroletnim pobycie w zakładzie mają szanse odzyskania zdrowia. Zwłaszcza młodociani psychopaci, których trzeba wychowywać od nowa, wymagają długoletniego pobytu w zakładzie.

Jednorazowe leczenie jednak jest niewystarczające. Należy w przeciągu następnych trzech lat przynajmniej, przeprowadzać corocznie krótkie, parotygodniowe kuracje uzupełniające, które ułatwią pacjentowi utrzymanie się w abstynencji i utrwalą w nim nastawienie przeciwalkoholowe.

Jeśli chodzi o rokowanie, to najlepsze przedstawiają ci, którzy zaczęli się leczyć w pierwszych okresach swego nałogu, a nie po kilkunastu latach, kiedy dewastacja ustroju nerwowego jest tak zaawansowana, że trudno liczyć już na jego odrodzenie. Naturalnie, że bliższe rokowanie może być jedynie postawione po poznaniu podkładu neuropatycznego nałogu, który stanowi o możliwościach wyleczenia pacjenta.

Statystyka wyleczeń waha się na zachodzie, gdzie lecznictwo to jest dobrze zorganizowane, od 15 do 30 procent; co do nas, to za wcześnie jest na układanie statystyk ze względu na krótki okres naszego lecznictwa alkoholików, zwłaszcza, że przyjęte jest uważanie alkoholika za wyleczonego dopiero po trzech latach jego abstynencji.

Kraj, któryby dążył do postawienia lecznictwa alkoholowego na wysokim poziomie, powinien posiadać cały szereg zorganizowanych instytucyj społecznych poza zakładami leczniczemi, które pozwoliłyby na skierowanie w początkowych okresach nałogu pacjenta na leczenie. Mam na myśli nie tylko instytucje opieki społecznej, ale sądy i policję, które stosowałyby kary z zawieszeniem, pod warunkiem poddania się kuracji i kontroli przeciwalkoholowej. Następnie jest konieczne powstanie szeroko rozgałęzionej sieci związków abstynenckich w całym kraju, które mogłyby spełniać rolę opieki pozazakładowej nad byłymi alkoholikami i być punktem oparcia ich przyszłego życia społecznego.

Jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że nawet w społeczeństwie prohibicyjnem mogą zdarzać się wypadki sporadycznego alkoholizmu, to nie przybrałby on jednak rozmiarów klęski społecznej, jaką jest teraz dla wielu społeczeństw.

Interesy lecznictwa alkoholików wymagają, aby istniała w społeczeństwie zdrowa opinja występująca przeciwko obyczajom alkoholowym, a społeczeństwo, dążące do zlikwidowania klęski alkoholizmu, winno przygotowywać się do wprowadzenia w przyszłości prohibicji alkoholowej.

Świack.

Dr. Henryk Zajączkowski.

NA PROGU NOWEJ ERY.

Odczyt wygłoszony w Tow. „Trzeźwość“ dn. 30.XII. 36 roku.

Jeżeli chcemy mówić o nowej erze, to musimy wpierw poznać i scharakteryzować — erę, którą przeżywamy i która się kończy. Co do przeżywanej ery, to skończyła się ona — z wybuchem wielkiej wojny. Tej strasznej burzy dziejowej, która trwała 4 lata i 3 miesiące, powołała pod broń 70 miljonów mężczyzn w sile wieku, a resztę pogłowia ludzkiego zmusiła do niezmiernie ciężkiego życia, objęła prawie cały świat, zamordowała doraźną śmiercią przeszło 10 miljonów ludzi, poraniła i okaleczyła około 30 miljonów ludzi, pozatem zamorzyła głodem, zamroziła odjęciem dachu i różnemi niedostatkami na całym świecie wiele miljonów, a kosztowała około 500 miljardów t. zw. efektywnych, to znaczy: niezdewaluowanych dolarów. Rozpaliła w świecie straszliwe nienawiści narodowe, oraz ten stan powojenny, w jakim żyjemy. A jeżeli nawet *mimowoli* wojna dokonała i pewnych czynów sprawiedliwych, powołania do życia narodów ujarzmionych, to uczyniła to mimowoli, boć przecie cele wojny były inne, a końcowe wyniki inne. Ale też cały świat wie, że nie o wolność Polski, Czech, Litwy, Łotwy, Estonji, Finlandji biły się miljonowe armje, lecz o *zabory i o rynki zbytu*, o panowanie nad światem. To też z przerażeniem *widzimy*, że świat powojenny jest pełen zła, że pokój zawarty w Wersalu, na którym starano się stworzyć *„nowy ład na świecie“*, tego *ładu* nie stworzył, moralności we wszechświatowej skali nie zbudował. A przeciwnie, szerzy się w świecie straszliwa demoralizacja, dla której podobieństwa trzeba szukać w księgach historyków starożytności: Rzymianina Tacyta, oraz Żyda, Józefa Żydowina, nazwanego Flawjuszem; albowiem pierwszy z nich w swoich *„Rocznikach“* opisuje ohydne zbrodnie Rzymu Cezarów, a drugi zbrodnie Herodów popełnione w Jerozolimie.

To zbrodnicze życie poprzedzało ukazanie się chrześcijaństwa, które zaistniało w Judei 1937 lat temu i przeniosło się do Rrzymu. Było zdolne przebudować świat, dając mu zamiast nienawiści — miłość, a zamiast wojen — pokój. Lecz nie dokonało tego. Nie dokonało, ponieważ sprawy świata tego potrafiły nawet *chrześcijanizm sobie podporządkować...*

I dlatego, przed nowym, 1937 rokiem widzimy: że możliwem było zawojowanie przez nowocześnie uzbrojone Włochy, Abisynji, pomimo tego, że 52 przedstawicieli 52 państw-narodów orzekło w Lidze Narodów, że Włochy są napastnikiem; a zatem, że w Abisynji działają bezprawnie. Nic to orzeczenie Abisyńczykom nie pomogło, wojska ich źle uzbrojone, pozbawione lotnictwa i gazów, zostały wytrute, a kraj zabrany. A druga rzecz to Hiszpanja. Już pół roku trwa tam wojna domowa. Hiszpanja stała się terenem, na którym rozgrywa się walka pomiędzy faszyzmem a demokracją. Ale koszta walki płaci lud hiszpański. A w walkach tych widzimy, że technika się doskonali, a człowiek dziczeje.

Z takim moralnym dorobkiem wstępujemy w nowy miernik czasu, w rok 1937...

„Roku Nowy, co niesiesz w tajemniczej skrzyni —
Albo czem się zapiszesz na karty dziejowe,
Czy się do szczęścia ludów twe życie przyczyni —
Czy tylko starej biedzie da sukienki nowe?“

Tak to ongi pisał poeta; stara bieda ubierze się w nowe szaty i będzie się zdawać, że jej już nie ma. Ponieważ przyjaciel przyjaciela napotkawszy, ściska dłoń, życzy szczęścia i wesela — wieńcem każe zdobić skroń.

„Ale nędzarz, cień grobowy, co mu w sercu bóle tkwią,
Czem powita ten Rok Nowy — chyba tylko gorzką łzą,
Jednak idąc z ludzi tłokiem — i on niesie życzeń głos!
Może jemu z Nowym Rokiem, pomyślniejszy błyśnie los“.

A tymczasem Rok Nowy spotyka się „tradycyjnie“ z kielichem w ręku. Ale nie tak to zwyczajnie — jakby się to zdawało, albowiem są *odmiany* zawartości naczynia — i płynu, są t. zw. gradacje... I tak: ci *„najpierwsi“*, ci górni, te „pierwsze 10.000“ spotykają rok nowy puharem *szampana*, ci, co są już niżej, spotykają winem. Winem rozumie się z zagranicy, ponieważ w Polsce wino nie dojrzewa, (przepraszam, zapomniałem o Zaleszczykach, kiepski widać ze mnie patrjota, kiedym mógł zapomnieć o polskiem, rodzimem winie, które przecież stanowi dorobek naszej niepodległości, przepraszam). Za to o naszej o k o w i c i e nie zapomnę. Otóż ludzie tej trzeciej odmiany witali Rok Nowy — kieliszkiem *czystej*. Jeszcze niższa odmiana, samogonem i denaturatem, albo też dobrze przyprawionym *eterem*. To już na Śląsku i na pogarniczu. Widzimy więc, że w Polsce i nie tylko w Polsce stare obyczaje — tradycja trwa i jest szanowaną. A szanując stare obyczaje, w nowej Polsce przepili ludziska za czas niepodległości *25 miljardów złotych* na samej tylko *„czystej“*. Ani samogon, ani denaturat w rachubę nie wchodzą. Zapewne *inni* przepili jeszcze więcej w tym czasie, tylko — ich na to stać, a nas nie, przeto ubóstwo kraju wzrosło, a państwo też się nie wzbogaciło, przeciwnie, zubożało. *„Zatrute źródło dochodu“*, jak to kiedyś pisałem, nie uzdrowiło naszej skarbowości, a zatruło organizm narodu i było dla niego zgorszeniem, boć każdy mały chciwiec mówi: „państwo to czyni!“

Ha! ludzie, co w prostocie ducha mówią pacierz, powtarzają za Chrystusem: — *„Nie wódź nas na pokuszenie“*, powtarzają to od wieków, tylko w życiu tej prośby nie stosują, a słowo bez czynu — czem jest? Tylko pustym dźwiękiem i frazesem...

A spotykamy ten Rok Nowy pełni trwogi, bo wkoło nas, zwłaszcza od zachodniej ściany huczy burza, rozlega się *szczucie*, sąsiad uzbrojony po zęby jest już nie zagadką, a rzeczywistą rzeczywistością. *A tej rzeczywistości ani szampanem, ani węgrzynem, ani czystą nie zalejemy!*

I kto wie, czy nie trzeba będzie krwią ludzką zalewać, to płomię, które się zapala.

I czy to ma być wstępem do nowej ery?

Oto są pytania, które natarczywie stoją przed nami i czekają odpowiedzi nie w słowie, ale w czynie.

Powiedzianem było, że spotykanie Nowego Roku — tradycyjne—

z puharem szampana, czy z innem naczyniem pełnem trunku podlega stopniowaniu.

Do stopnia 1 zalicza się *szampan*, drogi trunek, o którym niegdyś Syrokomla pisał, że: „*za jeden puhar starego wina głodna i chłodna chłopska rodzina na rokby miała chleba i soli*“, a przecież do tego „*szampana*“ trzeba i „*szampańskiego*“ otoczenia, trzeba odpowiedniego lokalu, mebli, zastawy, służby i t. p. A na to wszystko odpowiednich środków, a tu przecie „kryzys“, miljony głodnych, tysiące i tysiące bezdomnych. Ale i ci nędzarze, „*te cienie grobowe*“, jak ich nazywa poeta, chcą także spotykać Rok Nowy, mniej wykwintnym , mniej drogim, lecz również oszałamiającym trunkiem, którym sprowadzają znieczulenie na nędzę, ubóstwo i poniewierkę. I kto wie, może jest bliski związek przyczynowy pomiędzy „*szampanem*“, *a* „*cieniem grobowym*“, *co mu w sercu bóle tkwią.* Może czarę drogiego wina płaci się nędzą i łzami rozpaczy? Ale zwyczajowi — tradycji musi się stać zadość, wszak na straży obyczajów stoi dawność, stoi sędziwa, omszała przeszłość, co przetrwała wieki i piętnem zaprzaństwa znaczy tych *śmiałków*, co się obyczajowi podporządkować nie chcą.

A przecież siła obyczaju jest wielką. I abstynenci są i muszą być tymi buntownikami, co się z pod tyranji obyczaju wyłamują, co na progu Nowego Roku, który, oby był progiem nowej ery, przechodzą ponad starymi obyczajami, które tak łatwo przechodzą w nałogi, do porządku.

Oni nie spotykają Nowego Roku odurzającym trunkiem, ale jak ludziom nowej ery przystoi, może szklanką wody, jako symbolem orzeźwienia po przebytych trudach i jako znak, że trzeźwi, przytomni z jasnym wzrokiem, z podniesionem czołem spotykają Rok Nowy, w którym — jak i dotąd pracować będą wytrwale w tym celu, aby idea zupełnej trzeźwości zapanowała i w ojczyźnie naszej i na całej ziemi...

I to ma być progiem nowej ery. Tej ery, która ze współżycia ludzkiego wykreśli nienawiść wszelaką, a szerzyć będzie braterskość i współdziałanie. Prawda, jest nas jeszcze niewielu w stosunku do liczebności ogółu. Ale z pociechą stwierdzamy, że rośnie nasz zespół, że jest nas coraz więcej, i że będziemy wzrastali. Cieszę się, że z nami jest młodzież, cieszę się dziś z tego, bo za czasów mojej młodości inaczej było i gorzej. Bo wtedy nie było ani ludzi, co by się zajmowali naukowo sprawą alkoholu, ani też zespołów podobnych naszemu t. j. „*Trzeźwości*“. W owe odległe czasy zapewne — potępiano nałogowe opilstwo. Ale t. zw. umiarkowane picie chwalono, ba, zalecano. A jeżeli chodzi o lud, o masy, zwłaszcza te *niewolne*, to zmuszano je do picia. Obecnie tego nie ma, nikt nikogo nie zmusza, chyba tylko obyczaj, zresztą niemądry i nałóg, który już jest chorobą.

To też miejmy nadzieję, że będzie coraz lepiej. I naprawdę będzie lepiej, jeżeli każdy z nas stanie się apostołem tej jakże pięknej idei, która niesie uleczenie ludzi od strasznego nałogu — nieszczęścia.

To też pracujmy wszyscy, słowem, pismem, a nadewszystko—przykładem własnym i z wiarą w dobro sprawy, a napewno będziemy coraz bliżej naszego celu i staniemy na progu nowej ery z poczuciem dobrze i sumiennie spełnionego obowiązku szerzenia trzeźwości najprzód w rodzinach naszych, potem w otoczeniu, w kraju, a przez kraj w ludzkości całej. Co oby się stało!

Tomasz Nocznicki.

MODA W ŻYCIU DUCHOWEM.

(Z powodu ukazania się książki „Z Dziejów Obyczaju w Polsce“ p. Hanny Nałęcz-Ostrowskiej-Szymańskiej).

Zwykle przedmowa rozpoczyna się od słów, że książka, którą poprzedza, właściwie, jej nie potrzebuje. I najciekawszem jest, że to zwykle bywa słuszne. Najczęściej przedmowa do książki jest zbędną, nieraz drażniącą. Po to czytam książkę, abym sam wyrobił sobie sąd o niej. Jest jakaś przesada w tem, kiedy jeszcze przed przeczytaniem samej książki, — inny pisarz, zazwyczaj o wiele znakomitszy od samego autora, jak jakiś oczywiście, w najlepszem tego słowa znaczeniu, wywoływacz, zachęca mnie do przeczytania samej książki, którą już i bez tego mam w ręku i zapewnia mnie, że ona jest dobra i znakomita...

Zapewnienie dziwne i niepotrzebne. Dzisiaj, właściwie, niema już kiepskich książek: mało ich było i dawniej. Ogólny poziom ludzi pióra jest tak wysoki, że niemal każda rzecz publikowana posiada pewną swoistą wartość.

Jednak pomimo to przyjęcie, jakiego doznają książki u publiczności, jest bardzo różne. I te książki, które są czytane powszechnie, podziwiane, cytowane, które wywierają wielki wpływ na swój czas, są jakżeż często, wcale nie najlepsze. Powodzenie bowiem nie jest miernikiem wartości książki, a nasz czas specjalnie ukochał powodzenie wszelkiego gatunku, zrobił sobie z niego sprawdzian w większym stopniu, niż to nieraz dawniej bywało.

I tu jest sedno całej sprawy. Książka pani Hanny Nałęcz-Ostrowskiej Szymańskiej, którą czytelnik ma w tej chwili w ręku, potrzebuje przedmowy i to nie byle jakiej. Z góry wiadomo, że spotka się ta książka z niechęcią czytelnika. A to dlatego przedewszystkiem, że myśli w niej wypowiedziane nie mają powodzenia, nie są one w dobie naszej popularne i nic im nie wróży zwycięstwa w czasie najbliższym.

Nie dość tego. Książka pani Szymańskiej posiada jedną wadę, której los, czy szeroki ogół nigdy jej nie wybaczy — nie jest ona i nie będzie modną. Z tego raz trzeba sobie i to w sposób niesłychanie poważny zdać sprawę, tak zupełnie bez reszty. Socjologowie dopiero zaczynają domyślać się, czem jest moda w życiu umysłowem i kulturalnem ludzkości. Dotychczas wiedziano o jej absolutnym, nieznającym ani wyjątku, ani sprzeciwu, władztwie w zakresie stroju, manier, częściowo obyczaju. I na tem był koniec. Jakieś poważniejsze wykroczenie przeciwko powszechnie przyjętej modzie w sferze stroju, powiedzmy, jest wprost nie do pomyślenia. Mężczyzna w spódnicy zbierze dokoła siebie tłum pauprów miejskich. Skończy się rzecz w komisarjacie. Potęga mody przerasta granice nawet najbujniejszej wyobraźni.

Modzie w zakresie stroju poważnie nikt i nic przeciwstawić się nie jest w stanie. To jest bezsporne.

Jak nie zdawaliśmy sobie dotychczas sprawy z wszechwładztwa mody w tylko co omówionym zakresie, tak samo, ale to zupełnie tak samo rzecz się przedstawia w sferze duchowej; z tem tylko wzmocnieniem, że tu moda panuje jeszcze bardziej okrutnie i absolutnie. Wszystkie kierunki myślowe, ideowe, polityczne, estetyczne, moralne, filozo-

ficzne, mieszczą się w ścisłej zależności od mody, są jej prawemi dziećmi. Podoba się to, co jest modne, i, trzeba przyznać, jakże często modne jest i piękne, i szlachetne, i słuszne. Ta okoliczność ostatnia jest bodaj najniebezpieczniejsza. Niepodobna przeciwstawić się modzie. Największe genjusze świata nieraz stawały się ofiarami niemodności.

Nie znamy zupełnie praw mody. Nie wiemy, jak i dlaczego powstaje, jak i dlaczego przemija. Posiada ona, oczywiście, napewno swoje przyczyny, swoje zasady, swoją własną modę, ale nic o tem nie wiemy. Nie pozostaje więc nic innego, jak pochylić kornie czoło przed nią.

Tak rzecz się ma ze wszystkiem. Tak, oczywiście, jest i z procesami społecznymi i z poglądami na nie. Jest pewna suma poglądów modnych, a inne są niemodne. I na to niema znowu rady. Tak jest w literaturze beletrystycznej, sztuce, polityce...

Fala pewnej mody unosi ku górze, prze zwycięzko naprzód, zmiata wszystko na swej drodze, dochodzi w swym pochodzie tryumfalnym do ostatnich granic przesady, która wywołuje entuzjazm profanów.

Mijają czasy i dosyć nadziwić się nie możemy nie tylko naszym przodkom, ale nieraz wprost samym sobie, gdzie był nasz rozum i oczy, kiedy śmieszny szych wywoływał nie tylko w nas zachwyt, ale wprost entuzjazm. Są modni lekarze i pisarze, są wreszcie modne zagadnienia i modne na nie poglądy...

Do zagadnień niemodnych oddawna należy dokuczliwe, przykre i drastyczne, a jakże osobiste, zagadnienie roli alkoholu i alkoholizmu w życiu Polski i ludzkości. Odkąd ludzkość zna alkohol, a zwłaszcza wódkę, pławi się ona w nim. Tkwi on na dnie każdej, ale to każdej, sprawy publicznej, i każdej prawie tragedji indywidualnej. Niema sprawy bardziej doniosłej i bardziej haniebnej. I od samego początku istnienia tego stanu rzeczy stale umysły i to pierwszorzędne, które z tego wszystkiego doskonale zdają sobie sprawę, cudownie wprost o tem piszą i mówią: rzecz, dosłownie, leży, jak na dłoni, i niemniej nigdy u nas sprawa ta nie jest w stanie urosnąć, nie mówię już do rozmiarów zagadnienia modnego, ale nawet ilebądź poważnego. Odwrotnie, modne jest przez cały czas alkoholizowanie się.

Nie znam zjawiska wśród ludzi, tak trwale i niewzruszalnie modnego, jak zjawisko alkoholizmu. I nie da się to wytłómaczyć jedynie potężnym działaniem narkotycznem alkoholu. Jest w tem coś więcej. Powiedziałbym, coś czarnego.

Jedna z pań, znających się na sprawach strojów, powiedziała razu pewnego, że kolor czarny jest zawsze modny. To prawda. Ale i alkohol utrzymuje się w sposób nie znoszący sprzeciwu we wszystkich warstwach społecznych, a przedewszystkiem u tych, które są zawsze przodownikami mody, t. zn. w najwyższych i najbardziej eleganckich. W ten sposób alkohol stał się podstawą obyczaju społecznego, a w dodatku jest on treścią humoru. Nie bez znaczenia jest sprawa, co kogo śmieszy, rozwesela, bawi.

Dlaczego tak zależy na tem, aby zagadnienie alkoholizmu raz wreszcie stało się modnem? Odpowiedź jest dosyć prosta. Istota każdej pracy społecznej, każdego dążenia do zmiany, reformy jest dążeniem do coraz to lepszego urządzenia spraw ludzkich. Posiadamy wyobraże-

nia o powinnym, należytym nowym porządku rzeczy i spraw społecznych.

I jest nam właściwe dążenie do ciągłego wcielania w czyn tej nowej, lepszej rzeczywistości. Oczywiście odbywa się to w sposób taki, że w pierwszym rzędzie doszukujemy się przyczyn złego, chcemy je usunąć.

Stosunek obecnie modny do tych wszystkich spraw polega na tem, że powszechnie wszystkie kierunki myśli społecznej i politycznej skłonne są upatrywać przyczyny złego w organizacji społeczeństwa. Wszyscy mniej więcej są przekonani, że społeczeństwo jest źle zorganizowane i pod względem gospodarczym i ustrojowym. Wystarczy zastąpić kiepską organizację przez dobrą i sprawy przyjmą obrót pomyślny.

Poglądy te są nieraz w sposób bardzo głęboki uzasadniane, ale przedewszystkiem są one bezsprzecznie powszechnie modne. Tak samo powszechnie modnem jest dodawanie zapewnienia, że jednocześnie z reformami organizacyjnemi nastąpi i powinno nastąpić powszechne i coraz to większe polepszenie się poszczególnych ludzi.

W tem miejscu moda jest wprost rozczulająca. W tym suplemencie wszyscy wszystkich usilnie zachęcają do stałego coraz to poprawiania się, wznoszenia wzwyż, przy czem ten wzruszający moment mody polega na tem, że każdy z autorów i rozkazodawców uważa za rzecz bezsporną, że on sam już poprawił się w stopniu zupełnie dostatecznym.

Wysoki poziom dusz projektodawców reform organizacyjnych jest zawsze poza sferą wątpliwości. To także moda.

Naiwność tego rodzaju poglądów rzuca się wprost w oczy.

Żadna reforma organizacyjna nie jest w stanie sama przez się pociągnąć zmian moralnych, chyba w stopniu bardzo nieznacznym. Wypływa to nie tylko z tego, że sama przez się zmiana organizacyjna nie pociąga za sobą zmian moralnych, ale i stąd przedewszystkiem, że reformy organizacyjne są zwykle bardzo szybkie, tymczasem przemiany moralne wymagają zawsze dłuższego czasu.

Jeżeli mamy przed sobą pewien stan zalkoholizowania społeczeństwa, to ten stan wywiera swój stały i progresywnie wzrastający wpływ na zjawiska moralnego i fizycznego życia danego środowiska.

Jakichkolwiek dokonamy reform organizacyjnych, jeżeli jednak nie zmienimy stanu zalkoholizowania, będzie on przez swój ciągle ten sam wzrastający wpływ niweczyć skutki wszelkich reform.

Bowiem podstawowem zagadnieniem spraw społecznych jest ustalenie właściwej przyczyny złego. Dlatego tak dużo poprzednio napisałem o modzie, bo wbrew modzie myślę, że przyczyna wszystkiego złego tkwi właśnie w alkoholiźmie i to przedewszystkiem w alkoholiźmie wyższych, intelektualnych sfer społecznych. Tego rodzaju ustalenia są bardzo trudne do udowodnienia. Mamy do czynienia z historją i to w dużej mierze z historją dnia dzisiejszego. Intuicja obserwatora zastępuje tu najczęściej argumenty, choćby pozornie te, lub owe były przytaczane; jakże trudno jest toczyć spór o to, czy intuicja jest bardziej do prawdy objektywnej zbliżona. W dużej mierze zależy to nie tylko od talentu obserwacyjnego poszczególnego postrzegacza, ale przedewszystkiem od sumy jego osobistego doświadczenia społecznego, od rodzaju faktów, jakimi on rozporządza. Od faktów, które zawładnęły w sposób przemożny my-

ślą człowieka, zależą jego następne wyobrażenia o owym nowym, należytym porządku rzeczy.

Nieraz jakaś jedna grupa faktów decyduje o całem przyszłem życiu i światopoglądzie. Przykładów takich jest chyba wiele. I tu właściwie występuje swoisty urok dziwnej książki pani Szymańskiej. Pozornie książka ta nie usposabia ku sobie. Wywiera ona wrażenie kompilacji, w której autorka ukryła i swoje ja i swoje poglądy. A tak jesteśmy dzisiaj przyzwyczajeni do gruntownej ekshibicji własnej jaźni przez autorów. Tymczasem książka nie jest, pomimo pozorów, kompilacją. Jest to niesłychanie przemyślane zestawienie faktów, które mają wzbogacić doświadczenie społeczne czytelnika.

Książka nie jest agitacyjna, ona jest pionierska. Z właściwą sobie odwagą i wykwintem publicystycznym autorka przedstawiła miarodajne fakty życia zbiorowego, spostrzeżone przez poszczególnych badaczy, jako fragmenty obrazów ich interesujących, gdzie przeważnie o coś zupełnie innego chodziło.

Zestawienie tych faktów i rzucenie ich przed oczy w postaci jednego obrazu wywiera wrażenie tak potężne, że Tomasz niewierny byłby uwierzył, jemu bowiem także chodziło o fakty, chciał dotknąć własną ręką ran. Mamy mu to za złe, ale jednak, gdy dotknął, — uwierzył. Tu także rany są otwarte i każdy może ich dotknąć, ale czy uwierzy?

Talent autorki jest niezwykły i książka wywiera wrażenie wstrząsające. Jednakże moda stoi na przeszkodzie, by zagadnienie dotychczas jeśli nie ośmieszane, to w każdym razie powszechnie lekceważone, wysunąć na czoło hierarchji zagadnień społecznych.

Jeżeli dzisiaj znajdą się ludzie, którzy mogą się śmiać z tego że sprawę alkoholizmu uważaliśmy w naszej dobie mimo wszystko, co się dzieje, za naczelną i podstawową, to grozimy tym ludziom tem, że w przyszłości śmiać się będą i niemało właśnie z nich, którzy nie tylko nie rozumieli, ale i nie zrozumieli.

Michał Orzęcki.

RZECZY AKTUALNE.

Ostatnie informacje.

Dzienniki stołeczne po świętach Bożego Narodzenia podały wiadomość niezmiernie pocieszającą, którą jednak pozwalam sobie poddać pewnej krytyce.

Z danych Pogotowia Ratunkowego, z ilości zarejestrowanych wyjazdów podczas Świąt 1935 i 1936, wyciągają wniosek, że nastąpiło znaczne polepszenie, gdyż liczba wyjazdów zmniejszyła się niezmiernie, prawie o 40% i że wtedy, kiedy w roku zeszłym (1935/6 było bardzo dużo wypadków na tle alkoholowym, to w roku 1936/7 był *tylko jeden taki wypadek.*

Czyżby Warszawa przestała pić, czyżby wszyscy pijacy w Warszawie po wypiciu kilku kieliszków spokojnie poszli do domu, napili się herbatki z cytrynką i położyli się grzecznie do łóżeczka?...

Każdy, kto zna naszą Warszawę i zna sposób zachowania się naszych warszawskich pijaków, wie najlepiej, że jedyny pijak, którego podniosło pogotowie, to zapewne jakiś pijak, którego podjęto przez pomyłkę, a okazuje się, że w tym roku (1936/7) ani policja, ani Pogotowie nie chciało zbierać pijaków i że przez całe święta leżeli oni po bramach. Interpelowani pod tym względem policjanci oświadczali, że zabierać ich nie sposób, gdyż i bez nich Komisarjaty są przepełnione. Proszono nawet, aby jeżeli kto może, żeby tych leżących po bramach pijaków zabierał do mieszkań. I znalazła się nie jedna dobrotliwa dusza, która takiemu pijakowi udzieliła przytułku.

Gdybyśmy więc w roku 1936/7 tak samo jak w roku 1935/6, pozbierali wszystkich pijaków, którzy podczas Świąt leżeli na chodnikach i po bramach, to statystyka wykazałaby napewno nie zmniejszenie, a znaczne zwiększenie zarejestrowanych wypadków i ten jedyny zarejestrowany pijak znalazłby napewno bardzo znaczną, a godną siebie kompanję.

Zdaniem moim należy się trzeźwo na sprawę patrzeć; obraz jest bardzo smutny, poprawy z dnia na dzień nie możemy się spodziewać, najenergiczniejsza praca da wyniki dopiero po wielu latach, przyśpieszyć wyniki można tylko przez wciągnięcie większej liczby działaczy.

Dlatego też w dalszym ciągu wzywamy do współpracy, zwołujmy się więc, formujmy szeregi.

XI-ty Kurs Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny.

W grudniu został zakończony Kurs Antyalkoholowy w Państwowej Szkole Higjeny. Kursy takie co roku są organizowane przez Departament Służby Zdrowia Ministerjum Opieki Społecznej, przez Szkołę Higjeny i Tow. „Trzeźwość". Kursanci zjeżdżają się z całej Polski, zwykle Kurs ma około 200 słuchaczy, wykładowcami są profesorowie uniwersytetów, lekarze, przeważnie neurolodzy i psychjatrzy, prawnicy, oraz działacze społeczni. Z każdym rokiem wykładowcy pogłębiają i rozszerzają wykłady.

Z roku na rok są organizowane takie Kursy, a ostatni Kurs był już z kolei jedenastym.

Przez jedenaście lat znaczy przesłuchało ogółem z górą 2.000 osób. Po wysłuchaniu Kursu zwykle są wszyscy przekonani o szkodliwości alkoholu, są pełni zapału. Obiecywali organizować Koła Trzeźwości i gdyby połowa obietnic swych dotrzymała, mielibyśmy tysiąc Kół po całej Polsce rozsianych, mielibyśmy tysiąc prenumeratorów naszego miesięcznika, wydawnictwa nasze rozchodziłyby się w ogromnych ilościach, na zjazdach naszych dorocznych mielibyśmy tłumy i sprawa nasza byłaby już sprawą publiczną, z którą musieliby się poważnie liczyć wszyscy

Niestety, jak dotychczas, wyniki są słabe, pierwszy zapał prędko mija, słomiany ogień gaśnie, słuchacze naszych kursów po pewnym czasie poddają się ogólnym zwyczajom, zwyczajom powszechnie przyjętym, zwyczajom pijackim, brak nam odwagi cywilnej, nie możemy się zdobyć na publiczne wystąpienia, na agitację, na propagandę.

Zastanawiając się nad tem, dlaczego tak jest, zdaje mi się, że głó-

wnie dlatego, że brak nam organizacji, że każdy z nas czuje się odosobniony, nieraz nie wie, że obok niego są jednomyślni, że gdybyśmy wszyscy się skrzyknęli, to do naszej grupy przystałoby bardzo wielu zwolenników: ale my się krępujemy, my nie chcemy występować przeciwko masom uzbrojonym w kieliszki i butelki, nacisk z ich strony jest coraz silniejszy, im się narazić, to znaczy wyjść z kompanji: zerwać, być wyśmianym. Stanie to nieraz na przeszkodzie, czy to w uzyskaniu posady-zajęcia, czy też utrudni zrobienie dobrego interesu, zresztą pijana kompanja umie być przykrą i potrafi dokuczyć każdemu, kto się do pijackich zwyczajów dostosować nie chce.

Tymczasem zbliża się termin Międzynarodowego Kongresu antyalkoholowego (wrzesień 1937 r.), przyjadą do nas działacze antyalkoholowi ze wszystkich stron świata, musimy zdać egzamin, w jakim stopniu społeczeństwo nasze zostało uświadomione i do walki z alkoholizmem — jako klęską społeczną — przygotowane.

Prosimy więc najusilniej wszystkich uświadomionych działaczy antyalkoholowych o jak największy wysiłek organizacyjny, prosimy o otwieranie Kół Trzeźwości, aby na Zjeździe naszym mogli zebrać się, jak najliczniej, jako delegaci poszczególnych Kół. Musimy światu pokazać, ilu nas jest: Nie dosyć rozumieć, nie dosyć solidaryzować się z naszą ideją — trzeba się zdobyć na demonstrację.

Aleksander Iżycki.

ALKOHOLIZM WŚRÓD DZIECI SZKÓŁ POWSZECHNYCH UJĘTY LICZBOWO.

(Doniesienie tymczasowe).

Żyjemy w czasach, kiedy hasła higjeny psychicznej zaczynają powoli torować sobie drogę w Polsce, kiedy coraz bardziej wziętymi, nawet w prasie nie lekarskiej stają się hasła medycyny profilaktycznej (zapobiegawczej), kiedy uczeni polscy rozważają z różnych punktów widzenia kwestję sterelizacji nałogowych alkoholików, kiedy alkoholizm ludzi dorosłych, rozumiany, jako choroba lub stan chorobowy nie jest kwestjonowany już przez nikogo — dziedzina alkoholizmu dziecięcego jakoś dotychczas nie doczekała się jeszcze u nas należytego oświetlenia. Z inicjatywy Pana Dyrektora Departamentu Służby Zdrowia Ministerstwa Opieki Społecznej, Dr. Jana Adamskiego, rozpisana została przeze mnie ankieta, dotycząca kwestji alkoholizmu wśród dzieci szkół powszechnych. Dotychczasowe odpowiedzi nadesłane przez Lekarzy Powiatowych i nauczycieli szkół powszechnych za pośrednictwem poszczególnych Województw są tak niepokojące w wymowie swych liczb, że już teraz, w doniesieniu tymczasowem, zdecydowałem się poruszyć je w krótkim ujęciu cyfrowym na łamach „Trzeźwości". Dotychczas nadesłało odpowiedzi 110 powiatów z 10 województw. Dane liczbowe przedstawia poniżej tablica Nr. 1. Zaznaczyć należy, że bardzo dużą ilość dzieci nałogowców dały dotychczas wiekie miasta, jak: Lwów, Łódź, Katowice, Toruń, Grudziądz, (z innych miast nie mam jeszcze odpowiedzi), przyczem w miastach tych stwierdzono *1.640* dzieci alkoholików nałogowych,

reszta, t. j. *1.493* osoby przypada na powiaty wiejskie i nieduże miasteczka.

Tablica 2 i 3 podane niżej, wykazują ogólne i szczegółowe zestawienia, obrazując alkoholizowanie się dzieci miasta Łodzi, tablica 4 oświetla tę samą kwestję we Lwowie. Niestety, nie wszystkie powiaty podały ogólną liczbę dzieci, uczęszczających do szkół, przeto, w danej chwili, nie jestem jeszcze w stanie ustalić procentowego stosunku dzieci chorych do zdrowych.

Z danych liczbowych uzyskanych z ankiet przeprowadzonych we Lwowie i Łodzi wynika, że warunki życia wielkomiejskiego sprzyjają szerzeniu się alkoholizmu dziecięcego, zresztą stwierdzono również identyczne zjawisko w stosunku do dorosłych. Ciekawie przedstawia się fakt, że odsetek dzieci żydowskich nałogowo pijących, zarówno dziewcząt, jak i chłopców jest w Łodzi niewiele niższy niż odsetek dzieci chrześcijańskich. Wniosek ten, wysnuty z liczb uzyskanych z odpowiedzi na ankietę, zaprzecza twierdzeniom o odporności rasowej żydów w stosunku do alkoholu, o której wspomina Łuniewski, powołując się na autorów amerykańskich (Starling, Beard, Normann), oraz na dane statystyczne naszych szpitali psychjatrycznych. Widocznie w warunkach bytu wielkomiejskiego względy rasowe nie mają w tym wypadku tak znacznej roli, a zjawisko to wiązać raczej należy z tymi warunkami, o których mówi Chodźko w swej pracy: „Higjena Psychiczna w ramach Higjeny Społecznej" w sposób następujący: „Związana ze wzrastającem zagęszczeniem ludności w miastach zwiększona łatwość zakażania się kiłą, oraz zatruwania się alkoholem obok utrzymywania sił intelektualnych ludności miejskiej w ciągłym napięciu, wywołanym szczególnie trudnymi warunkami walki o byt na terenie miejskim. Wszystkie te okoliczności sprawiają, że zarówno ilość ciężkich zaburzeń psychicznych, wymagających niezwłocznego leczenia w szpitalach psychjatrycznych, jak szczególnie liczba przypadków lżejszych cierpień natury psychicznej rośnie w sposób niepokojący".

Dzieci wiejskie, jak wykazuje ankieta, piją nałogowo może nieco mniej, lecz prócz wódki piją także, jak stwierdza w ankiecie lekarz powiatowy, albo nauczyciel, spirytus skażony, eter lub wódkę pędzoną we własnych domostwach, a więc jeszcze bardziej szkodliwą, niż wódka monopolowa. Są wsie, w których cała ludność — dorośli i nieletni — używają codziennie spirytusu denaturowanego. Godzien jest również zanotowania fakt wydawania przez jeden z browarów deputatu piwnego pracownikom, a ponieważ większość ludności danej wsi zatrudniona jest w browarze, przeto i dzieci i dorośli spijają się systematycznie piwem.

Liczba dzieci, pijących sporadycznie, jest ogromna, bo wynosi aż 129.126 osób, z tych właśnie dzieci pijących sporadycznie w następstwie uzupełnia się niejako liczba dzieci nałogowców zwłaszcza, że i rodzice dzieci używających alkoholu nałogowo sami są również nałogowcami, gdyż, jak stwierdza ankieta, procentowo liczba rodziców nałogowców w stosunku do dzieci również nałogowców waha się między 60 a 100 procent.

Jeśli wśród psychjatrów polskich jak i zagranicznych panują różne poglądy w zdefinjowaniu pojęcia alkoholizmu ciężkiego, to w stosunku do dzieci, zdaniem moim, nie może być żadnych sporów na temat,

TABLICA Nr. 1.

ALKOHOLIZM WŚRÓD DZIECI SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

Dane uzyskane drogą ankiety ze 110 powiatów.

Wiek	Alkoholizm dzieci		Alkoholizm rodziców		Środowisko	Postępy w nauce	Zdrowotność
	Liczba dzieci pijących nałogowo (codziennie)	Liczba dzieci pijących sporadycznie	nałogowy	sporadyczny			
Od 7 do 14 lat.	3.133	129.126	Rodzice dzieci pijących nałogowo są również nałogowcami. Wahania w odpowiedziach na ankietę w granicach od 60% do 100%.	95% — 100% rodziców dzieci pijących sporadycznie pije również sporadycznie.	Ludność wiejska, ludność miejska.	Dzieci pijących nałogowo bardzo złe. Dzieci pijących sporadycznie złe, średnie i rzadko dobre.	Dzieci pijących nałogowo zła. Dzieci pijących sporadycznie zła, średnia i rzadko dobra.

TABLICA Nr. 2.

ALKOHOLIZM WŚRÓD DZIECI SZKÓŁ POWSZECHNYCH m. ŁODZI.

Ogólne zestawienie.

Treść	Liczba obecnych podczas ankiety	Wiek	Czy pił wókę?		Jak często pił?			
			tak	nie	codziennie	częściej niż raz na tydzień	raz na tydzień	czasami
Ogólne zestawienie .	52.399	7 — 14	44.622 (85,2%)	7.777 (14,8%)	1.165 (2,6%)	3.609 (8,1%)	10.633 (23,8%)	29.215 (65,5%)

Wyjaśnienie. W tablicy 1 i 4 nie podano procentu dzieci używających alkoholu nałogowo lub sporadycznie, gdyż nie wszystkie odpowiedzi ankietowe podają ogólną liczbę dzieci objętych ankietą. Dane te zostaną podane w następnych artykułach.

TABLICA Nr. 3.

ALKOHOLIZM WŚRÓD DZIECI SZKÓŁ POWSZECHNYCH m. ŁODZI.

Zestawienie szczegółowe.

Treść	Liczba obecnych podczas ankiety (52.399)	Wiek	Czy pił wódkę?		Jak często pił?			
			tak	nie	codziennie	częściej niż raz na tydzień	raz na tydzień	czasami
Szczegółowe zestawienie podług płci i wyznania rel.								
Chłopcy	25.424	7 — 14	22.765 (89.5%)	2.659 (10,5%)	607 (2,2%)	1.883 (8,3%)	5.687 (25%)	14.588 (64,5%)
Dziewczęta	26.975	7 — 14	21.857 (81%)	5.118 (19%)	558 (2,5%)	1.726 (7,9%)	4.946 (22,6%)	14.627 (67%)
Chłopcy chrześcijanie	19.638	7 — 14	18.064 (87,8%)	1.574 (8%)	336 (1,8%)	1.330 (7,3%)	3.798 (21%)	12.600 (69,9%)
Dziewczęta chrześcijań.	17.683	7 — 14	15.508 (87,8%)	2.175 (12,2%)	280 (1,8%)	944 (6,1%)	2.376 (15,3%)	11,908 (76,8%)
Chłopcy żydzi	5.786	7 — 14	4.701 (81,6%)	1.085 (18,4%)	271 (5,8%)	553 (11,8%)	1.889 (42%)	1.988 (42,2%)
Dziewczęta żyd.	9.292	7 — 14	6.349 (68,4%)	2.943 (31,6%)	278 (4,4%)	782 (12,3%)	2.570 (40,5%)	2.719 (42,8%)

TABLICA Nr. 4.

ALKOHOLIZM WŚRÓD DZIECI SZKÓŁ POWSZECHNYCH m. LWOWA.

Wiek	Alkoholizm dzieci		Alkoholizm rodziców		Środowisko	Postępy w nauce	Zdrowotność
	Liczba dzieci pijących nałogowo (codziennie)	Liczba dzieci pijących sporadycznie	nałogowy	sporadyczny			
Od 7 do 14 lat	274	8.607	Rodzice dzieci pijących nałogowo są również nałogowcami. Wahania w odpowiedziach na ankietę w granicach od 60% do 100%.	95% — 100% rodziców dzieci pijących sporadycznie pije również sporadycznie.	Ludność miejska	Dzieci pijących nałogowo bardzo złe. Dzieci pijących sporadycznie złe, mierne i rzadko dobre.	Dzieci pijących nałogowo zła. Dzieci pijących sporadycznie zła, mierna i rzadko dobra.

czy można nazwać ciężkim alkoholikiem dziecko pijące alkohol codziennie.

Szkody wyrządzane przez alkohol kształtującemu się dopiero organizmowi dziecka zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym, są tak wielkie, że kwestja ta nie może być nawet brana w rachubę, zwłaszcza biorąc pod uwagę wyniki prac sowieckiego psychjatry Dobrowickiego, dotyczących ufiksowania się alkoholu w mózgu ludzi pijących nałogowo i sporadycznie (zmian wykazanych już po autopsji). Zmiany te stwierdzono w warstwie korowej, jak i podkorowej mózgu. Wszystkie odpowiedzi na ankietę dane przez nauczycieli szkół powszechnych stwierdzają u dzieci nałogowo używających alkoholu ogólną zdrowotność, jako złą, a postępy w nauce określają — jako bardzo złe. Zjawisk tych nie można kłaść wyłącznie tylko na karb złych stosunków materjalnych, powodowanych kryzysem, gdyż dotyczą one rodziców takich, którzy — mimo wszystko — zarobkują w stopniu wystarczającym.

Procent dzieci - nałogowców pochodzących od rodziców również nałogowo używających alkoholu jest (biorąc pod uwagę dane z przeprowadzanej obecnie ankiety) o wiele wyższy niż ten, o którym wspomina Nelken w nr. 45 Warszawskiego Czasopisma Lekarskiego z roku 1936, powołując się na badania Bruggera z Kliniki Psychjatrycznej w Bazylei, a dotyczące 225 alkoholików. Ponieważ Brugger w swych badaniach dochodzi do wniosku (cytuję za Nelkenem), „że bezpośrednie potomstwo alkoholików nie jest gorsze niż potomstwo ich nie pijących rodzin“ i „że uszkodzenie zarodziowe nie da się przynajmniej w pierwszym pokoleniu stwierdzić“, przeto należałoby dużą ilość dzieci - nałogowców traktować, jako alkoholików konstelacyjnych, pijących z powodów czynników zewnątrzpochodnych (wychowanie, rodzina, przykład, zwyczaje pijackie i t. d.), trafiających w niektórych wypadkach na odpowiednie podłoże psychopatyczne wrodzone, lub też posiadających jednak, jak przypuszcza Meggendorfer, pewne dziedziczne małowartościowości, powstałe dzięki alkoholizowaniu się rodziców. O tych małowartościowościach dziedzicznych wspomina również Borowiecki w swej pracy o dziedziczeniu chorób umysłowych. I, jeśli część psychjatrów uważa czynniki zewnątrzpochodne w powstawaniu alkoholizmu nałogowego za mniej ważne, ja ze swej strony, opierając się na spostrzeżeniach przeprowadzonych wśród dość dużej ilości alkoholików leczonych w Gościejewie i częstokroć posiadających „hipotekę“ w sensie dziedziczności alkoholizmu, chorób psychicznych, lub nerwowych zupełnie czystą, a będących mimo to ciężkimi alkoholikami chronicznymi, alkoholizm ten kładę na karb czynników konstelacyjnych, uważając niejako tych chorych za alkoholików „nieorganicznych“, „funkcjonalnych“. Przypadki te w pierwszym rzędzie dawały pozytywne wyniki lecznicze.

Dane liczbowe otrzymane z przeprowadzanej obecnie ankiety należy traktować z pewną ostrożnością i rezerwą, lecz gdybyśmy dane te zmniejszyli nawet o połowę, wymowa liczb uzyskanych w tym przypadku będzie kryła w sobie poważne niebezpieczeństwo, grożące zdrowiu psychicznemu ludności.

Dr. med. Jarosław Neczaj-Hruzewicz,
Dyrektor Państwowego Zakładu Leczniczego dla nerwowo wyczerpanych w Gościejewie.

PIŚMIENNICTWO.

W. Łuniewski. W sprawie liczby narkomanów i ich jakości ustrojowej. Rocznik Psychjatryczny. 1933 r.

W. Chodźko. Higjena psychiczna w ramach higjeny społecznej. Rocznik Psychjatryczny r. 1933. Zeszyt XXI.

J. Nelken. Co to jest ciężki alkoholizm. Warszawskie Czasopismo Lekarskie Nr. 45, 46, 47. 1936 r.

S. Borowiecki. Dziedziczność w chorobach umysłowych i jej zwalczanie. Higjena Psychiczna Nr. 1 — 3. r. 1936.

Ernst Joël. Die Behandlung der Giftsuchten.

Kurt Pohlisch. Soziale und persönliche Bedingungen des chronischen Alkoholismus.

Meggendorfer. Was ist schwerer Alkoholismus. Deutsche Medizinische Wochenschrift Nr. 1. J. 1936.

P. Dobrowicki. Fiksacja alkogola w korie gołownowo mozga i podkorowych ganglijach u alkogolikow.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

(S. Zakrzewski. W. Berent. A. Segeń. J. Iwaszkiewicz. H. Worcell).

„Jedno z najważniejszych zagadnień naszych czasów, o które może najmniej się troszczymy, to sprawa zachowania tego, co zasługuje na zachowanie, czy to w krajobrazach, czy w domach, czy w sposobie bycia, czy w instytucjach, czy w typach ludzkich... Powinniśmy się starać o zachowanie piękna i poczucia godności, i poczucia obowiązku, i wykwintnego obejścia".

J. Galsworthy.

Jedną z cech charakterystycznych czasów obecnych, wynikających z ciężkiego kryzysu ekonomicznego, jest to, że każdy obywatel pod obuchem niejako twardej i ciężkiej rzeczywistości zastanawia się nad ustrojem socjalnym, w którym żyje i wysnuwa pewne wnioski, jakże często najzupełniej błędne. I nie może być inaczej. Zagadnienie form ustrojowych, zagadnienie organizacji państwowego i narodowego bytu, zagadnienia parlamentaryzmu, faszyzmu, komunizmu i t. d., są to problematy niesłychanie zawiłe, trudne, sporne, problematy przechodzące jeszcze stale ogniową próbę życia, uzależnioną w dużej mierze od psychologicznych momentów danego kraju, czy państwa, będących ostateczną emanacją wszystkich innych czynników wchodzących w grę, a więc kultury, rasy, geograficznego położenia, że wymienię tylko parę z nich, bodaj że najważniejszych. Nic więc dziwnego, że ludzie zupełnie nieprzygotowani do podobnego rodzaju sądów, niesłychanie upraszczają je, chwytają się jakiegoś jednego hasła, jakiejś jednej recepty, trzymają się jej nieraz kurczowo i sprowadzają wielostronność i wieloprzyczynowość groźnych zjawisk do mało ważnego i niezasadniczego skrótu. Dzieje się i na tym polu to samo, co i na innych odcinkach życia: przeważają tendencje krańcowe, a więc na jednym krańcu stoją ci, którzy bezkrytycznie zapatrzeni w przeszłość, z egzaltacją i łzą rzeczywistego cierpienia patrzą na raj

utracony, któryby pragnęli za wszelką cenę do naszej teraźniejszości przenieść — na drugim zapaleńcy i entuzjaści reform i przeobrażeń radykalnych, natychmiastowych, w ich oczach teoretycznie słusznych. A jednak i jedni i drudzy, tak różni w swych dążeniach, mają jedną wspólną cechę, stanowiącą poniekąd ich tragedję: brak im wyczucia rzeczywistości, brak umiaru.

W pewnym, dość znacznym stopniu, wyczucie rzeczywistości i należyte orjentowanie się w danych warunkach państwowo-społecznych, może nam dać znajomość zasadniczej linji rozwojowej naszych dziejów, w jej historycznym przebiegu, tudzież znajomość życia społeczno-kulturalnego w minionych stuleciach. Życie współczesne nie może być oceniane i traktowane jako coś oderwanego od przeszłości, bo wówczas powstaje brak zrozumienia ciągłości psychologicznej, tak potrzebnej do wyświetlenia różnorodnych procesów ustrojowo-społecznych, tak nas obecnie absorbujących, bo związanych z życiem realnem. Oczytanie więc historyczne jest niezbędnem uzupełnieniem wiedzy każdego zawodowca, jest koniecznością bezapelacyjnie narzucającą się każdemu człowiekowi myślącemu, a umożliwioną, dzięki coraz bardziej rozbudowującej się sieci bibljotek, jaknajszerszym masom społeczeństwa, które niewątpliwie przeniknięte są szczerą potrzebą oświaty i podniesienia się kulturalnego. Rzecz prosta, są książki o różnym poziomie, nas na tem miejscu obchodzą te z nich, które, wypływając z głębokiej wiedzy autora, służą szerokim rzeszom inteligencji, jako źródło poznawania spraw, zagadnień, prądów i kierunków nurtujących, drogą samokształcenia, samorozwijania się; dostarczając zaś materjału do myślenia, analizowania, porównywania, przeprowadzania analogji i różnic zachodzących między objawami życia zbiorowego i indywidualnego, stają się żywą więzią między nami, a tymi, co przed laty z zapałem i mozołem budowali swoją rzeczywistość.

Zdaję sobie dokładnie sprawę, jak przeceniano dawniej wychowawcze znaczenie zdobytych doświadczeń przez jedno pokolenie, jak czyniono z nich przestrogi i wskazania dla następnych, jak uświęcano je i przekazywano, jako skarbnicę niestarzejących się mądrości przydatnych bez zmian, na zawsze, nie biorąc pod rozwagę faktu, że to, co było dobre i słuszne przy danym zespole czynników, to w okresie zupełnie odmienionych warunków jest czemś nieodpowiedniem, wręcz szkodliwem. Ale tu chodzi nie o praktyczną stronę rad i wskazówek — działać i myśleć musimy inaczej, niżeśmy to czynili dawniej; rzecz cała polega na poznaniu i wyczuciu zasadniczej ideologji pokoleń poprzednich, na zbrataniu się z duchem najszlachetniejszych, a nieśmiertelnych „czyńców" naszej kultury narodowej, którzy budowali Polskę po przez jej wiekowe dzieje w myśl haseł zawsze żywych, zawsze twórczych, któremi i dziś są ożywione przodujące jednostki, a które starczą jeszcze na długie epoki, jako wytyczne dla norm życia społeczno-narodowego. Chodzi tu również i o jednoczesne przeanalizowanie tego wszystkiego, co zawsze, we wszystkich okresach przeciwstawiało się ideałom, co odbierało moc ich realizacji, co paraliżowało wysiłki Odnowicieli, o których tak pięknie poucza nas Berent.

Program pracy musi być całkowicie dostosowany do całokształtu warunków gospodarczych, społecznych, międzynarodowych, musi być

elastyczny i zmienny, tak jak zmiennemi są konjunktury życia, ale duch obywatelski, ale owe najgłębsze psychiczne czynniki charakteru, muszą rodowód swój wywodzić z tradycji, przekazanej nam w spuściźnie literackiej, społecznej, czy politycznej, a ożywionej ideałami wolności w imię których leliśmy krew na wszystkich pobojowiskach świata.

A więc pragnę pomówić dziś o paru książkach, które przenosząc nas do przeszłości, dostarczą bardzo wszechstronnych wzruszeń i pobudzą myśl w rozmaitych kierunkach. Jestem pod wrażeniem świeżo przeczytanej pracy prof. Stanisława Zakrzewskiego, pod tyt.: „Zagadnienia historyczne“ [1]). Jest to książka zawierająca szereg wykładów i odczytów na rozmaite tematy, dotyczące naszej przeszłości. I właśnie ta różnorodność zagadnień poruszonych w tej książce, oraz podejście do nich nie tylko naukowe, ale i społeczno-obywatelskie udostępnia ją każdemu czytelnikowi, któremu nie są obce podstawowe wiadomości z historji. Bardzo często owe fakty historyczne przyswojone z czasów szkolnych, a nie pogłębiane przez czytanie, spoczywają w naszej pamięci, niby w lamusie z niepotrzebnemi rupieciami, i są faktycznie bezużytecznym balastem. Przeczytanie Zakrzewskiego ożywi te wszystkie imiona i daty, splecie je w całość wymowną, mieniącą się ciepłem, a zawsze bliską obecnemu życiu, wprowadzi w krąg zainteresowań szerszych, roztoczy perspektywy myśli, które ułatwić mogą niejednokrotnie orjentowanie się w trudnościach współczesnego borykania się z pewnemi zagadnieniami. Zakrzewski sam doskonale definjuje właśnie rolę przeszłości w stosunku do teraźniejszości:

„Jednostka, jako kwintesencja całej przeszłości i teraźniejszości nie może tkwić wyłącznie w tej ostatniej, zaraz bowiem słabnie i musi opierać się o przeszłość i żyć w przeszłości, nie przypadkowo, ale regularnie, zapewniając przeszłości stałe miejsce w warunkach i technice własnego życia“.

O zakresie, zasięgu i istocie badań historycznych w innym miejscu pisze Zakrzewski, wykazując doniosłość i ogrom materjału, rozpatrywanego w studjach historycznych:

„Energja ludzka, ta energja, która przełamuje przeciętną skalę i monotonję stosunków ludzkich, ta energja jest właśnie przedmiotem badań historycznych. Gdzie się ta świadoma siebie energja nie ujawnia, tam niema przemian i odmian, tam niema ewolucji, tam jest położenie bez zmian. W życiu takich społeczeństw prawa społeczne mogą mieć znaczenie prawa żelaznego i cały proces życia odbywa się i układa regularnie. Tam warunki działalności naddziada są literalnie te same, w których obraca się praprawnuk.

„Takie życie może być przedmiotem badań biologji ludzkiej; możemy ją nazwać biologiczną socjologją; to jest wegetacja najpierwotniejszych ludów.

„Wątek wypadków historycznych rozwija się tam, gdzie węzeł przyczynowy, łączący je wzajemnie, posiada źródło w świadomości człowieka. Formy tej świadomości są z początku, rozumie się, drobne, ale już od początku musi występować poczucie, że praca, podejmowana w te-

---

[1]) Stanisław Zakrzewski: „Zagadnienia historyczne“, Tom I, str. XVI+330. Tom II, str. 274. Lwów, r. 1936. Wyd. Zak. Nar. Im. Ossolińskich.

raźniejszości, jest fundamentem dla pracy przyszłości, tylko natężona działalność ludzka, mniej więcej świadoma następstw i rezultatów, stanowi istotny przedmiot rozważań historyka".

„... historja nie może być nauką, której zjawiska, po zastosowaniu do nich wyników nauk społecznych i politycznych, geografji, lub psychologji społecznej, są już dostatecznie wyświetlone. Tak jak zjawisko biologiczne nie jest zjawiskiem chemicznem, tak samo wypadek i działalność ludzka nie jest zjawiskiem maszynowo-społecznem, ani geograficznem. W każdym wypadku przejawiają się wszystkie strony życia ludzkiego, spotęgowanego o jeden czynnik, z którym się te nauki nie liczą, z twórczą działalnością człowieka".

Z powyższego jasno wynika, że skoro chodzi o twórczą postawę człowieka, tego głównego motoru zorganizowanego, świadomego życia państwowego, to poznanie całej ewolucyjnej drogi, którą on kroczył i stale kroczy, jest rzeczą wielkiego znaczenia dla samego istnienia narodu i państwa. Prawdziwie uświadomiony obywatel, to taki człowiek, który pamiętając słowa prof. Zakrzewskiego, że „przedmiotem badań historycznych jest twórcza ludzka indywidualność", drogą zapoznawania się z historją, wzniesie mocny zrąb swego charakteru i energją niespożytą zapisze dla potomności dzieje swej epoki.

Z faktu niedostatecznej znajomości historji, wypływa zjawisko powszechnie obserwowane u młodego pokolenia, a mianowicie: braku poczucia łączności kulturalnej z przeszłością, oraz kompletnej nieznajomości literatury. Daleka jestem od potępiania za to kogokolwiek — przeciwnie, doskonale rozumiem momenty psychologiczne, które wywołują taki stan rzeczy. Są nimi przedewszystwiem: gorączkowe tempo bieżącej chwili, dającej bogaty materjał aktualny do przeżywania i rozpoznawania w nim, nie pozostawiający wolnego czasu na spoglądanie wstecz, — oraz, narzucone świadomości młodzieży przekonanie, że czasy dawniejsze są zasadniczo różne od współczesnych, tak nam obce i dalekie, że nawet nie warto się trudzić nad odcyfrowaniem literatury z owych lat. Rozumiem doskonale, że czytająca część naszej młodzieży pochłania książki współczesne. Beletrystyka, ten najdostępniejszy dział literatury, pulsuje życiem, tętni krwią właśnie tej codziennej rzeczywistości, którą ona sama przeżywa, a więc jednocześnie odnajduje w niej wszystko, co jest jej bliskie, drogie, znane, lub też jednostce każdej ułatwia orjentowanie się w samej sobie, uwidacznia i uwypukla pewne barwy, prześwietla zawiłe zagadki, którymi się ona czuje osaczona wewnątrz i nazewnątrz. Niema się ani czasu, ani ochoty brać do ręki książki z dawnych okresów, choćby owa dawność odnosiła się do czasów tak bliskich, jak zeszłe, lub zaprzeszłe stulecie. Zdając sobie sprawę, dlaczego tak jest, muszę jednocześnie skonstatować, że są pewne ujemne strony takiego stanu rzeczy, których młode pokolenie nie odczuwa na razie, ale które niewątpliwie wpływają na kształtowanie się struktury intelektualnej i psychicznej w sposób pomniejszający jej pełnię.

Brak uświadomienia owej ciągłości kulturalnego wysiłku narodu, zmierzającego wytrwale, po przez różnorodne fale i odpływy ku coraz doskonalszemu wyrazowi swych indywidualnych możliwości i aspiracyj, brak żywego kontaktu z ludźmi i problematami, nad rozwiązaniem których oni się mozolili po przez długie pasma wieków — brak krytyczne-

go stosunku do owego dziejowego procesu, który nieubłaganie i konsekwentnie, zdążał ku takiemu, a nie innemu „dzisiaj“ — oraz brak głębokiego, serdecznego entuzjazmu dla tych, którzy do dorobku rzetelnej kultury wnieśli pozycje wartościowe i nieśmiertelne, a na daleką drogę historycznego rozwoju niezbędne i zawsze cenne — wytwarza lukę w umysłowości młodego człowieka, zacieśnia jego horyzonty myślowe, usuwa spod nóg trwałe oparcie tak potrzebne do skoku w przyszłość. Tyle się obecnie pisze i mówi o idei narodu, którą ma realizować najdokładniej i najwierniej państwo, to też momentem właściwym jest zastanowienie się również, skąd młodzież ma czerpać owo tak żywe poczucie łączności z danem społeczeństwem, by mogła się stać zespołem bodźców uzdolnionych do tworzenia ram życia zbiorowego, najbardziej odpowiadających duchowi narodu.

W czem leży więź między dawnemi wiekami, a obecnym okresem wielkiego fermentu? Niewątpliwie odpowiedź jest jedna: w tem, co dany naród najszlachetniejszego z siebie wydał i co potrafił przekazać następnym pokoleniom w twórczości jaknajszerzej branej, a więc w twórczości literackiej, naukowej, społecznej, czy politycznej. Aby tą więź zacieśnić, aby zrozumieć, jak to ona może w naszej psychice się ożywić, nabrać siły, w jaki sposób ma się stać czynnikiem organizującym oblicze naszej rzeczywistości, trzeba koniecznie nawiązać kontakt z przeszłością, trzeba się zapoznać ze świadectwami jej chwały i upadków, które przedewszystkiem zachowały się w literaturze wszelakiego rodzaju. Nie jesteśmy bez przeszłości; mamy pouczającą historję kształtowania się naszego życia zbiorowego, narodowego i państwowego, w której to historji odnajdziemy wiele z tych problematów, co do których myślimy, że są nowe i wyłącznie wyrosłe na glebie obecnych stosunków. Obok specjalnie dziś powstałych zagadnień, jest wiele zasadniczych idei, nurtujących myśl naszą od zarania niemal świadomego bytu politycznego, a tylko zależnie od epok różnorodnie się one ujawniały. Miały swych reprezentantów, bojowników, entuzjastów, miały wrogów i sprzeniewierców; tak samo jak dziś i dawniej wrzała walka o pewne „moralja“, o pewne „imponderabilja“, i dlatego poznanie historji tych zmagań się, poznanie tła, z którego wyrośliśmy, przyjrzenie się z perspektywy doby obecnej procesom, które niewątpliwie zaciążyły i na nas, jest nakazem nieodwołalnym dla każdego, kto chce samodzielnie przemyśleć swoje stanowisko, samodzielnie stanąć w szeregu zwartym obywateli, mających jasno wytknięty cel i drogę swego społecznego zadania.

Niejednokrotnie pewne zakorzenione nawyki myślenia i obyczajów modyfikowała literatura. Znamy wszyscy potężny wpływ pewnych pisarzy na pokolenia, które zrywały z dotychczasową strukturą zwyczaju i obalały go.

Zdaje mi się, że mamy obecnie dwie książki, które powinny panujący obyczaj nieinteresowania się przeszłością przerobić. Mówię o pracach Berenta [1]: „Nurt“, i „Diogenes w Kontuszu“. Mogą one nas

---

[1]) Wacław Berent: „Nurt“. Tom I. Opowieści biograficzne. Ludzie starodawni. Str. 121. Tom II. Pogrobowcy. Str. 307. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Wacław Berent: „Diogenes w Kontuszu“. Str. 279. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

skierować „frontem“ ku przeszłości, że użyją tego tak modnego obecnie zwrotu, mimo, że nie trafia mi on do przekonania, gdyż uważam, że przydałaby się nam właśnie nieco inna postawa życiowa, polegająca nie na ustawianiu się frontem ku jakiemuś jednemu zagadnieniu, bo wówczas z łatwością możemy przeoczyć to, co się ważnego dzieje za naszemi plecami, ale na patrzeniu wokół, przed siebie, za siebie, na bok, w prawo i w lewo, by obejmować całość życia, całość problematów, i by w tej całości dostrzegać zasadnicze ogniwo państwowego organizmu — c z ł o w i e k a. Obecne czasy wymagają wystrzegania się wszelakiej jednostronności, zacieśniającej pole widzenia i powodującej pewne uczuciowe faworyzowanie tego, a nie innego zjawiska. Jeżeli zaczniemy patrzeć na całokształt spraw wysuwanych przez życie, to przedewszystkiem z takiego obejmowania całej różnorodności i skomplikowania procesów społecznych, wyrobimy w sobie pewien powściągliwy umiar sądzenia i oceniania, zatracimy nietolerancyjną pochopność oczerniania jednych, by wybielić innych. A to już byłoby znaczne uzdrowienie moralne, wielkie uspokojenie namiętności. Berent w swych książkach zmusza nas do otworzenia szeroko oczu na różnorodność przejawów życia polskiego. Książki te stoją poniekąd samotne wśród swych towarzyszek — są one jedyne w swym rodzaju, niesłychanie obecnie potrzebne, a więc, tem samem cenne. Mamy w nich obraz życia literackiego i politycznego tak ściśle spojonego ze sobą, z końca XVIII i pierwszej połowy XIX w. w przepięknej formie artystycznego przeglądu prądów i kierunków nurtujących elitę naszego społeczństwa. Połączył on w tych pracach głęboką analizę ducha owych czasów z syntezą najistotniejszych charakterologicznych czynników, rozrzucając zwięzłe, ale jakżeż przekonywująco trafne oceny. Sprecyzowanie zasadniczych rysów, dominującego tonu danej sprawy, czy omawianej sylwetki zdumiewają barwnością, rzeźbią się w umyśle czytelnika niezatartym obrazem i wywołują wyraźne widzenie owej przeszłości, odmalowanej paroma jędrnemi zdaniami. Zwięzłość stylu Berenta uwypukla lapidarność myśli syntetyzującej nieraz pewien rzut oka na daną postać, czy na dane zagadnienie, a czytelnik odbiera wrażenie, że prawdziwy i słuszny jest pogląd narzucony mu przez autora. Swoisty styl Berenta, w archaizacji swej jest zjawiskiem zespalającym się cudownie z epoką omawianą i tworzy całość nietylko pouczającą, dającą cały szereg wzruszeń estetycznych dużej miary, ale i wywołującym głębokie przeżycia uczuciowe z zakresu tego, na który specjalnie zwracam dziś uwagę, a mianowicie konieczności zbudzenia więzi emocjonalnej z przeszłością. W sposób niesłychanie łatwy i bezpośredni przenosi nas Berent w czasy minione, ale jednocześnie w tej wędrówce towarzyszy nam powaga, którą przepojona jest twórczość tego pisarza. Wchodzimy w atmosferę zagadnień nieprzerwanie się snujących poprzez wieki, zawsze tych samych, tylko zabarwianych zależnie od epoki inaczej, i nabierających różnorodnego stopnia nasilenia. Książki te powinno czytać całe społeczeństwo, bo z nich się dowiadujemy, czem byliśmy w niedawnej przeszłości i jacy ludzie tą przeszłość budowali, one dadzą nam w całej pełni wyczuć ów grunt pod nogami, z którego powinniśmy soki czerpać dzisiaj, a jednocześnie wykazują skąd, z jakich odmętów, wysuwały się widma i zmory, trujące naszą moc, podcinające naszą odporność, paraliżujące prężność i rozrost państwa.

I jeszcze jedno: one poprostu rozciekawiają nasz umysł, werbują do rozczytywania się w pisarzach, których sylwetki nam malują, wprowadzają do literatury i historj, wykazują absurdalność faktu, że cała dziedzina przeszłości kulturalnej naszego narodu jest nam obca, lub prawie obca. Nie wyobrażam sobie, by można pozostać obojętnym na piękno książek Berenta, — każdego inaczej one zaabsorbują, ale nie będzie chyba nikogo, kogoby nie zmusiły do poważnego zastanowienia się nad własnym stosunkiem do przeszłości, by zasilić swą wartość doświadczeniami, myślami, walkami, klęskami i zwycięstwami, kolejno wplątanemi w dzieje narodu, którego dalszym etapem rozwojowym jest wszystko to, co dziś budujemy. Z sylwetek Staszica, Niemcewicza, Jezierskiego, Dąbrowskiego i innych naszych wielkich ludzi, wyłania się przeszłość, pouczająca wymową faktów i pewnych psychologicznych praw, które rządziły nami, a działają niewątpliwie i nadal w skrytych, podziemnych nurtach i wirach naszego życia społecznego. Analogje i różnice z dobą obecną same się nasuwają, rozświetlając zawiłość niektórych zagadnień, tłumacząc niezrozumiałe często dla niedoświadczonego oka braki naszej psychiki, czy też poprostu braki w organizowaniu niektórych odcinków życia państwowego. Słusznie wszak pisał Adam Szymański, (w „Reformie Szkolnej"), że „*stare, wiekowe niemoce narodów nie znikają odrazu*", a już chyba nigdy nie znikną, jeśli nie poznamy ich dokładnie, jeśli sumiennie i bezstronnie nie osądzimy naszych błędów i win, a dumą radości nie przepełnimy naszych serc spowodu tego wszystkiego, co było istotnie wzniosłe i piękne, a tem samem i nieśmiertelne. Książki Berenta powinny odbić się jaknajszerszym echem w całem naszem społeczeństwie jeszcze i dlatego, że, będąc jakgdyby historją naszego życia literackiego, umysłowego i politycznego, wykazują, że zagadnienie *charakteru* człowieka było zawsze podstawą trwałości i nieśmiertelności czynów, w tej, czy innej dziedzinie. Uważny czytelnik musi się zorjentować, że artysta-Berent jest jednocześnie pisarzem, patrzącym na dzieje nasze pod kątem widzenia pewnego moralnego pionu, o którym, mimo, że się konkretnie nie mówi, ale który tem nie mniej istnieje i obowiązuje do należytego zrozumienia jego roli zasadniczej. A tego pionu moralnego szuka on w całem społeczeństwie, które nie tylko w momentach śmiertelnego niebezpieczeństwa dla obrony granic przed najeźdźcą łączy się w jeden zbiorowy wysiłek orężny, ale które rozumie, że są tereny pracy kulturalnej i obyczajowej, które również muszą łączyć wszystkich, zespalać wysiłki całości w jeden łańcuch świadomego trudu, by powszedniość dnia codziennego dźwignąć na poziom wyższy. W przejęciu się i zrozumieniu tego wymagania pilnego jest może owa „nowość" czasów naszych — do bohaterstwa śmierci na polu walki zawsze byliśmy skorzy i ofiarni — teraz musimy kształcić w sobie cnotę pracy pełnowartościowej w zakresie najbliższym, zawodowym, ze zrozumieniem, że zawód dla każdego jest owym stadjonem, z którego rozpoczynając swój start życiowy, musi trenować siły charakteru tak wytrwale i niezmordowanie, by w pół drogi nie odpaść z szeregu idących wciąż naprzód.

U Berenta czytamy:

„Gdy po klęsce 31 r. zawali się i Królestwo, gdy wraz z tem zbraknie Staszicowskiego Towarzystwa, któż to stanie się ostatecznym straż-

nikiem *Znicza* Dąbrowskiego, a Kościuszkowskiego *Światła dla społeczności?*

„Na obczyźnie przedewszystkiem włoskiej, zaczem i francuskiej, a naostatek w Warszawie samej zawiązywać się począł nowy w Polsce stan nie stan: ze wszystkich stanów wyłoniona, a rozsypana między niemi warstwa *Inteligencji krajowej.*

„Omawiało się szczegółowo na innych kartach, jak to z przedrozbiorowych „szczątków dawnej chwały", zaczem z uczonych, poetów i pisarzy legjonowych, wreszcie z mieszczan najzdolniejszych urabiał Staszic wraz z najcenniejszymi ludźmi onej epoki elitę umysłową Polski *nowoczesnej.* Ten ich trud wychowawczy przyniósł w plonie—mimo katastrofy 31 roku—nie tylko „utwory genjalne" w pokoleniu następnem, lecz stworzył całą warstwę czołowych pracowników we wszystkich dziedzinach życia.

„Jakże to mówił niegdyś autor bezimiennej ręki o sile wskazań i trudów nowych?

„Siostra, to ambicji i matka przyszłości, z której jest *wola po narodach*".

„Przedstawicielka tej woli *Inteligencja* polska, nie będzie miała odpowiednika ani w społecznym układzie krajów obcych, ani nawet w samych pojęciach ludzi zachodnich, nigdzie bowiem nie stała się ona, jak u nas, przez cały wiek niewoli naczelnym czynnikiem narodowego rozwoju.

„Testament Dąbrowskiego, przekazujący niegdyś wszystkie ślady i znaki swych trudów daremnych ludziom tejże Inteligencji, mówił chyba dość wyraźnie:

Oto jedyni już, a najbardziej niezawodni narodu polskiego *Odnowiciele*".

Odnowiciele! A więc kto? Nie jedna klasa przeciwko drugiej wysunięta, a ludzie ze wszystkich środowisk zszeregowani w jeden zwarty zespół pracowników, dobro całej społeczności polskiej mający na celu i zapewniający jej miejsce obok innych narodów w wielkim pochodzie całej Ludzkości ku swemu przeznaczeniu.

Patrząc na ożywiony piórem Berenta szlak naszych zmagań się i porażek, a jednocześnie na losy ludzi, którzy byli największą naszą chwałą i zaszczytem, spotykamy na każdym niemal kroku tak wiele „aktualji", że się czujemy zawstydzeni, zmiażdżeni, przytłoczeni ciągnącem się pasmem przywar, niedostatków, małości, intryg i w trwodze o los państwa, jego prestiżu, jego samowystarczalności, pragnęliśmy, by wszyscy zechcieli zrobić rozrachunek z przeszłością i wobec grozy teraźniejszości wysnuć z tego obrachunku wnioski i wskazania.

Nadszedł czas, w którym „sięgać sumień ludzkich" powinno słowo drukowane, a także, by „przenieść naostatek tę sztukę w życie publiczne: nauczyć rozumienia namiętności gromadnych; jak uroczyście przemawia w Polsce sobkostwo stanowe, z jakim to namaszczeniem głoszą się w Rzeczypospolitej egoizmy wszelakie".

Na każdej niemal stronie spotykamy albo cytatę, albo też myśl i oświetlenie tamtych odległych spraw podane przez Berenta, które całkowicie nadają się i do dzisiejszych naszych bolączek, — to też polecam te książki gorąco, bo mają one wielką, wychowawczą wartość, obok arty-

stycznej i literackiej. Wykazują one istnienie w Polsce dawnej pewnych zupełnie wyjątkowych warunków życia, pewnego specyficznego układu stosunków, co powinno nas chronić przed stosowaniem metod ratowania zagrożonej sytuacji ekonomicznej sposobami wypróbowanemi gdzieindziej, gdyż przeniesione na nasz grunt mogą się stać szablonami całkowicie u nas martwymi. Jeśli praca nasza ma wydać rezultaty, to musi program swój opierać na znajomości rzeczywistości polskiej, a istotę jej skomplikowania możemy ocenić przez należyte uświadomienie sobie, czem byliśmy w przeszłości, co należy z niej odrzucić, a na czem się oprzeć i co kultywować.

Książki Berenta omawiające przeszłość, służą teraźniejszości i przyszłości w najszlachetniejszym trudzie literackiego dorobku.

*

„Anna" Aliny Segeń [1]) jest powieścią zastanawiającą z racji nieprzeciętnych środków pisarskich, jakimi się posługuje początkująca autorka, przy stwarzaniu ciekawie pomyślanych konfliktów psychologicznych, rozwijających się na tle skądinąd banalnego wątku miłosnego. Młoda autorka porusza nieśmiertelny temat miłości między dwojgiem ludzi, podchodząc doń z oryginalnie narastającym dramatem w sercu kobiety, która, straciwszy ukochanego „uciążliwego cudzoziemca", żyć dalej bez niego nie może — popełnia samobójstwo — zostaje uratowana — po kilku miesiącach nieludzkich cierpień powraca do zdrowia, ale jako istota ułomna, a więc temsamem wyrzucona poza nawias życia normalnego. I tu się zaczyna akt drugi dramatu o dużej sile ekspresji i subtelnej analizie, ujawniający w całej pełni ciekawy zespół pierwiastków twórczych pisarki, a mianowicie: jasność, wnikliwość, logiczność intelektualnego przeżywania osobistej tragedji Anny, obok niemniej intensywnego emocjonalnego ustosunkowania się do swego złamanego istnienia. Ujawnienie w procesie miłosnym momentu myślowego, jasno klasyfikującego rozpiętość skali uczucia, szlachetna zwięzłość stylu, nigdy nie wpadającego w banalność, czy sentymentalizm, oraz wybitnie indywidualne, swoiste podejście do skomplikowanych przeżyć psychicznych, przykuwa do końca uwagę czytelnika i stawia książkę w szeregu cennych pozycyj współczesnej literatury.

*

„Młyn nad Utratą" [1]) Jarosława Iwaszkiewicza stanowi pewną odrębną pozycję literacką. Ogromny talent tego pisarza, który w całej pełni zajaśniał przed dwoma laty w wielkiej piękności „Czerwonych Tarczach", ujawnił się i w tej książce, pisanej jakgdyby na marginesie mody, obowiązującej do pewnego stopnia również w zakresie twórczości literackiej. Przywykliśmy, że większość utworów powieściowych, ukazujących się w czasach ostatnich, ma w sobie podmalowane szeroko tło społeczno-obyczajowe, czy to współczesne, czy też dawniejsze. Dwie nowele, tworzące całość pod tyt.: „Młyn nad Utratą", są właściwie historją najbardziej osobistą kilku ludzi, związanych nie z krajem, nie z jakimi-

---

[1]) Alina Segeń: „Anna". Gebethner i Wolff. 1936. Str. 303.

[1]) Jarosław Iwaszkiewicz: „Młyn nad Utratą". Gebethner i Wolff. Warszawa. Str. 235. 1936 r.

kolwiek zagadnieniami socjalnemi, lecz z przyrodą, która pod piórem Iwaszkiewicza mieni się cudownemi i oryginalnie oddanemi barwami, oraz z wewnętrznemi, wrodzonemi skłonnościami, doprowadzającemi w rezultacie do takich, a nie innych posunięć i rozstrzygnięć. Punkt ciężkości, pion spraw decydujących o losie człowieka, leży w tej książce nie w płaszczyźnie zagadnień ustrojowo-społecznych, nie na terenie konfliktów przez nie wywoływanych, lecz wyłącznie w świecie wewnętrznym, mającym swe prawa, swą logikę, obok jednoczesnych, niezgłębionych irracjonalnych czynników, które może właśnie dlatego, że się wyłaniają z mroków jaźni ludzkiej i mieszczą w sobie tajemnicę jej skomplikowania, tak wszechwładnie nami rządzą. We współczesnej naszej twórczości Iwaszkiewicz zajmuje całkiem odrębne stanowisko właśnie przez owo swoiste i oryginalne podejście do człowieka od strony świata, kształtującego się nie pod naporem wielkich społecznych zagadnień, a od wewnątrz, z nakazu własnej predyspozycji psychicznej. Nieśmiertelne postacie z „Czerwonych Tarcz" również są gnane w wir wypadków nie tylko „duchem" swoich czasów, lecz przedewszystkiem zasłuchane w rytm melodji własnego serca i własnych tajnych potrzeb, wyżywają się w nadawaniu im kształtów realnych.

I gdy tak nowele Iwaszkiewicza są pozbawione pierwiastka społecznego, to jednocześnie są urywki, zawierające rzecz najcenniejszą może z dziedziny stosunku człowieka do człowieka, owo serdeczne podejście do bliźniego, wyrozumienie braterskie dla jego niedoli, przyjacielskie wyciągnięcie dłoni, w momencie, gdy dłoni tej taki brak czuje przy sobie.

„Jednem słowem Karol znalazł się na moście nad Wisłą w towarzystwie komisarza głęboko po północy i bardzo zalany. Nie mogli się rozstać z sobą, dawnc mówili sobie po imieniu i z pijackim uporem powtarzali sobie: „Felicjanie", „Karolu" — kiedy nagle komisarz zatrzymał się na moście, w jednem z tych ładnych, okrągłych zagłębień, gdzie stoją ławki, i spoważniawszy, powiedział:

„Karol, wiesz, moja żona, tu, z tego miejsca...

„I wymownym ruchem wskazał na czarny w tej chwili nurt, który się przewalał spodem, atramentowy w pierwszych zielonych blaskach.

„Karol otrzeźwiał momentalnie i ujął komisarza pod rękę.

„Szli tak przez chwilę w milczeniu, a serce Karola świdrowała nagła i gwałtowna litość.

„Człowiek, Boże, Boże, człowiek...to człowiek... powtarzał teraz...

„Ogromny, bardzo konkretny żal przejął Karola. Żal istoty ludzkiej. Nie tego nieznanego komisarza, którelo porzuci za chwilę, aby się już nigdy nie spotkać. Nie, ale żal człowieka, każdego człowieka, który jest, jak żuk tonący w wodzie, któremu nie można pomóc. Wstrząsające to uczucie przenikało w tej chwili Karola tak, że nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Wódka rozmiękczyła w nim tak dokładnie wszystkie opory, że czuł nadchodzące łzy. Szedł bezwolnie za swoim kompanem. Świtanie zajmowało niebo wielkiemi połaciami nad wieżami św. Florjana. I nagle pijany podkomisarz odwrócił się na miejscu i, ukrywając twarz na ramieniu Karola, zaczął płakać. Donośny płacz, wstrząsający barkami w granatowym mundurze, rozległ się w ciszy nocnej. Karol nie wiedział, co począć. Sam płakał także, ale bezwiednie i z pijaństwa, i

obejmując nowego przyjaciela, patrzył na szeroki pęd wody, na brzegi, znaczone wysokiemi topolami. Powtarzał:

„Cicho, Felicjan, cicho...

„Ty nie myśl tylko, że ja jestem pijany — powtarzał podkomisarz wśród szlochów — i nagle zawstydził się widać własnej słabości, bo opanował się, obciągnął kurtkę na sobie i powiedział pewnym głosem:

„No, dowidzenia, dowidzenia. Wracaj do domu, bo już późno, a ty mieszkasz daleko. Dowidzenia! Zadzwoń ktògoś dnia — wygłosił znaną formułkę, nie podając zresztą numeru telefonu.

„Nim się Karol zorjentował, kroki wojskowe komisarza zadzwoniły o beton chodnika, oddalając się coraz bardziej. Stał przez chwilę i patrzył na odchodzącego. Potem zwrócił się ku miastu, stało całe różowe w zbliżającym się świcie.

„Człowiek, Boże drogi, — powtarzał Karol. — Boże drogi, żałosna istota... Jak to mówi Edyp? O świcie chodzi na czterech, w południe na dwóch, wieczorem na trzech... człowiek... żałosny człowiek... O, Boże! o Boże!"

Prawie zawsze omawiałam zagadnienie picia ze społecznego punktu widzenia na nie — w tej książce, jak już na początku zaznaczyłam, niema ani jednego akcentu społecznego, a więc i wypadki picia są przeżyciami nawskroś subjektywnemi, a mimo to rządzi niemi znane zjawisko, powodowane przez naturę alkoholu, a mianowicie rozluźnienia hamulców, trzymających na wodzy nie tylko owe najniższe instynkty natury ludzkiej, lecz często również i najbardziej może cenne, wartościowe pierwiastki, które spowodu nieznanego nam bliżej tajemniczego mechanizmu naszej struktury psychicznej, nie mogą znaleźć swego wyrazu. Alkohol wydobył u tych dwóch ludzi na powierzchnię to, co w sobie taili, — u jednego łzy żalu, u drugiego owo serdeczne wyczucie niedoli bliźniego. I tu może jest ułomek odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie piją? Jest to owa psychologiczna potrzeba wyładowania się, wyrzucenia z siebie pewnych obolałych spraw, pewnych zawiłych procesów psychicznych, które nurtują i męczą, a wyrwane na zewnątrz, uspakajają się i przycichają. Niektóre typy ludzkie potrzebują wyładowania się i jeżeli ów proces napotyka na jakieś wewnętrzne trudności, to wówczas uciekają się do pomocy sztucznej w postaci narkotyku. Za wiele jest w nich elektryczności, — alkohol odkręca kurki, by niemi prąd uchodził i uwalnia psychikę od nadmiaru materjału dynamicznego.

Na zacytowanym powyżej urywku z książki Iwaszkiewicza dłużej się nieco zatrzymuję celowo, aby wykazać, że zarówno w zapale walki o trzeźwe społeczeństwo, jak i w codziennej, szarej pracy nad wykazywaniem strat i szkód społecznych, wyrządzanych przez alkohol, nie tracimy bynajmniej z oczu owej prawdy, że alkoholizm w bardzo wielu poszczególnych wypadkach ma skomplikowane podłoże psychologiczne, które bynajmniej nie może być podciągnięte pod rubrykę ordynarnego „chamskiego" pijaństwa. Nie zawsze dobrze czynią ci, co upraszczają zagadnienia, i nie zawsze słuszność jest po stronie tych, co na prawo i na lewo, przed sobą i za sobą wywijają mieczem, usiłując uciąć głowę hydrze alkoholizmu. Często w takim wypadku szabla tnie powietrze, a patologiczne czynniki, których wykwitem jest alkoholizm, dalej się rozwijają w odbiegającej od normy psychice danego człowieka. Alkoholizm,

będąc jedną z największych klęsk społecznych, jest jednocześnie w wielu wypadkach objawem patologicznych predyspozycyj jednostki, objawem takich, czy innych kompleksów psychicznych, wymagających specjalnych metod postępowania. W tem miejscu aż się samo ciśnie na myśl zagadnienie alkoholizmu u artystów. Mamy tu do czynienia z machanizmem psychicznym, o którym właściwie nic nie wiemy, którego tajnych kółek i sprężyn nie znamy. Wiemy tyle, że alkohol znosi stany niesłychanie ciężkiego, depresyjnego zahamowania, ułatwia proces ujmowania w formę pewnych wartości artystycznych, a więc w takich wypadkach używanie alkoholu znajduje psychologiczne uzasadnienie; tylko rzecz prosta, nie może służyć dla nikogo, jako przykład, czy jako norma. Podeszłam do tego tematu pobieżnie — bynajmniej go nie wyczerpując, — zaznaczyć tylko jeszcze pragnę, przy nadarzonej tu okazji, że w dziale społecznej walki z alkoholizmem używanie haseł programowych, bijących w oczy, lapidarnych, bezwzględnych, ostrych i bezkompromisowych jest zawsze koniecznością, natomiast w traktowaniu każdego indywidualnego wypadku, musimy stosować dyskretną, wnikliwą analizę podłoża psychologicznego, z którego potrzeba alkoholu wyrosła. Do faktu picia w książce Iwaszkiewicza można podejść tylko z owego indywidualnego punktu, gdyż spowodu ogólnego nastawienia książki wszystkie sprawy są subjektywnym materjałem i zawierają sens swój jedynie, jako pewne wartości w oderwaniu od tła społecznego.

Jest jedno zdanie u Iwaszkiewicza, które pragnę przytoczyć, bo zawiera w sobie głęboką filozofję życiową, jest współczesnem wypowiedzeniem pięknej myśli Kanta o niebie gwiaździstem nad nami i prawie moralnem w nas.

A Iwaszkiewicz powiada: „Nie patrzeć na niebo, i nie patrzeć na to, co się dzieje w człowieku, to przecie jest wielki wysiłek". Istotnie — niebo i człowiek... czy jest coś więcej warte kochania? Oczy każdego z nas, szeregowych ludzi zawisają bodaj na skrawku błękitu, by spokojem i ciszą odetchnąć na chwilę, a serce nasze z sercem drugiego człowieka stara się zawrzeć przymierze, by wspólnie przebyć chociażby część drogi życiowej w dobrej i złej doli. Za nawiasem życia zostają tylko ci, co nie patrzyli nigdy w niebo i nie poznali tajemnicy niczyjego serca. Dokonali wielkiego wysiłku, grzebiąc w ten sposób swe własne szczęście, ślepe i głuche ofiary losu, które nigdy nie zaznały czaru i uroku pełnego, bujnego życia.

*

Skolei wypada mi mówić o książce wyjątkowo ciężkiej, bolesnej, powiedziałabym trudnej. Czytanie jej było dla mnie pewnego rodzaju męką, od której jednak nie mogłam i nie chciałam się oderwać. Czasy nasze są takie, że i w literaturze, i to w literaturze niewątpliwie wysokiej klasy, natrafiamy na głębie, które przepływamy z wielkim wysiłkiem, na kłębowiska takich powikłań, że przedzierając się przez nie, opadamy z sił i popadamy w zupełną niemoc depresji i zwątpienia.

*

Książka Henryka Worcella „Zaklęte Rewiry" [1]) zdumiewa, że człowiek ciężkiej pracy potrafił napisać niesłychanie precezyjne studjum

---

[1]) Henryk Worcell: „Zaklęte Rewiry". Gebethner i Wolff. Warszawa. Str. 425.

psychologiczne, będące świadectwem nietylko jego talentu, ale i wiedzy o skomplikowanym mechaniźmie duszy ludzkiej. Jest to zjawisko chyba nie do pomyślenia w czasach przedwojennych, aby ludzie pracujący w rozmaitych zawodach, z zuchwałą, młodzieńczą energją wchodzili w szeregi piszących, wnosząc tyle ciekawych i wartościowych pierwiastków do twórczości literackiej swej epoki. I jeżeli tylko nie wpadamy w krańcową przesadę i nie twierdzimy uparcie, że to oni, ci „nowi" pisarze rozpoczynają jakąś naprawdę wielką erę piśmiennictwa, przekreślającą wszystko, co dotychczas było napisane, jeżeli nie unosimy się śmiesznym i ciasnym entuzjazmem wyłącznie dla tych wyzwalających się sił i talentów z jawną i tępą krytyką tego wszystkiego, co przedtem było stworzone — to jednocześnie powinniśmy podkreślać doniosłość faktu wypowiadania się w piśmiennictwie ludzi, mających talent i ujawniających go w tworzeniu epopei swego środowiska, gdyż w ten sposób dajemy świadectwo prawdzie o wielkich, utajonych złożach twórczych możliwości, tkwiących w dotychczas „niehistorycznej", „niemej" masie narodu naszego. Rozmaitość form, różnorodność pomysłów, wielotematowość piśmiennictwa stanowi o bujnym rozroście najcenniejszych twórczych pierwiastków, które wyżywając się w literaturze, służą prawdzie życia, naświetlają jego ciemne strony, wyprowadzają masy na szerokie drogi świadomego, odpowiedzialnego istnienia. Sztuka i twórczość przestają być wówczas udziałem ludzi mogących cały czas im poświęcić — widzimy, że artystą, pisarzem, psychologiem można być, wiodąc życie udręczonego, zagnanego pikola. Kim jesteśmy w swej istocie najgłębszej, decyduje tajemnicza, indywidualna moc, z którą się rodzimy, lecz której przez całe długie i mozolne życie nie nabędziemy.

Henryk Worcell (pseudonim), jak podały pisma, jest kelnerem z zawodu — ja wiem, że jest... artystą i to sprawia, że należy o nim pisać. Odsłania on w swej książce świat obcy, nieznany, świat kulis pierwszorzędnych restauracyj, przełamujący się w psychice kelnerów i pikolów makabryczną zjawą niesamowitych udręczeń, czyniących z tych eleganckich, pozornie uśmiechniętych, wyfraczonych ludzi — męczenników, i psychicznie wykolejone ofiary swego zawodu. Artyzm Worcella polega na tem, że czytelnik, stojący jaknajdalej od środowiska opisywanego, jest zasugestjonowany jakąś niesamowitą siłą prawdy, tkwiącej w opisywanych udrękach i koszmarnych przeżyciach pracowników restauracyjnych. Ma się wrażenie, że autor nic nie dodał, nic nie zmienił, że wszystko, co pisze, jest dokumentem autentycznym, wiarogodnym, rzetelnym i precyzyjnym w każdym szczególe. Z tej książki poprostu krzyczy *prawda* o pracy, która krzywdzi w jakimś najbardziej osobistym, tajemniczym, a czułym miejscu duszę człowieka, złapanego w wir opętańczy, szalejący w wyścigowym tempie, w takt muzyki, przy wtórze brzęku naczyń i pod batutą z jednej strony gości, a z drugiej właściciela zakładu, najczęściej złączonych ze sobą atmosferą przesyconą alkoholem, w której zatracili możność panowania nad sobą. Talent Worcella czyni, że ani na chwilę nie wkrada się do świadomości czytelnika pytanie, czy niema w tem wszystkiem przesady. Oglądając oblicze, po raz pierwszy odsłonionego świata kelnerskiego, widzimy i odbicie drugiego oblicza—gości, które z innych przyczyn może tylko przygnębić i przerazić; a drga ono i pulsuje też prawdą, dopełniającą całości obrazu jedynego

w swoim rodzaju. A oba te oblicza, obok innych różnorodnych przyczyn, są zniekształcone jednako, wspólnie przez... alkohol, mający swą historję wybitnie zaakcentowaną w opisach brutalnych scen, których bywał głównym sprawcą i zawsze kompanem nieodłącznym wszelakiej poniewierki ludzkiej.

Powstaje pytanie, co właściwie się składa na fakt, że książka ta jest wyjątkowo bolesna, przykra, deprymująca w czytaniu, Szukamy przyczyny, w czem leży owa niesamowita groza monotonnego życia kelnerów? I odnajdujemy kilka zasadniczych czynników, stwarzających z ich pracy piekło obłąkańczego kołowrotu wyczynów, nabierających pozorów zmagania się z jakąś ukrytą, fatalną siłą, wobec której kelnerzy i wogóle cała służba restauracyjna jest bezsilna. Czynnikami tymi są: wyzysk pracy, — wyzysk tak nieprawdopodobnie bezczelny, że poprostu społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy, do jakich granic podłości jest on posunięty; stosowane na szeroką skalę, poniekąd obyczajowo — bicie, a więc poniewieranie całkowite godności ludzkiej; oszalałe tempo samej pracy; no, i do tego wszystkiego dodany alkohol, którym się raczą wszyscy — i wyzyskiwacze, i wyzyskiwani, i goście. W takiej to atmosferze przebywamy i trzeba podkreślić,że jesteśmy do głębi wstrząśnięci grozą, przemawiającą z książki nie skargą, lecz obrazem rzeczywistości, odsłaniającej swe podziemia, w których męczą się ludzie, jakgdyby zapomniani przez społeczeństwo i przez ustawodawstwo. Książka ta jest niewątpliwie doniosłego znaczenia dokumentem pewnego odcinka naszej współczesności, jest czynem społecznym, dokonanym nie tylko przez znawcę omawianego środowiska, lecz jednocześnie i przez artystę-psychologa, władającego świetnie słowem i umiejącego operować materjałem w sposób prawdziwie wnikliwy i rzeczowy.

Bicie, kopanie, szturchanie przybiera charakter w niektórych wypadkach sadystycznego znęcania się nad słabszym, chwilami zaś są to jakgdyby odruchy jakiegoś nerwowego podrażnienia, znajdującego ujście w rozdawaniu na prawo i lewo policzków i uderzeń. Biją po pijanemu, biją i na trzeźwo, obrzędowo, zawodowo.

„Od tego czasu nienawiść jego do Fornalskiego wzrosła. Kelnera tego nie lubił od samego początku, od chwili, gdy go ujrzał pijącego piwo w bufecie. Już wtenczas pierwszym spojrzeniem jakby zarzucili na siebie haczyki, których nie można cofnąć bez zadania bólu, Fornalski pociągał za ów haczyk — Romek jeszcze nie. Podczas ruchu było to usprawiedliwione. Romek nie liczył szturchańców, kułaków, kopniaków, policzków, szarpań za włosy i uszy, przekleństw mniej lub więcej wymyślnych. Widział, że kelnerzy podczas ruchu są zdenerwowani i biją; a każdy inaczej. Palmiak uderzał w twarz, a czasem w wielkiej złości bił na ślepo, gdzie popadło. Malutki Grela tupał nogami, jak królik i uderzał jakoś śmiesznie, końcami palców, po czole, po policzkach, po nosie, przy czem równie śmiesznie krzyczał: „psiakrew! dlaczego nie podałeś piwa! smarkacz! psiakrew!" Im więcej był zdenerwowany, tem bardziej jego głos był urywany. Ugor i Warga, z wyglądu zewnętrznego podobni do siebie jak bracia, różnili się temperamentem. Ugor niesłychanie łatwo popadał w złość. Jeśli pikolo nie dosłyszał czegoś i pytał się po raz drugi, natychmiast głowa jego dostawała się w ręce Ugora. Gdy Romek doświadczył tego po raz pierwszy — był przerażony, za drugim razem był

tylko zdumiony, za trzecim już nie mógł się wstrzymać od wesołości. Ręce Ugora nie sprawiały bólu, ruchy ich bowiem były za szybkie. Pikolo doznawał wrażenia, że w głowę jego ze wszystkich stron naraz spadło kilkaset piłek gumowych. Henek opowiadał, że po każdej takiej furji Ugorowych rąk, wszystkie meble w głowie ma poprzewracane, a w tym, co na wierzchu, wcale nie może się połapać, tak to wszystko zmierzwione i poprzestawiane — zdawało mu się, że włosy rosną na policzkach, nos na czole, uszy na karku.

„Warga uderzał tylko raz w policzek, poczem natychmiast chwytał pikola za rękę i mówił: „no widzisz, no widzisz".

„Kamiński, człowiek niepozorny, nie posiadający wybitnych cech fizycznych, ani umysłowych, używał pięści bardzo rzadko. Szturchańce wywoływały u pikolów zdziwienie: „cooo? ten także chce coś pokazać?" Krępy, nieruchliwy Tur, co najwyżej zamierzał się: „ty, bo jak ci dam!" i na tym się kończyło. Synaj nie umiał bić; zazwyczaj pchał miękką pięść w twarz pikola i cofał ją, jak gdyby ze strachu, żeby oka nie wybić, lub krwi z nosa nie puścić, czasem kopał kolanem w pośladek, a to przecież wcale nie bolało. Specjalny nadużywał trochę pięści, pikole jednak nie mieli do niego urazy z tej przyczyny, raczej byli mu wdzięczni, że używa pięści do szturchania w żebra, a twarz zostawia w spokoju. Poza tem Specjalny odznaczał się wyrozumiałością — bił wtenczas, kiedy pikolo istotnie na to zasłużył.

„Co do Teodora, można było przewidzieć tylko jedno: że będzie bił w głowę — na ogół był nieobliczalny. Pikole pracujący na jego rewirze mogli się spodziewać w każdej chwili furjackich ciosów, jak również liczyć na to, że karygodne niedbalstwo ujdzie im bezkarnie. Jedynie Adaś nie miał żadnych złudzeń. Przezwano go „ulubieńcem Teodora" — raz dlatego, że Teodor jego najbardziej bił, po wtóre, co się może wydać dziwne — istotnie lubił go najbardziej ze wszystkich pikolów, przekomarzał się z nim, dzielił winem pozostałym od gości i dbał o napiwki, co jednak nie wstrzymywało Adasia od mściwego niszczenia Teodorowych bloczków na pięć, lub dziesięć złotych, zależnie od jakości doznanej krzywdy.

„Ale największe niespodzianki robił Fornalski — przed nim pikole nie umieli się zasłaniać; jeśli bowiem nie uderzał w policzek, lub wierzchem dłoni w zęby, to chwytał za nos, za skórę na karku, za włosy, za uszy, szturchał w plecy, kopał kolanem, lub wreszcie swoim olbrzymim ciałem popychał pikola, tak, że ten odbijał się, jak piłka i padał na ścianę, albo przebiegał całą długość korytarza i z impetem uderzał w drzwi. Ostatecznie pikole woleli to ostatnie niż uderzenia w zęby.

„Chłopcy stanowili dla kelnerów pewnego rodzaju klapę. Gdyby w Pacyfiku brakło pikolów, byłoby więcej awantur i więcej czerepów szklanych i porcelanowych".

„Z początku uderzenia Fornalskiego były prawidłowe, klasyczne w swoim rodzaju, głowa pikola w miarowych podrzutach przeskakiwała raz w prawo, raz w lewo, potem jednak wymknęła się, Adaś zatoczył się w tył i upadł na bufet. Dopóki opierał się o ladę, Fornalski tłukł go zawzięcie po górnej części ciała, gdzie popadło, po głowie, po twarzy, po szyi, a gdy Adaś usunął się na podłogę i zasłonił głowę łokciem, kelner zaczął pracować nogami. Podczas tego reszta zachowywała się spokoj-

nie. Dopiero, gdy Adaś, ugodzony butem w głowę, skulił się jak ślimak, dołeczki na policzkach Synaja znikły, Palmiak odrzucił papierosa, a Teodor zerwał się z krzesła.

„Ludwik! Daj mu już spokój, zostaw, ma dość, wcisnął się między Fornalskiego i Adasia, — zostaw, on już będzie pamiętał, mógłbyś mu co zrobić!“

Trzeba zaznaczyć, że kelner Fornalski pił więcej od swych kolegów — prawdopodobnie więc to jego potworne znęcanie się nad chłopakiem było podsycane stanem stałego „podgazowania“.

Restauracje i bary wszelakiego rodzaju, począwszy od pierwszorzędnych, a skończywszy na najpośledniejszych, są tak samo rozsadnikami zarazy alkoholowej, która tam się krzewi bujnie, mając warunki sprzyjające i ułatwiające zaopatrzenie się w przeróżne gatunki alkoholu. Pijatyki rozpoczynają pikole, umiejąc się wybornie zakonspirować — rzecz prosta już jako kelnerzy stają się nałogowymi konsumentami trucizny, doprowadzającej ich prawie zawsze do jednej z wielu katastrof życiowych.

„Ale pewnego wieczoru Romek słusznie zauważył, że niebezpiecznie w bufecie się upijać, bo to i z ust czuć i słowa się plączą. Więc zaczęli wódkę do mieszkania nosić. Z początku małymi flaszeczkami, później w większych ilościach, bo i Adaś przystąpił do spółki, wreszcie całymi flaszkami, tak, żeby dla Heńka i innych wystarczyło. W końcu doszło do tego, że każdego wieczoru pikole zamawiali sobie u Fryca i Romka, coraz to inne gatunki koniaku i likieru — ci zaś, nie chcąc się codzień narażać na niebezpieczeństwo, radzili sobie w ten sposób, że przy sprzątaniu pustych flaszek kładli do koszyka pełne i wynosili je na podwórzec do garażu, a zabierali po skończeniu pracy, wracając tylnymi schodami do mieszkania; mieli już zapas na kilka dni, zapas ukryty w materacach i szafach z bielizną“.

Kelnerzy są stale w stanie sztucznego podniecenia, które przy najlżejszym, najbłahszym sprzeciwie ze strony zależnego od nich pikola, wywołuje objawy niepohamowanego gniewu. Romek zwrócił uwagę Fornalskiemu, że sześć złotych, których nie może się do rachunku doliczyć, przepił, więc nic dziwnego, że brak mu potrzebnej sumy, i o to, co się dzieje jako bezpośredni odwet za wytknięcie przepicia tych kilku złotych:

„Romek wcale nie uciekał. Owszem, patrzył Fornalskiemu prosto w oczy, dopóki nie stracił równowagi w nogach. Ostatnie uderzenie zmiotło go w bok, więc zawadził o róg stołu i runął na krzesło. Podniósł się szybko i przyłożył dłoń do kości policzkowej — tam go najbardziej bolało. Nie widział nic, słyszał tylko głos Fornalskiego: „gówniarz cholerski, on mi będzie morały prawił!“ Miał ochotę rzec w odpowiedzi coś wzniosłego, ale poniechał tego, gdyż czuł, że wzniosłość w połączeniu z jego mizernym wyglądem wywoła śmieszny efekt. Z dłonią przyłożoną do kości policzkowej, powłókł się do garderoby i tam stanął przed lustrem. „Ciekawe, że tak boli, powinien być znak“. Odjął rękę od policzka „nie ma nic, nawet nie spuchnięte. Ale później spuchnie? Nie? Spuchnie, na pewno spuchnie! He, he... jak Boga kocham, że spuchnie“.

„Przybliżył się do lustra, wskazujący palec przyłożył do kości policzkowej, drugą ręką nacisnął palec i zamknął oczy. Tarł, tarł z całej

siły, dopóki nie poczuł, że palec ślizga się po czymś lepkim. Poczem otwarł oczy i spojrzał w lustro — na kość policzkową wystąpiła lepka rosa o zabarwieniu żółto-różowym. Cofnął się parę kroków w tył i przyjrzał się z daleka, ciemna plama pod okiem miała wygląd wcale groźny, szpeciła całą twarz. „He, he... jak Boga kocham, trzy dni urlopu".

Opis nocy Sylwestrowej, który mamy podany, jako przeżycia psychiczne kelnerów i pikolów, oraz, jako beztroską zabawę gości przybyłych się rozerwać i wypić na pomyślność Nowego Roku, budzi wprost przerażenie, spotęgowane jeszcze przeświadczeniem o bezcelowości tej całej męki. Czyż zabawa, mająca być celem dla jednych, powinna być źródłem takiego wyuzdanego znęcania się nad najsłabszymi? Dlaczego wszyscy godzimy się na istnienie takiego piekiełka, służącego ku uciesze jednych, wzbogacaniu się drugich i poniewierce trzecich? A faktycznie i jedni, i drudzy, i trzeci zatracają swą godność człowieczą, staczają się w odmęt zagłady moralnej. I tu alkohol jest bez najmniejszej wątpliwości gubicielem ludzkich sumień, niszczycielem rodzaju ludzkiego, pośrednikiem w wyzwalaniu dzikich instynktów, drzemiących na dnie duszy człowieczej. Dla nas, działaczy abstynenckich, ta epopeja stanu kelnerskiego jest nietylko objawieniem faktycznej prawdy o jego losie, lecz również odsłonięciem gangreny toczącej społeczeństwo, a ukrytej i przyczajonej pod osłoną fascynującego dekorum, który tak umieją umiejętnie wyzyskiwać ciemne elementy, żerujące na nieśmiertelnej ludzkiej żądzy użycia za wszelką cenę.

Oto opis owej nocy w pewnym skrócie: „I rzeczywiście wszystko zaczęło się dobrze. O godzinie dziesiątej kilkanaście osób zajęło cztery stoły na raz. Więc za jednym obrotem Romek przyniósł wódkę do wszystkich czterech stołów, a Grela zimne zakąski, potem znów za jednym obrotem piwo do wszystkich stołów. Gdy w pół godziny później nowi goście zajęli trzy stoły równocześnie, pierwsze cztery były już chwilowo zaspokojone. Tymczasem za portjerą na sali szum wzmagał się spontanicznymi wybuchami. Pierwszym takim wybuchem był metaliczny brzęk serwisu i półmisków, brzęk ten już nie ustawał, ale później zagłuszył go powtórny wybuch, tym razem melodyjna kaskada dźwięków szkła, wzmagająca się z każdą minutą i w końcu przygłuszona trzecim wybuchem — piskliwym śmiechem kobiet. Potem to wszystko zgmatwało się, że powstał jazgotliwy bulgot, można było mniemać, że tam, za portjerą, lecą z góry olbrzymie masy wody i bryły lodowe, uderzające o siebie i rozpryskujące się jak dzwony ulane z kruchego metalu. Dobrze było Romkowi w gabinecie, bo gruba portjera oddzielała go od sali, a cztery ściany miały tę właściwość, że były czemś konkretnem, więc nie musiał wyobraźnią stwarzać sobie drutów kolczastych, odgradzających jego rewir od wszechświata.

„O wpół do dwunastej gabinet już był zapełniony, goście zaczęli wino zamawiać. Greli chodziło o to, żeby z winem pośpieszyć, a nie czekać, jak to zwykle bywało, na ostatnie minuty przed zgaszeniem światła, kiedy już nie można zdążyć; więc Romek namawiał gości, lał wino do kieliszków i odstawiał próżne butelki pod kredensowy stół, a gdy goście pukali, lub wołali: „kawalerze"! odwracał się sztywno i męskim głosem odpowiadał: „w tej chwili służę!" Tak mu się wszystko dobrze składało, że na trzy minuty przed 12-tą mógł stanąć w przejściu między

gabinetem, a salą i czekać zgaszenia świateł. Postanowił nie poddać się wzruszeniu i z pewną wyższością i krytycyzmem przyglądać się ludzkiej głupocie. Oto, naprzykład, na jedynce u Palmiaka już się zaczęli całować. Rudolf drobnym truchcikiem pędził do garderoby, pan Albin spoglądał w górę i dawał jakieś znaki londynerowi stojącemu w oknie na piętrze. Garderobiany oraz jego pomocnik i jeden z boyów hotelowych trzymali już ręce na kontaktach elektrycznych, a twarze ich wyrażały niebiański zachwyt. Orkiestra grała żałobnego marsza, tłusty kapelmistrz dyrygował falistymi ruchami rąk i uśmiechał się anielsko do starej Pancerowej, siedzącej w otoczeniu krewnych na przeciwległym balkonie, obwieszonym bibułami. Już tylko jednej minuty brakowało do dwunastej. Barwne wstęgi huśtały się uroczyście od lampy do lampy, a tu i owdzie z ruchliwej masy na dole, wystrzelały kolorowe korkociągi serpentyn, krzyżowały się, zahaczały o lampy, oplątywały głowy kobiece, lub ginęły pod stołami. Wrzawa, śmiech, pykanie korków od szampana, hurgot krzeseł — setki par oczu, trwożliwie czepiające się wielkiej wskazówki zegara wiszącego nad bufetem. Nagle orkiestra przestała grać, sala uciszyła się, słychać tylko było szmer rozmów i coś, jakby westchnienia. Naraz zgasły wszystkie światła. Oooo... zaszemrało na sali.

„Gdzieś z głębi Pacyfiku ozwały się miarowe uderzenia bębna — były tak poważne i uroczyste, że Romek, czując gęsią skórkę na plecach, chrząknął i, o ile możności najprozaiczniej, sięgnął do kieszeni, jakby po zegarek. Gdy bęben zamilkł, orkiestra zagrała marsza powitalnego, a równocześnie z okna pierwszego piętra wyfrunął anioł z cyframi nowego roku, utworzonymi ze sztucznych ogni. Przez parę minut cyfry te syczały i pryskały iskrami, a w ich oświetleniu Roman ujrzał całujące się pary i małe świnki, biegnące z kwikiem, pod stołem w pobliżu bufetu, tam właśnie kobiety najgłośniej piszczały. Wreszcie zaświecono lampy, z góry posypał się istny deszcz konfetti i serpentyn, potem czerwone i niebieskie baloniki".

Mamy więc plastycznie przedstawiony wygląd sali restauracyjnej, rozbawionego towarzystwa — dalej następuje opis, jak pijany Pancer, właściciel restauracji, śledzi swych kelnerów i pikolów, i jak ci ostatni, przytłoczeni nadmiarem obstalunków, bo jest ich za mało, by normalnie obsłużyć gości, wpadają w stan graniczący z niepoczytalnością.

„W ciągu następnych godzin Romek chodził coraz wolniej i coraz flegmatyczniej powtarzał swoje: „W tej chwili służę"; był jak automat działający sprawnie, ale tylko do pewnego czasu, dopóki sprężyna jest nakręcona. Wreszcie do tego stopnia zesztywniał, że nawet przybycie nowych gości nie przyśpieszyło jego kroków i nie wywołało ożywienia na jego twarzy". W pewnej chwili „Romkowi krew napłynęła do policzków. Chciał coś odpowiedzieć, zakląć, ale ujrzawszy kilka par oczu przyglądających się mu nieżyczliwie, wykrzywił twarz w błazeńskim uśmiechu, bąknął coś niezrozumiałego i wyszedł na salę. W każdym swoim słowie, w każdym kroku, we wszystkiem, co robił, i co by chciał robić, czuł bezsens i sztuczność. Chciałby się pośpieszyć, biegnąć do bufetu i do kawiarni, krzyczeć, zamawiać, śmiać się i przeklinać żartobliwie, ale nie mógł tego robić, bo to by się nie zgadzało z czemś, co tkwiło w całym jego organiźmie już od początku tego wieczoru, a może jeszcze wcześniej. Robił jednak nieudolne wysiłki w tym kierunku. Idąc przez salę,

złośliwie zrywał serpentyny, ale wiedział, że nie powinien tego robić, bo go serpentyny wcale nie złościły, na gości spoglądał ostro i marszczył brwi, a zarazem czuł niedorzeczność marszczenia brwi, niedorzeczność w każdym ruchu, w każdym spojrzeniu".

I oto podczas tej półprzytomnej wędrówki Romana po sali, pada rozkaz starego Pancera, by chłopak przyniósł mu natychmiast na balkon dwie butelki Giseltera. Polecenia nie spełnił, nie mógł spełnić, bo Giseltera zabrakło w bufecie, a nikt nie chciał iść do piwnicy po niego — w chaosie poleceń i rozkazów nikt nie mógł i nie chciał nikogo słuchać, nikomu pomóc. Faktem było, że Pancer za niedostarczenie Giseltera zawołał Romka do siebie.

„Romek stanął przed nim w postawie na baczność. Proszę bardzo? i w tej samej chwili spostrzegł, że stary jest pijany.

„Potem już nic nie widział. Czuł tylko tępe, ordynarne uderzenia w nos, w policzki, w głowę i słyszał wciąż jedno i to samo pytanie: „dlaczegoś nie przyniósł, dlaczego! a dlaczego?" Ktoś, zdaje się, że pan Albin — objął go za plecy i pchnął w kierunku sali.

„Uciekaj, uciekaj".

Tak się skończyła noc Sylwestrowa nie w jednym zakładzie i nie z jednym tylko Romkiem; takich zakładów i takich Romków jest bardzo wiele, dlatego nie można zasłaniać oczu na to, co się dzieje nie tylko w noce Sylwestrowe, ale stale, ciągle. Zastanawia mię pytanie, czy książka ta wywoła w społeczeństwie jakiś oddźwięk, czy ona zmusi do zastanowienia się nad faktycznym stanem rzeczy, czy poruszy myśl krytyczną, że jest w tem coś bardzo złego, bardzo niebezpiecznego, i zgoła urągającego wszelakiemu, bodaj najprymitywniejszemu poczuciu sprawiedliwości społecznej. Zastanawia mię pytanie, czy nie odezwą się głosy protestu, by zaprzestać łączenia zdrowej, naturalnej potrzeby zabawy z pijaństwem i wyzyskiem pracy innych? Jestem pewna, że całonocne restauracje, gdyby nie były miejscem alkoholowej libacji i miały dostateczną ilość pracowników, całkowicie zmieniłyby swój charakter i stałyby się miejscami, gdzie można byłoby niezmiernie miło pod względem towarzyskim czas spędzić. Tylko rzecz prosta, nie stanowiłyby źródeł takich wielkich dochodów, jakie przynosi właścicielom zysk z wypitego alkoholu. I tu leży właśnie cała istota zagadnienia: bogacenie się kosztem innych, za cenę cudzej zguby i cudzego nieszczęścia. Uczęszczałaby do takich zakładów publiczność, pragnąca się zabawić, posłuchać muzyki, potańczyć, znaleźć się w towarzystwie dla siebie miłym, byleby tylko nie być w środowisku przepojonym alkoholowym rozwydrzeniem.

Niektóre urywki w „Zaklętych Rewirach" są jakgdyby obrazową ilustracją do wykładów, które słyszymy na Kursach, gdzie się poucza o niezbicie stwierdzonym związku między rozpustą, a alkoholizmem. Gdyby nie alkohol, byłoby znacznie mniej brutalnych objawów wyuzdania seksualnego, którego mamy tak wiele i tak jaskrawo, publicznie się manifestującego. Oto jedna z takich scen w opowieści kelnera, naocznego świadka:

...„tyś jeszcze wtedy był w umywalni, ale ją znasz, bo czasem przychodzi do kawiarni — no, ta, Stalichowska, artystka z teatru „Fredreum". Teraz się trochę uspokoiła, ale przedtem! Słyszałeś o tym inżynierze, co się w „Wiedeńskiej" zastrzelił? Ponikowski się nazywał. To

przez nią. Z początku, kiedy przychodziła do nas, myślałem, że to jej mąż. Stale bywali na obiadach i na kolacjach i zawsze dostawałem od niego dwa złote. Raz przyszli w niedzielę, po teatrze i zamówili kolację. Gości było pełno, przychodzili z kin i teatrów. A po dwunastej wpada duże towarzystwo i siada w rogu na „amerykance" u Ugora. A Ugor, jak Ugor, zaraz im ładuje puchę z kawiorem i Martella. Jak się zaczęli bawić. Jedna flaszka koniaku, druga flaszka koniaku i kawior, a potem Mumma. Mieli ze sobą dwie dziwki, uchlały się i tak się darły, że goście zaczęli się wynosić. I o drugiej już nikogo nie było, tylko to towarzystwo i Stalichowska z inżynierem. Ponikowski zawołał na Grelę i chciał płacić, ale jej się wcale nie śpieszyło. Niby to słucha, co on mówi, ale tak bokiem zerka na duży stół. Tam był jakiś młody hochstapler, zdaje się, że jej znajomy, bo się jej kłaniał i też na nią patrzył. I on posłał po kapelmistrza. A ten jak Cygan, jak zacznie grać! Dostał wtedy chyba ze sto złotych. Ja już miałem rewir posprzątany, więc sobie stanąłem pod palmą i patrzę. Ten, co się Stalichowskiej kłaniał, woła na kapelmistrza, coś mu gada i wsuwa do ręki banknocik. Kapelmistrz elegancko się ukłonił i wali prosto do Stalichowskiej i zaczyna grać, ale powiadam ci, jak Cygan na weselu! Najpierw grał wiedeńskiego walca, a potem rosyjskie kawały. Muzyka to jest cholerska rzecz, robi z ludźmi, co się jej podoba. Mnie samego tak rozebrało, że gdybym był gościem i miał tysiąc złotych, to słowo daję, wszystko bym puścił, żeby tę babę dostać. A ona z początku siedzi, jak nieżywa, dopiero przy rosyjskich kawałkach zaczyna tego... w oczkach ogniki, a piersi to tak, o... i cały czas patrzy na tego z amerykanki. Jak samica! A Ponikowski! Blady, jak trup, wierci się na krześle, rozgląda się na wszystkie strony, szuka czegoś po kieszeniach. Ten z dużego stołu morowy był. Wstaje i woła: „może byśmy zatańczyli trochę?" Przedstawił się Ponikowskiemu, ją pocałował w rękę i zaczynają tańczyć. A kapelmistrz o mało się nie przewrócił, tak się wygibał nad tymi skrzypcami, jak Cygan. Nie wiem, jak tam dalej poszło, bo musiałem srebro liczyć, ale gdy wróciłem, to na sali było jak w kabarecie. Na żądanie Stalichowskiej znieśli fortepian z balkonu. Tamci tańczą, a ona gra! Myślałem, że szału dostała. Włosy miała zwichrzone, jak czarownica, nogi rozkraczone, aż jej podwiązki było widać. Nie znam się na muzyce, ale jakem na nią patrzył i słuchał, jak grała, to aż mnie coś ściskało, ale jakem na nią patrzył, bo tak to nie. Czasem przestaje grać, przechyla się w tył i wrzeszczy: „wina"! A ten z amerykanki na to tylko czeka, leje szampana do kielicha i przykłada jej do ust. Słowo daję, wszyscy byli, jak zwarjowani. Obrusy mokre, krzesła poprzewracane, na podłodze pełno szkła, a powietrze jak w wędzarni. Już się nic nie ceregiowali. Posłali jeszcze po dwie dziwki — musiały zaraz tyle wypić, żeby były pijane, jak tamte. Był tam, jakiś stary pryk w okularach, ha! co on nie wydziwiał! Rymnął do nóg najmłodszej dziwki i całował ją po bucikach i pończochach — myślałem, że go krew zaleje, tak skomlił u jej nóg! A ta młoda, jakby go nie widziała, śmieje się, piszczy, podnosi kieliszek do góry, z jednej strony jeden ją całuje, z drugiej drugi ściska. Jak się tak zaczęło robić, więc ja, Antek, Józek i jeszcze któryś zwialiśmy do gabinetu, bośmy się bali, żeby nas Albin nie wypędził spać. Stalichowska już się całkiem upiła, gra jakieś fantazje i śpiewa ochrypłym głosem. Potem przechyla się w tył i wrze-

szczy: „wina", a wtenczas krzesło się przechyliło i grrruch! do góry nogami. I nie chciała wstać. Aż mi się dziwnie zrobiło!... Taka świetna aktorka, w najlepszych sztukach grywa, a tu leży na podłodze, jak szmata i piszczy, jak histeryczka z plant. Ten hochstapler chwieje się na nogach, ale chce ją podnieść z podłogi. Ale ona nieee... gryzie po rękach i piszczy: „Kaziu, zostaw, ja chcę w błocie leżeć, w błocieeee, w błocieee..." Ale potem się jakoś podniosła i nawet nie wyglądała na taką pijaną. I wtedy Ponikowski kiwnął na mnie i zamówił sodową. Idę po tę wodę do bufetu, a Albin na mnie z pyskiem: „co ty tu jeszcze robisz! Wynoś się spać!" Powiedziałem mu, że pójdę, tylko wodę gościowi podam. Jakem ja stawiał przed Ponikowskim, tak mimo woli zerknąłem na kalendarzyk, co leżał przed nim na stole. Widzę, jest tam poniedziałek, wtorek i cały tydzień, i przy każdym dniu coś notowane. Ujrzałem tylko „100 zł." pod wtorkiem, a niedziela to była całkiem zapisana. Ledwiem odszedł od niego, a ten mnie woła z powrotem: „tyś tu usługiwał?" Wyjmuje z portfelu pięć dolarów i daje mi: „weź sobie to na pamiątkę". Uważasz, na pamiątkę powiedział. Mnie to wtenczas nie dziwiło, bo przecież gość zawsze może coś dać pikolowi na pamiątkę, nawet pięć dolarów. Ledwiem mu podziękował, a tu Albin woła na mnie, żebym się wynosił spać, i idzie do gabinetu. Więc ja lecę tam i wołam na tamtych, żeby uciekali, bo Albin idzie. I nic nam nie zrobił, bośmy uciekli, a jemu nie chciało się gonić. Co potem było, to już dokładnie nie wiem, bo z góry źle było widać i Albin nam groził. No i w niedzielę, jakoś koło dwunastej w nocy, przychodzi do nas Mikrut z „Wiedeńskiej" i powiada, że Ponikowski się u nich zastrzelił w toalecie".

Czytając taką scenę i wiedząc, że niema w niej fantazji, można tylko jeszcze mocniej się utwierdzić w przeświadczeniu, że w każdym programie moralnego odrodzenia narodu musi się znaleźć hasło systematycznej walki z alkoholizmem na wszystkich odcinkach życia. Nikt nie może się zasłaniać brakiem wiadomości, brakiem uświadomienia w tej sprawie. Najlepszym nauczycielem jest samo życie, a książka Henryka Worcella będąca tegoż życia wizerunkiem wiernym, musi się przyczynić do skutecznego zaniepokojenia opinji myślącej części społeczeństwa. A z tego niepokoju, jako dalsze jego następstwo, rozszerzy się zespół ludzi pragnących czynnie wziąć udział w naprawie obyczaju, czyniącego takie głębokie spustoszenia w psychice ludzkiej, podkopującego jej najdelikatniejsze i najcenniejsze walory intelektualne i etyczne.

Hanna Nałęcz - Ostrowska Szymańska.

WIDZIANE I PRZEŻYTE.

4.

M a ł y W ł a d e k.

Bywa tak w życiu, że ludzie noszący te same imiona, czują do siebie żywszą sympatję. Czem się to dzieje — nie wiadomo. Może tym poczuciem, że się jest pod sztandarem tego samego świętego Patrona. Albo, sądząc o sobie jak najlepiej, zdaje się nam, że imiennik posiada te

same zalety, a w każdym razie posiada ich więcej, niż każdy inny, o obcym imieniu. Wszystko jedno zresztą dlaczego, ale tak jest.

Nic więc dziwnego, że wielką sympatję uczułem do małego Władka, tembardziej, że był synem serdecznego przyjaciela.

Często się zdarza, że, będąc w gronie jakiejś rodziny, słyszy się hymny pochwalne na cześć dziecka.

— Powiadam panu, że nasz Staś, to cudowne dziecko — mówi mamusia, a krytyczniejszy trochę ojciec dodaje:

— Nie dlatego mówię, że to moje, ale naprawdę nadzwyczajny chłopak.

Zaś babcia, pragnąc dać dowód tych nadzwyczajności, proponuje chłopaczkowi:

— Stasiu, powiedz panu bajeczkę, której cię babcia nauczyła.

Cudowne dziecko pokazuje gościowi język, znika w drugim pokoju i po chwili zjawia się z bohaterską miną, ciągnąc kota za ogon.

— A fe — Stasiu, co ty robisz? Dlaczego męczysz burusia? Co sobie pan o tobie pomyśli? — słychać grzeczne powiedzenia taty, mamy i babci.

— To jest kot — odpowiada Staś i kładzie kota gościowi na kolana.

Dręczone zwierzę protestuje przeciwko takiemu traktowaniu, drapie gościa po rękach i ucieka do kuchni. Staś nie daje za wygraną, biegnie za nim i tak powtarza się historja kilkakrotnie.

— Rzeczywiście nadzwyczajny chłopak — mówi wreszcie gość, a w duszy zarzeka się, że noga jego tu więcej nie postoi.

Nieraz słyszy się:

— Ach, jaki on śliczny!

Dzieciak zaś wygląda tak, że poczyna się wierzyć w teorję Darwina.

Ponieważ miałem sposobność spotykać takie cudowne dzieci, więc niezbyt chętnie przyjmowałem zaproszenie mojego przyjaciela, gdy na poparcie swej serdeczności i na zachętę dodał:

— Poznasz żonę, syna, zjesz z nami kolację. Po co wreszcie masz się tułać po hotelach, kiedy u nas możesz wygodnie przenocować.

Tułałem się wtedy naprawdę po hotelach. Niedawno porzuciłem posadę, a ponieważ ani chwili nie mogłem usiedzieć bez pracy, więc zaangażowałem się do pewnej nowopowstałej wytwórni wódek i likierów w charakterze komiwojażera.

Nie przypuszczałem wtedy, że ten mały Władek nakłoni mnie do porzucenia tej gałęzi pracy.

Kto wie, czy to nie on otworzył mi oczy, czem jest alkohol, a z pewnością on zasiał we mnie tę troskę, która ustawicznie idzie za mną, która mi nieraz wyrywa z piersi chęć okrzyku:

— Jeżeli już my, starzy, marnujemy życie przez nałóg — chrońmyż przynajmniej dzieci przed tą trucizną!

I dziś, gdy patrzę na spustoszenie, jakie wśród ludzi różnych kast szerzy alkohol, zjawia się przede mną mały Władek.

Widzę mimo odległości lat przeszło dwudziestu jego główkę dziecięcą ozdobioną dużemi, trochę niespokojnemi oczami, ustami pięknie zakrojonemi i jasną bujną czupryną.

Cztery lata liczył chłopczyk.

Milczący siedział przy stole, gdyśmy we czworo spożywali kolację. Oczy jego tylko rzucały spojrzenia raz na ojca, raz na matkę, to znów przelotnie na mnie.

Odnosiłem wrażenie, że jest to wzrok jakiejś starszej osoby, która pilnuje, by któreś z nas — dzieci — nie popełniło czegoś, coby było grzechem przeciw dobremu wychowaniu.

Niepokój jego dawał się szczególnie wyczuwać, ilekroć mój przyjaciel napełniał kieliszki, bo piliśmy, jak by to był stół nie rodzinny, ale zgoła restauracyjny.

Sądziłem z początku, że to ze względu na moją osobę, gdyż przyznałem się przyjacielowi, czem się trudnię.

Sądziłem także, że chłopczyk wita to zdarzenie, jako nowość przy stole. Zorjentowałem się dopiero nieco, gdy po piątym coś kieliszku, matka sama chwyciła za butelkę, by napełnić kieliszki, a mały Władek zwrócił nań proszące oczy:

— Mamusiu! — już nie pij, znów ci zaszkodzi.

Uczułem na sobie spojrzenie przyjaciela. Sam oczu nie śmiałem podnieść z nad talerza, a wszyscy troje nie śmieliśmy sięgnąć po kieliszki.

— Masz tu Władziu jabłuszko — przerwała krótką ciszę żona przyjaciela — i idź poproś Hanusię, by ci pościeliła łóżeczko i śpij spokojnie.

Mały Władek wstał od stołu, ucałował ręce rodzicom, skłonił się w moją stronę, powiedział szeptem:

— Dobranoc — i pobiegł do drzwi.

Uczułem ulgę. I nie tylko ja sam, jak zauważyłem.

Pani domu dotychczas milcząca, ożywiła się nagle. Popatrzyła na mnie i, biorąc za kieliszek, śmiała się:

— Panu chyba nie zaszkodzi ta drobnostka? A o mnie proszę się nie obawiać. Mąż także dotrzyma nam towarzystwa. Nabrał przy mnie wprawy.

Ostatnie słowa powiedziała z jakimś drwiącym bólem. Cichy żal drgał w tem powiedzeniu.

— Biedny mój Henryk dopiero przy mnie nauczył się pić. Kocham go za to, bo proszęż powiedzieć, czy może mężczyzna dać kobiecie większy dowód swojej miłości nad ten, gdy dla dogodzenia jej wpada w ten sam nałóg? Jestem pewna, że gdybym była złodziejką, kradłby i on, byle mi się przypodobać.

Przyjaciel uśmiechnął się tylko gorzko i zdawkowo odpowiedział:

— Czegoż się nie robi dla kobiety?

— Dla tak pięknej kobiety, jak ja — dodała tonem pewności siebie, a, zwracając się do mnie, zapytała bez ogródki:

— A panu jak ja się podobam?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale Henryk wybawił mnie z kłopotu:

— Nie krępuj się, bądź szczerym. U nas inaczej się myśli, inaczej mówi, jak gdziekolwiek indziej.

— U nas wszystko zależy od nastrojów, — podjęła dalsze wyjaśnienie — które tak szybko ulegają zmianom w ciągu paru godzin, że

komuś obcemu jest wśród nas bardzo nieswojo. Dlatego nie lubię ludzi.

I po tych słowach położyła dłoń na mojej ręce, jakby mnie przeprosić pragnęła, lub zatrzymać na wypadek, gdybym chciał odejść.

Z tą wzrastającą wciąż gorzką ironją skarżyła się:

— I nie mam ani jednej przyjaciółki, a mężczyźni albo się mnie boją, albo mnie lekceważą. Pan jednak zdaje się być innym od wszystkich. O! niech pan nie myśli, że uprawiam flirt, albo mówię to, by zazdrość wzbudzić w mężu. — Nie! W towarzystwie pana czuję się swobodna — ot co!

Machinalnie sięgnęła ręką po butelkę i napełniła kieliszki.

Teraz już zorjentowałem się całkowicie w położeniu.

Zostawały dla mnie dwie drogi. Albo, pod jakimś pozorem pożegnać się i odejść, albo dotrzymać towarzystwa i pić — pić, aż do utraty zmysłów.

Na szczęście miałem „mocną głowę". Miesiąc już pracowałem w swoim zawodzie. Kilka firm odbiorczych dziennie odwiedzałem, w każdej z nich zachwalałem swój towar i z właścicielem, czy sklepu, czy restauracji, „kosztowałem" próbek. Już coś dziesiąty futerał napełniałem na nowo, a w każdym było miejsce na pięćdziesiąt flaszeczek. Restauratorzy także nie zostawali dłużnymi. „Próbowaliśmy" z różnych butelek, z różnych wytwórni, by wreszcie restaurator doszedł do przekonania:

— Czy to, czy tamto — jednakowe świństwo. Wszystko jedno! Ale ponieważ pan jest bardzo sympatyczny, więc proszę pisać zamówienie.

Ten ówczesny mój zawód znieczulił mnie. Przykrości nie lękałem się, bo było ich dość i już się z nimi oswoiłem. Zwyciężyła nadto chęć podpatrzenia życia na tym skrawku.

Zostałem i piliśmy swobodnie — na wesoło.

Nawet nam to nie przeszkadzało, że z dalszych pokoi płynął ku nam przytłumiony tęskny śpiew:

„Śpij dziecinko już —
Jasne oczka zmróż.
Słońce zaszło, słowik kwili,
Kwiatek barwną główkę chyli.
Ciebie strzeże Anioł Stróż —
Śpij dziecinko już..."

To Hanusia śpiewała kołysankę, by uśpić małego Władka.

— Mnie nikt do snu kołysanek nie śpiewał — zaśmiała się pani domu. — Rodzice byli aktorami. Brali mnie do teatru każdego wieczoru. Wałęsałam się po garderobach. Byłam ulubienicą aktorów. Po przedstawieniu z reguły bywaliśmy w kawiarni. Spałam potem jak zabita. Gdyby moi rodzice byli wydali te pieniądze na piastunkę, ile ich kosztowały kawiarnie, byłby mnie zapewne Anioł Stróż ustrzegł od złego. Chociaż według Maeterlincka dzieci przychodzą na świat ze swoimi wadami i zaletami. Cóż ja więc jestem winna, że tak chciał Maeterlinck. Zna pan zapewne „Niebieskiego Ptaka"?

— Owszem — odpowiedziałem. — Myśli pani o tej scenie, gdy malizny, udając się na ziemię, pakują swoje torby.

— Właśnie, właśnie. Ja widocznie w swoim bagażu podróżnym miałam alkohol, który teraz muszę pić. Ale co temu jest winien biedny Henryk? Tak mi go żal, że nieraz go namawiam, by wziął ze mną rozwód, zanim go zniszczę materjalnie.

— Och, tego się najmniej obawiam, droga Olgo.

— Zresztą , to nie moja wina, że tak paskudnie wpadłeś. Ostrzegałam go — zwróciła się do mnie. — Mówiłam mu nieraz: Ty nie wiesz, jaki djabeł we mnie siedzi. Nie wierzył — uważał te wyznania za plusy mego charakteru. Pan wie, że myśmy się przed ślubem prawie nie znali?

— Czyż to możliwe? — szczerze się dziwiłem.

— A tak! Miłość od pierwszego wejrzenia! Najidealniejsze głupstwo, jakie można wymyślić, jeżeli chodzi o małżeństwo.

— Więc pani nie uznaje takiej miłości?

— Absurd! — krzyknęła niemal. — Pociąg zmysłowy — tak, w to wierzę, ale miłość? Gdybym nie była tak idealnie piękną, jaką jestem, to żaden mężczyzna nie przebaczyłby mi moich wad. Drogie ze mnie cacko. Co?... Gdyby tu pana nie było, odpowiedziałby mi swoim zwyczajem: Najdroższe cacko. Prawda? — i, nie krępując się obecnością moją, usiadła na jego kolanach, sięgając zaś po kieliszek, domagała się z dziewczęcą pustotą, z giestem szerokim:

— Pijcie na cześć mojej piękności — dopóki nie przekwitnie.

Chciałem skierować rozmowę na inny temat, bo widziałem, że Henryk mimo wypitych wódek nie czuł się swobodnym.

— Wracając do Maeterlincka, — zdawało mi się, że mówię bardzo mądrze — to jednak nie można odmawiać dużego wpływu na kształtowanie się charakteru ludzkiego — wychowaniu dzieci, bo przecież mistrz i z gliny ulepi wspaniałe dzieło, a fuszer zepsuje najlepszy marmur.

— Duby smalone! — odparła mi prosto z mostu, a podszedłszy do mnie, przejechała dłonią po mojej głowie, zburzyła mi staranne uczesanie i z politowaniem dodała:

— Glina zostanie zawsze gliną, mój kochany filozofie. Cóż warte dzieło, które za jednym kopnięciem rozleci się w kupę nieużytecznych gruzów, które pierwszy deszcz roztopi w błoto.

Nagle stanęła w pozie wyzywającej przed nami.

— Ja muszę bronić teorji, że ludzie przychodzą na świat ze swojem przeznaczeniem — nawet święty chrzest nie zmieni djabła w anioła. Bo cóżbym miała innego na usprawiedliwienie? Niechże mi przynajmniej w tej piekielnej męce zostanie to przeświadczenie, że ludzie są bez win, a pana proszę, nie myśleć, że nie mam żadnych zalet. O! umiem ja uprzyjemnić życie mężowi. Prawda, kochany! — i, nie czekając odpowiedzi, pobiegła do salonu, zostawiając drzwi za sobą otwarte i zaraz dała się słyszeć niewybredna muzyka.

— Chodź, przyjacielu, na kawę — ujął mnie Henryk pod rękę i poszliśmy za nią.

Olga grała.

Patrząc na nią, miałem wrażenie, że to nie fortepjan gra, ale ona

sama. W ciągłych ruchach włosy jej rozwiały się. Długie ręce, jak gałęzie wichrem poruszane, zdawały się chwytać tony, siać nimi po ścianach, po meblach, po dywanach, na posadzce, po nas samych. Kibić jej gięła się w tę i tamtą stronę w takt melodji.

We mnie chyba nie wódka wpoiła to przekonanie, że ta kobieta byłaby zdolna porwać za sobą słuchaczy, a sobie utorować drogę do niebylejakiej sławy. To też, gdy skończyła, nie śmiałem nawet wypowiedzieć słowa pochwały, na którą zresztą nie czekała, bo podbiegła naprzeciw wchodzącej Hanusi i, biorąc filiżankę z tacy, gorączkowo dyszała:

— Och, kawy, kawy, — a wypiwszy jednym haustem, odebrała z rąk służącej tacę, ją zaś samą prosiła:

— Haneczko — przynieś ze stołu butelki i kieliszki.

Podając mi filiżankę, szepnęła:

— Prawda, że Haneczka jest piękna dziewczyna. Inny typ, aniżeli ja, ale także bardzo piękna. Proszę się jej dobrze przypatrzeć.

Wróciła Hanusia z wódką.

Anielski jakiś spokój zdobił tę dziewczynę. To może słodycz ust i spojrzenia narzucał mi to wrażenie. Aż się dziwiłem, że Olga widocznie nie jest ani odrobinę zazdrosną, albo może, ze strony męża miała tyle obłąkańczej miłości, że być nią nie mogła.

— Nie dam wam likieru do kawy, bo sama go nie znoszę — usprawiedliwiała się, nalewając wódkę.

Zaledwie Hanusia wyszła, chwyciła za kieliszek:

— Pijcie to, co ja.

Wypiła i krzyknęła:

— Tańczyć mi się chce! — i biegła ku drzwiom.

Na twarzy Henryka odmalował się niepokój.

— Olgo!

Było w jego głosie jakieś ostrzeżenie.

— Nie bój się, dzieciaku — uspokoiła go i zniknęła w drzwiach.

Henryk zdeterminowany machnął ręką.

— Pij! Niczem sią nie przejmuj.

Wypił i podszedł do fortepjanu. Chwilę grał pianissimo, tak, że zaledwie mogłem pochwycić melodję. Nie zwracałem nawet zbytniej uwagi na to, co gra. Czekałem aż Olga wróci, tak jak czeka widz na dalszy ciąg przedstawienia.

Bądź co bądź, ten jego niepokój, ten wykrzyk: „Olgo!“ — to jej powiedzenie: „Nie bój się, dzieciaku“, dawał dużo do myślenia. Na trzeźwo nie możnaby było znieść tego wszystkiego. Było coś denerwującego w tych jej „nastrojach“, o których wspomniała.

Sięgnąłem po cygaro. W jego dymach śmiałem się z samego siebie. Sądziłem, że spędzę spokojny wieczór rodzinny. Naoddycham się dowoli atmosferą cichego gniazda, zasnę potem smacznie i obudzę się z chęcią stworzenia sobie ciszy domowej, do której nieraz tęskniłem w ustawicznych swoich wędrówkach, a tymczasem skazany byłem na kabaretowe przeżycia tem przykrzejsze, że aktorami byli ludzie blizcy mojemu sercu, że mimo zdenerwowania, formy towarzyskie nakazywały mi siedzieć i patrzeć.

W innych warunkach krzyknąłbym:

— Kelner! — płacić! i odszedłbym z postanowieniem:

— Więcej do tej budy nie zajrzę!

Dumania moje przerwał ostry, jakiś poprostu dziki rozkaz Olgi, która stanęła z rozmachem w otwartych drzwiach i krzyknęła do męża:

— Henryku! — Carmen!

Ubrana w kostjum hiszpański, z tamborinem w ręce, z kwiatem czerwonej róży w kącie ust — tańczyła szaleńczo.

Na zakończenie rzuciła na ręce Henryka róże, objęła go za szyję i pocałowała w usta.

Podszedłem, by jej wyrazić mój podziw. Zanim zdołałem jednak bąknąć:

— Pani... — położyła mi rękę na ramieniu:

— Nie praw mi, przyjacielu, konwenansów. Nie dla marnego popisu grałam i tańczyłam. Ot! — potrzebne mi to jest do życia.

A gdyśmy wypili jeszcze po kieliszku wódki, zasunęła się w fotel. Skuliła się w nim, jak dziecko podwijające nogi pod siebie, a nam rzuciła kategorycznie:

— Idźcie spać, — a mnie zostawcie samą z moimi myślami!

Coś we mnie szepnęło:

— Nareszcie!... i odszedłem do przeznaczonego mi pokoju.

Wkrótce zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem. Śniłem, że jadę pociągiem pośpiesznym i naraz — katastrofa! Wśród straszliwego huku rozlatuje się wagon sąsiedni!

Zerwałem się na równe nogi.

Przez niedomknięte drzwi wpadał do mojego pokoju snop światła z salonu. To pozwoliło mi się zorjentować, gdzie jestem.

Usiadłem na sofie, zastanawiając się, skąd mógł pochodzić ten huk. Bo przecież musiał być. Przyszło mi na myśl, że zapewne Olga niechcący zrzuciła ze stołu tacę z nakryciem.

Ale zaraz drugie uderzenie — jakby ktoś rzucił ciężarem w lustro. Brzęk szkła!

Nie wiedziałem, co mam robić. Instynkt kazał mi się ubierać pośpiesznie. Uspokoiłem się dopiero, gdy posłyszałem w salonie głos Henryka:

— Olgo — szeptał — uspokój się — chodź spać.

— Spać!? — odkrzyknęła mu. — Napatrzeli się na moje błazeństwa i śpią, a mnie zostawili samą w tej piekielnej ciszy!...

— Sama tak chciałaś — tłómaczył jej.

— Kłamałam! — zawołała. — Sądziłam, że usiądziecie cicho u moich stóp i opowiecie mi jakąś bajkę o tęsknej królewnie.

— Biedactwo ty moje — przepraszam. Chodź — utulę cię do snu.

Posłyszałem kroki Henryka. Stąpał ciężko bosymi stopy. Widocznie niósł swoje szczęście do łóżka.

Odetchnąłem dopiero, gdy w drzwiach ukazała się Haneczka. Na rękach niosła małego Władka, który kurczowo trzymał się jej szyi.

— Przepraszam, że zamknę — ale muszę sprzątnąć, by jutro nie zobaczyła tego wszystkiego. Przestraszył się pan? Proszę spać — dopiero druga.

Nie znalazłem słów na odpowiedź. Uśmiechnąłem się tylko na znak mojej wyrozumiałości. Odpowiedziała mi takim samym uśmiechem.

W półśnie przepędziłem resztę nocy.

Rano przyszedł Henryk.

— Muszę już iść do swojej fabryki — zagadnął. Przedtem jednak mam do ciebie prośbę.

Usiadł obok mnie na brzegu sofy.

— Zbudził cię hałas, czy wogóle nie kładłeś się jeszcze? Hanusia mówiła mi, żeś był ubrany.

— Nie zorjentowałem się, co się dzieje. Przedtem miałem sen przykry. Nie wiedziałem, czy wejść do salonu?

— Bardzo dobrze, żeś nie wszedł. Miałaby dzisiaj tem większe wyrzuty sumienia. Już się pytała, czy spałeś? Oczywiście, powiedziałem, że o niczem nie wiesz i proszę cię, nie zdradź się niczem, choćby nawet chciała cię wybadać, przeprosić.

— Może najlepiej będzie, jeżeli odejdę bez widzenia się z żoną?— podsunąłem mu myśl, której jednak zaprzeczył prośbą:

— O, nie! Przeciwnie! Bądź łaskaw być u nas na obiedzie. Inaczej będzie sądzić, że cię wypłoszyła.

— A Hanusia nie wygada się? — nasunęła mi się obawa.

— Hanusia jest moją siostrą.

— Tak?! — zawołałem.

— Tak. Ale Olga o tem nie wie. Wszystko jak widzisz, tak urządziłem, by ją uchronić od męki. Dla tego mieszkam poza miastem w tej willi, we czworo tylko. Gdyby nie Hanusia, cięższy byłby mój los.

Wyraziłem mój wielki szacunek dla takiego poświęcenia.

— Mąż jej odebrał sobie życie — wyjaśniał Henryk. — Alkoholik. Załamywał się raz po raz — raz po raz dźwigał się. Wreszcie opanowała go manja prześladowcza, że Haneczka go zdradza. Kochał ją po swojemu, bardzo i wreszcie... Ot los! — wsparł łokcie na kolanach, w dłonie ujął twarz przybladłą cierpieniem i snuł dalej swoje wynurzenia.

Hanusia powzięła zamiar wstąpienia do klasztoru, ale, gdy zwierzyłem się jej, jaki los przeżywam, zmieniła postanowienie i tu, u nas, pełni obowiązki siostry miłosierdzia. Wychowuje mi także syna, bo do matki stracił zaufanie. Lęka się jej. I mnie również nieraz unika. Gnębi mnie troska, czy z naszej krwi nie wziął tej trucizny.

Widziałem wzrok jego gdzieś w dal zasunięty i łzy na policzkach.

— Przepraszam, że cię zaprosiłem. Sądziłem, że twoje towarzystwo podziała na nią dodatnio. Nie krępuj się, że Haneczka jest moją siostrą i zadzwoń na śniadanie.

Otarł łzy i szybko wyszedł.

Mimo wszystko nie śmiałem dzwonić. Ubrany, poszedłem do kuchni. Przejść musiałem salon. Trudno mi było nie zatrzymać się na miejscu nocnej katastrofy. Nie zostało po niej śladu. Na miejscu lustra wisiał portret Henryka — tej samej wielkości nawet, o ile mi się zdawało, w tych samych ramach. Dywan zaścielający posadzkę pod stolikiem, przy którym piliśmy czarną kawę, był zmieniony.

W kuchni zastałem Haneczkę i małego Władka. Chłopczyk siedział

na jej kolanach. Lewą rączką obejmował jej szyję, w prawej trzymał filiżankę z mlekiem.

Na mój widok odstawił filiżankę, zeskoczył z kolan Haneczki i z pięknym ukłonem przywitał mnie:

— Dzień dobry panu! — i chciał wrócić na swoje miejsce.

Gdy Haneczka zwróciła się do niego:

— Pozwól, Władziu, że podam panu śniadanie — uchwycił się jej sukienki.

— A może do mnie pójdziesz na ręce? — zapytałem, siląc się na uśmiech, jak najłagodniejszy.

Popatrzył na mnie badawczo, a potem przeniósł pytające spojrzenie na Hanusię.

— No, idź do pana — zachęcała go.

Podbiegł z wyciągniętemi rączkami.

Omal powstrzymałem łzy z ogromnej radości. Bez słowa całowałem tę jasną główkę, przez którą w tak wczesnym wieku tyle już myśli, tyle udręczeń się przesunęło. Objął mnie za szyję i pocałował w policzek.

Poczułem w tym pocałunku jego chęć kochania kogoś. Młode serce wołało w nim o swoje prawa miłości ojca i matki, a temu prawu stanął na przeszkodzie alkohol.

Uświadomiłem sobie, że z tych czworga największy dramat przeżywa on, mały Władek, a w miarę przybywających lat przybywać będzie wciąż tej goryczy.

Nadeszła pora obiadu. Podejrzewałem, że nie obejdzie się bez wódki, a wiedziałem, że przy małym Władku nie odważę się sięgnąć po kieliszek. Nie wiem dlaczego tak bardzo mi zależało na tem, by człopczyk nie stracił dla mnie serca. Zaproponowałem więc, byśmy wypili przed obiadem, gdy jego jeszcze nie będzie przy stole.

— Tak, ma pan rację, — poparła mnie pani Olga. — Zawsze tak powinniśmy robić. Kiepskimi jesteśmy pedagogami, mój drogi Henryku.

Przy obiedzie rozmowa nie bardzo się kleiła. Starałem się ją podtrzymać, jak mogłem. Opowiadałem, że teren w Krakowie już mi się wyczerpał i na noc wyjadę do Lwowa.

I naraz stało się coś nieoczekiwanego!

Zaledwie Władek usłyszał, że wyjeżdżam, wstał od stołu, pobiegł do swojego pokoiku i po chwili wrócił stamtąd ubrany do drogi.

— A ty dokąd się wybierasz? — zapytała pani Olga.

— Pojadę z panem...

Nie pomogły żadne perswazje, żadne obietnice. Nawet Hanusia nic nie wskórała swojemi prośbami.

Chłopczyk czepiał się moich rąk i powtarzał:

— Pojadę z panem...

Pilnował mnie, nie odstępował na krok.

Gdy wychodziłem, Henryk zatrzymał go słowami:

— Jakżeż pojedziesz, gdy pan cię nie chce.

Wtedy skierował na mnie pytający wzrok, a Henryk zwrócił się do mnie:

— Prawda, że go nie chcesz?

— Nie chcę — odpowiedziałem, znikając szybko za drzwiami. Słyszałem rozpaczliwy krzyk dziecka. Słyszałem go, gdym zbiegał po schodach. Słyszałem, gdy biegłem poprzez ogród do furtki. W płaczu tym słyszałem zapewnienie, że wcześniej, czy później mały Władek ucieknie z domu, z którego siła alkoholu zdarła urok gniazda rodzinnego.

Władysław Bienin-Bielenin.

USŁUGA ŻEŃSKA W BARACH I RESTAURACJACH.

J. Ramsay Mac Donald, b. premier angielski, przywódca partji pracy, poświęcił tom wspomnień swojej przedwcześnie zgasłej małżonce p. t. „Margaret Ethel Mac Donald". W ciągu krótkiego, bo zaledwie 41 lat liczącego życia, zmarła dokonała ogromnej pracy, szczególnie w zakresie opieki nad kobietami i dziećmi. Należała ona do szeregu stowarzyszeń, zajmujących się temi zagadnieniami i choć politycznie nie wypowiadała się wyraźnie, sympatje jej były zawsze po stronie uciśnionych, wydziedziczonych i wyzyskiwanych bez cienia sentymentalizmu i wielkopańskiej filantropji w rodzaju tej, jaką uprawiają wszędzie, podobnie jak u nas, damy - patronessy.

Wśród spraw, którym poświęciła szczególnie wiele pracy, należy wymienić na pierwszem miejscu sprawę dzieci w wieku szkolnym, zmuszonych zarabiać na życie, sprawę zawodowego kształcenia kobiet i dziewcząt, pracy kobiet wogóle, a przedewszystkiem sprawę usługujących w barach i restauracjach. Chcąc dokładnie poznać warunki, związane z tem ostatniem zagadnieniem, należało zaznajomić się z materjałem zebranym, a więc sprawozdaniami urzędowemi, opinjami sędziów i lekarzy. Sporo światła na motywy pracodawców, zatrudniających młode dziewczyny w przemyśle gastronomicznym, rzuciły ogłoszenia, zamieszczane w pismach fachowych. Ale najwięcej materjału dostarczyły same zainteresowane. Z rozmów z niemi ujawniła p. Mac Donald cały szereg faktów straszliwych, zamachów, zabójstw, samobójstw.

Z całokształtu można było wyciągnąć dwa wnioski: kobiety są chętniej zatrudniane w szynkach, niż mężczyźni, ponieważ są mniej płatne, następnie, że są używane, jako przynęta w celu zwiększenia sprzedaży napojów alkoholowych i utworzenia z barów miejsc specjalnej rozrywki. Od usługujących wymaga się urody i młodości, to jest zasadą ogólną. Przy ofertach pracodawcy żądają złożenia fotografji. Usługujące miały obowiązek ubierać się kokieteryjnie i najrozmaitszymi sposobami zjednywać sobie względy klijentów. Utworzony przez p. Mac Donald w r. 1901 „Komitet do spraw usługujących w barach" ogłosił w r. 1905 książkę p. t. „Młode służące w barach". Pani Mac Donald zwalczała zawsze pogląd, że służące te muszą być koniecznie istotami zepsutemi. Podtrzymywała twierdzenie, że warunki wykonywania ich zawodu nastręczają wiele niebezpieczeństw. Celem książki było socjologiczne studjum zawodu. Ankieta objęła 27.707 usługujących w barach, z których prawie połowa była w wieku lat 20—25, a dwie trzecie—15—25. Na 350 ogłoszeń w urzędowym dzienniku zawodowym, poszukujących służących do barów, w 220 było zaznaczone wyraźnie, że wiek

kandydatek nie może przekraczać lat 20. Pani Mac Donald była przerażona wynikami ankiety. Zawód wyrósł na nowożytnego Minotaura, któremu składano na pożarcie coraz to nowe ofiary z młodych i pięknych dziewcząt. Moralne poniżenie kobiety było wyraźne i stuprocentowe, a warunki zawodowe kształtowały się w taki sposób, że upadek był tu konieczny i nieuchronny. Pierwszą myślą było walczyć o wprowadzenie zakazu pracy kobiet w tym przemyśle. Po głębszem zastanowieniu ograniczyła się do żądania stopniowego wprowadzenia tego zakazu.

Związki restauratorów i właścicieli barów oczywiście nie chciały stracić pomocnic tak pożytecznych, jak usługujące płci żeńskiej. Utworzyły się komitety walki pod pokrywką obrony praw kobiecych. Same służące nie mogły zabierać głosu publicznie. Niektóre pisały do pani Mac Donald listy wzruszające, w których stan faktyczny był przedstawiony bez osłonek. Listy te zachęcały p. Mac Donald do wytrwania: wiele z nich zawierało opisy własnych tragicznych przejść.

18 kwietnia 1908 r. pisze ona do jednej z przyjaciółek: „miałam wczoraj bardzo smutną wizytę; młoda dziewczyna, która przez 3 miesiące była zatrudniona w barze kolejowym w Brixton, opuściła posadę chora i nieszczęśliwa. Fizycznie i moralnie ma wstręt do swego sposobu życia, biedna dziewczyna, mając 18 lat, jest zupełną ruiną". Komitet działał, umieszczał artykuły i listy w pismach codziennych, jak „Times" i inne, wysyłał delegacje do ministrów, urządzał zgromadzenia. Ostatecznie rząd angielski ograniczył się do wezwania władz sądowych, aby określiły warunki, dotyczące zatrudnienia usługi żeńskiej w barach. W Parlamencie sprawa nie znalazła echa, wobec czego do dnia dzisiejszego eleganckie sukienki i zalotne minki usługujących przy wyszynku alkoholu zwiększają znakomicie ilości sprzedawanych trunków. Niemcy mają specjalną nazwę dla tej kategorji pracownic: nazywają się one „Animirmädchen". Błoto po taniej cenie, dodaje melancholijnie p. Ramsay Mac Donald.

Pani Mac Donald żądała stopniowego zakazu według planu z góry ustalonego. W Londynie według ostatnich ówczesnych obliczeń pracowało ogółem 7.832 usługujące w barach, w całym kraju tysiące i tysiące kobiet zawodowo roznosi i podaje napoje alkoholowe. Z rodzaju pracy wynika, że dziewczyna, zatrudniona w tym przemyśle, z trudnością znajduje pracę gdzieindziej i byłoby nieszczęściem pozbawić ją z dnia na dzień zarobku. Wobec tego Komitet postawił termin 5-cio letni, w ciągu którego większość dziewcząt obecnie zatrudnionych wyjdzie zamąż lub opuści miejsce skutkiem różnorodnych przyczyn, zaś pozostałe znajdą zajęcie gdzieindziej. W ciągu tego czasu przyjmowanie nowych pracownic będzie zabronione. Pani Mac Donald pisała jeszcze: „Jest to nieustająca procesja niewinnych dziewczyn poprzez zakłady wyszynku alkoholu. Chcielibyśmy temu kres położyć".

Publiczność angielska okazała niewielkie zainteresowanie sprawą kobiet. Krucjata skończyła się fiaskiem, zwalczana z 2-ch stron, zarówno przez zrzeszonych zainteresowanych restauratorów, jak i przez pewne stowarzyszenia kobiece, które w imię wolności osobistej głosiły, że młoda dziewczyna ma prawo obrać zawód według swego upodobania i bez względu na konsekwencje.

Aby idea ta, jak wiele innych szlachetnych i wymagających po-

święcenia, mogła zwyciężyć, konieczna jest ścisła współpraca mężczyzn i kobiet, pracujących w imię postępu moralnego.

Praca pani Mac Donald nie poszła całkowicie na marne. Częściowo dzięki jej inicjatywie i wpływom ustawodawstwo Australji Południowej w r. 1898 zabroniło całkowicie zatrudniania kobiet w barach.

Polskie ustawodawstwo zawiera przepisy, świadczące o zainteresowaniu władz ochrony pracy w niepodległej Polsce zagadnieniami pracy kobiet wogóle, a sprawą, która nas obecnie zajmuje, w szczególności. Art. 4 ustawy z dnia 2 lipca 1924 r. w przedmiocie pracy młodocianych i kobiet (Dz. U. Nr. 65/24, poz. 636), głosi: „Zatrudnianie młodocianych i kobiet jest wzbronione... przy robotach... niebezpiecznych dla zdrowia, moralności i dobrych obyczajów". W rozporządzeniu wykonawczem do tej ustawy z dnia 3 października 1935 r. (Dz. U. Nr. 78/35, poz. 484) „obsługa konsumentów w porze nocnej w zakładach, w których sprzedawane są napoje alkoholowe do spożycia na miejscu, z wyjątkiem bufetów kolejowych i automatów", figuruje w spisie robót wzbronionych młodocianym i kobietom.

Przepisy zatem istnieją, ale czy są ściśle wykonywane? Prócz tego wymagałyby uzupełnienia, gdyż w rozporządzeniu jest mowa tylko o porze nocnej, są zatem połowiczne.

Może w nowej ustawie alkoholowej znalazłoby się właściwe miejsce dla całkowitego ujęcia sprawy.

Marja Sokalówna.

HEJNA I JEGO DZIEŃ.

Stary Hejna nałożył na furę młóconego żyta, czystego ziarna („takie, jak złoto" — myślał, patrząc na nie z lubością) i — wio! — do miasta, sprzedać, aby mieć czem podatki zapłacić, kupić sobie na zimę kapotę cieplejszą, bo w tej ziąb okrutny przejmuje do szpiku kości, i dla Władka spencerek, i dla Mańki na suknię, i dla Natalki...—Tu zamyślił się chwilę, potem machnął ręką od niechcenia i zaciął konia batem.

— Wyszła za takiego nicponia, co ino wódkę chla, to niech ma! Co mi tam do niej teraz! — burczach cicho, przejeżdżając wrota i skręcając na drogę. Ale żal mu się trochę zrobiło Natalki, bo dziewucha słabowita, nawet mocno chora, a zresztą i on, chociaż stary, wypić lubi.

— Kto tam wypić nie lubi... — rozgrzeszył się z ulgą. I zaraz pomyślał, że ładnieby Natalce było w niebieskiej sukni, takiej miastowej, może z frendzlami. Uradowałaby się dziewczyna. Może przestałaby wreszcie przypominać, co jej kiedyś letnik-doktór powiedział, że ta słabość boląca, to z ojcowskiego picia.

Skurczył się stary Hejna na siedzeniu, nastroszył się z żalu na to przypomnienie i, — aby zapomnieć o tamtych słowach — chlasnął konia batem.

— Dalej, gniady, bo pewno będzie śnieg padał, do Konina spory kawał jeszcze, a nie wiadomo, czy żyto dzisiaj płaci, czy trza za pół darmo oddać! Idziesz, jakbyś nigdy nie żarł, jucho- — i pochylony, trzymając lejce w jednej garści, a w drugiej bat, obliczał w myśli, ile może dostać za te pięć worków żyta.

— żeby choć dali po piętnaście złociszów... Ale gdzie tam! Dadzą najwięcej po 13, a po 13 i pół, to już ostatnia cena — i, rozglądając się po zamokłej od ciągłych deszczów okolicy, a spluwając raz poraz na bok, ciągnął nieprzerwanie. — Co to porobiło się na tym świecie, bo to za rubla mógł kiedyś nakupić, a dzisiaj...!

Gniady ciągnął pracowicie wóz pod górę, silnie stawiając muskularne nogi i kręcąc co chwila łbem.

Źle jest teraz, prawda gniady? — zawołał Hejna z góry i poklepał konie po zadach.

Gniady łbem potrząsnął, potakując.

— No, widzisz! Rację mamy! — śmiał się stary. — Na frasunek, to ino trunek — zaśpiewał fałszywie.

Ani się nie spodział, jak wjechali na most żelazny. Zadudniały koła rytmicznie i wóz gładko teraz toczył się jak po stole.

— Takie jeżdżenie, to jeszcze! — mruknął z uznaniem Hejna i nagle znieruchomiał z przestrachu: stojący na końcu mostu policjant zbliżał się wolnym krokiem i stanowczym gestem zatrzymał go.

— Czybym za prędko jechał, czy co? — zapytał się w duchu, lecz zanim zdążył zebrać jakieś myśli, policjant już rękę położył na bocznej desce wozu.

— Stać! — zawołał.

Potem wyjął z kieszeni notes i ołówek ładnie zastrugany, spojrzał na wóz i groźnie na Hejnę:

— Nazwisko pana? — zapytał.

— Hejna. Ale o co to chodzi, proszę szanownego pana, bo ja nic, a nic nie rozumiem.

— Zaraz panu wytłomaczę — szorstko przerwał policjant, szybko pisząc coś na białym papierze, a Hejna — jak patrzał na ten prędki ruch ołówka — bladł coraz bardziej ze strachu i aż mu bat pod koła spadł z przejęcia.

— Miejsce zamieszkania?

— Gosławice — odpowiedział ledwo dosłyszalnym głosem i wystraszył się jeszcze bardziej. Ale żeby odwagi sobie dodać, poprawił się na słomianym siedzeniu i nawet sprawdził, czy powrósła, ściągające słomę w całość, nie popękały — i czekał. Tylko w przestraszonej głowie strofował się ostro za nieuwagę.

— 6 złotych pan płaci — zawyrokował policjant i wydarł kartkę z notesu.

Hejna aż do góry podskoczył.

— Ale za co, panie posterunkowy?

— Za to, że pan nie wie, którą stroną jechać — 1 złoty, a za brak tabliczki orjentacyjnej przy wozie — pięć złotych. Płaci pan, czy nie?

— Panie kochany, niech mi pan daruje ten raz — usiłował Hejna przebłagać i w duchu przeklinał Władka za własną nieuwagę.

— Żadnych panów kochanych! — Przeciął sprawę policjant. — Co napisane, to niezmazane, rozumiesz pan, czy nie? Zresztą to pana nauczy... i zresztą ja nie mogę — dodał mniej ostro.

— Ale ja grosza przy duszy nie mam — biadał Hejna.

— Tem gorzej dla pana. Przez starostwo zapłaci pan drugie tyle, ponieważ dojdą do tego koszty postępowania. No, więc?

— Nie mam — wzruszył Hejna ramionami. Cmoknął na konia i pojechał prosto teraz do składu, gdzie wymieniali żyto na mąkę, na ospę, lub płacili zaraz gotówką. Klął na Władka, który z tej radości spowodu kupna spencerka zapomniał był przywiązać tabliczkę do woza.

— Kupię ci spencerek, złodzieju jeden! Zamiast pamiętać o gospodarstwie, to ci kanarki w głowie świtają, psie zapowietrzony!—i zły jak wszyscy djabli, skręcił i zajechał przed skład.

Zszedł z woza i wstąpił do kantoru, gdzie czerwony żyd z dużym nosem — Hejna nie mógł patrzeć na ten nos, „jak ogórek nasieniowy“, porównał mimowoli — przeliczał pieniądze, układając je w rolki okrągłe i zawijał w papier brudny, jakby sadzami okopcony.

Żyd, widząc wchodzącego Hejnę, uśmiechnął się przyjaźnie i zapytał śpiewnie, bo z Galicji podobno przyjechał:

— Co pan przywiózł, panie Hejna?

Chłop, chociaż zły i nie lubiący żyda, wypogodził się z musu.

— Pięć worków żyta przywiozłem, ino chciałbym wiedzieć, po czemu pan zapłaci, bo żyto zdrożało — ... ciągle ten protokół z myśli nie schodził. — No?

Żyd, nie przerywając liczenia, roześmiał się.

— Kto wam powiedział, że zdrożało?... Mój kochany Hejna, jak zdrożało, to ja waszej krzywdy nie chcę, ale dzisiaj więcej jak po 12 i pół nie dostaniecie.

I na tym się skończyło, chociaż Hejna chciałby więcej dostać, bo ten podatek, i protokół... Ech, psiakrew! — zaklął, żyto zsypał, pieniądze wziął i zaciął konie.

Zajechał na Plac Wolności, wyminął długi wąż samochodów, należących do różnych panów, czekających na odjazd — i stanął przed restauracją Mojżesza Cypeltauba. Okręcił lejce koło kłonicy i wszedł w gwar zmieszanych głosów, w atmosferę ciepłą i duszną od trunków — wygolnąć sobie chociaż jednego, by raz już zapomnieć o tym przeklętym protokóle, nie schodzącym z myśli.

Ale że to był dzień targowy i w restauracji pełno zobaczył znajomego ludu — różnych kmotrów, wujów, pociotków i tych, co to czekają, ino im który postawi „na rozgrzewkę“, ino im który w gardziel naleje— nie myślał stary Hejna zaraz wyjść. Przepijał gęsto i przegryzał kiełbasą, dopóki nie poczuł, jak mu ciepło z serca zaczęło rozchodzić się po kościach i na sumieniu zrobiło się lekko.

— To się kurę sprzeda i zapłaci ten protokół — myślał już weselej. — I po zmartwieniu!

A koń, pozostawiony na rynku bez opieki, do trawnika na środku się zbliżył z wozem, spokojnie wygryzał soczystą trawę i zieloną sieczkę jeszcze na niej zostawił.

Kiedy Hejna, niezgorzej zamroczony, wyszedł na powietrze z tańcem pijanym w głowie, ujrzał koło swego wozu — rany Boskie! — ... policjanta. Wytrzeźwiał na ten widok prawie zupełnie, ale tylko przez chwilę, bo znowu na oczy mgła jakaś spadła i przykryła rzeczywistość.

Ukłonił się panu policjantowi grzecznie i zaczął dziękować słodko

za pilnowanie uprzęży, i — roztkliwiony alkoholem — jął go zapraszać na poczęstunek, brzęcząc w kieszeni pieniędzmi.

Ale policjant spokojnie zaczął pytać:

— Nazwisko?

Hejnę to zdenerwowało. Wrzasnął na całe gardło:

— Mówię ci raz po raz, nazywam się Hejna! — i gramolił się spokojnie na wóz.

— Zaraz, zaraz! — zatrzymał go policjant. — Sprawa jeszcze nie skończona. Płaci pan 7 zł.

To Hejnę oprzytomniło. Wskoczył szybko na siedzenie, bat w garść i ostro zaciął konia, mimo, że policjant krzyczał za nim, notesem potrząsając.

Nie oglądał się stary poza siebie i nie zatrzymał, aż na garncarskim rynku, gdzie — jako że na zimę szło — umyślił sobie kożuch kupić. Płacąc pięknemi złotówkami, wzruszył się nad sobą i dokupił jeszcze czapkę baranią, głęboką. Ale zapomnieć nie mógł.

— Kurę muszę sprzedać, kurę... — mamrotał do sprzedawcy, młodego żyda o ostrej bródce czarnej. — Wiecie, kurę muszę sprzedać, za protokół.

Użalić radby się chciał przed kimś, wypłakać nawet, wycholerować, ale kiedy spojrzał w zielone oczy młodego żyda, odwrócił się z uczuciem niesmaku.

Jakże się ucieszył zatem, kiedy obok swego wozu zobaczył Antka Gabrycha, sąsiada dobrego. Lubił go bardzo — więc poszli razem do Mordki na róg.

— To kurę sprzedam i zapłacę — opowiadał Hejna Gabrychowi po drodze. — Ale żal, bo to fajna kura, nieśna, jak złoto jajka nosi... Ale protokół...

Z otwartych drzwi buchnął im w twarz ostry zapach potu i wódki, i ochrypły głos płyty gramofonowej.

*

Leżała sobie biedaczysko pod ciepłą pościelą, stękając od ciężkich bólów, aż niemiło było słuchać, aż tu ni stąd ni zowąd zjawiła się na podwórzu cyganka, wróżka z kart i z ręki, z czego kto chce.

Hejnowa aż w ręce uderzyła z radości.

— To ją Bóg tobie na pokrzepienie i wyzdrowienie przysłał — szeptała do leżącej Natalji.

Cyganka — jak to cyganka: zaraz na wstępie zaczęła molestować o słoninę i opowiadać, jakie ich szczęścia czekają, a jakie nieszczęścia. A prawiła tak, jakby miała wszystko na kartce spisane, bo prawie powiedziała prawdę o chorej, której przecież na oczy nie widziała, ale stękanie za to dobrze było słychać w sąsiedniej izbie.

Hejnowa — jak to w ciężkim czasie bywa — była bez grosza. Ale że bardzo była ciekawa dobrych przepowiedni, ukroiła kawał słoniny, co wisiała pod kapturem, i dała.

A cyganka prawiła dalej o różnych skutecznych lekarstwach na różne choroby.

— Możeby Natalkę uzdrowiła — pomyślała Hejnowa i zaraz Marysię wysłała do sąsiadek, żeby się zeszły na naradę i żeby powiedziała...

— Uważasz? Mama jest sama, tata pojechał z żytem do Konina, a cyganka przyszła i koniecznie chce Natalkę zobaczyć. No, biegaj!

Poschodziły się kumoszki — i zaraz dalej uradzać.

— Awej, awej, kumoszko! — mówiłą stara Stożkowa — ktoby tam, jak nie cygany, wiedział najlepiej, jak chorych leczyć. Toć to ino w boru wychowane i zdrowe, jak graby, nigdy nie chorują, bo zielami się leczą.

— Tak, tak — potakiwały wszystkie. — Widział to kto, słyszał to kto, żeby cygan umarł na suchoty, albo przeziębienie jakieś, albo od wódki jęczał? To ino my, pod piecem wychowane, łacno się zaziębiamy i na górkę, do Pana Boga, jeden po drugim wymykamy się.

Hejnowa cały czas patrzała nabożnie w obraz święty na ścianie, to znowu na cygankę z niedowierzaniem, bo po głowie jej plątało się, że może ona tylko kąty chce przejrzeć, a w nocy do koszuli okradną.

Kumoszki wchodziły do chorej, wychodziły, a cyganka zdjęła ze siebie tłumok, w którym nosiła małego czarnego chłopaczka — i, nie czekając na przyzwolenie, poszła do Natalki.

— No, pokaż pani, gdzie panią boli?

Kumoszki z Hejnową na czele ustawiły się w szeregu wzdłuż szafy, pozakładały ręce na wystające bardziej niż piersi brzuchy, i czekały w milczeniu z wielkiem namaszczeniem.

Cyganka przewróciła chorą plecami do góry i macała po nich.

— Pani jesteś ociotowana — powiedziała nagle wolno.

Kumoszki zakołysały się jakby wiatr po nich dmuchnął, albo złe przeszło, a Hejnowa przeżegnała się nabożnie.

— Ta, co ci to, moje dziecko, zadała—mówiła poważnie cyganka, wpatrując się uporczywie w przerażoną Natalkę—jest tutaj między nami i jutro skoro pierwszy kogut zapieje, przyjdzie na wasze podwórko. Musicie pilnować i nauczyć sukę rozumu.

Baby z niedowierzaniem spoglądały jedna na drugą i żegnały się kilka razy dla odpędzenia od siebie zła, przygarniały do spódnic dzieciaki, co się kręciły między niemi.

Jedna tylko stara Zawarska nie przeżegnała się, to też wszystkim wiadome się uczyniło, jeszcze jak na dłoni, że ta, a nie kto inny, zadała Natali **paskudztwa.**

— Trzeba umieszać popiołu ze szuwaksem — rozkazała Cyganka.

Ale nie było szuwaksu.

— To chociaż trochę smarowidła od woza i z popiołem — nagliła, co zaraz posłusznie uczyniono.

Cyganka długo pluła do urobionej mazi, bełkocąc jakieś zaklęcia.

— A teraz trzy kobiety, każda pokolei, niech dobrze wysmarują całe plecy, żeby nigdzie białego ciała nie było widać, bo odczynienie na nic.

Kiedy już plecy były czarne, jak smołą wysmarowane, cyganka uderzyła chorą trzykroć palcami po policzkach — i zapytała:

— Chcesz mieć odczynione?

— Chcę — jęczała przestraszona Natalka.

— Przynieście teraz kurę — rozkazała cyganicha. — Ino żeby była duża i tłusta, a zaraz odczyniony będzie urok.

Nikt już się nie sprzeciwiał, bo zanosiło się dobrze na prędkie wykurowanie Natalki.

— Już nawet tak nie stęka — zauważyła jedna — i oddech ma wyraźniejszy, weselszą minę ma.

Mańka i Władek, i cała rodzina Staszczoka, który mieszkał przez sień i był wujem Hejnów, ganiali kury po podwórzu, aż zrobił się wielki skrzekot i gdakanie biło o szyby pokoju chorej.

— Tę puść, bo zamała!

— O, ta, co Mundek złapał, jest w sam raz! — i przynieśli odmawiającej zaklęcia cygance.

— Chcesz mieć odczynione?

— Chcę, Jezu kochany, chcę — stękała Natalka.

— Moje państwo! — zwróciła się cyganicha do kumoszek. — Teraz, jeżeli kura będzie dziobać po plecach i zaraz przy tym zdechnie, to jest dobry znak, że choroba odczyniona. Wtedy trzeba kurę odnieść za siódmą wieś, bo ta cała choroba w nią przeszła i musi to zrobić ten, co chorobę odczynia, inaczej jak ktoś nie umie zrobić, a dotknie się kury, sam zdechnie, a kura ożyje. Teraz proszę uklęknąć i mówić „Wierzę w Boga".

Poklękały kumoszki jedne obok drugiej — i modliły się żarliwie o cud, a Hejnowa biła się w piersi nabożniej, niż w kościele i obiecywała nawet świeczkę przed św. Antonim zapalić, tylko niechby już...!

Cyganka ujęła kurę w brudne od popiołu ręce i prowadzała dziobem po wysmarowanych plecach przycichłej nagle Natalki. A tak mocno ścisnęła kurę za grdykę, że ta już ani zipła, ino wywróciła małe ślipki i wierzgała trochę łapkami. Wreszcie opadła jak martwa.

Cud — stał się cud, Boże miłościwy! — Hejnowa aż popłakała się ze wzruszenia i nic nie mówiła, kiedy cyganka z kurą pod pachą — chuchając po kątach, — przepchnęła się przez kumoszki — i za drzwi.

— Lepiej ci! Nie bolą plecy? Moja ty kochana pracownica — rozczulała się Hejnowa.

Ale Natalka nie mogła się uspokoić, bo plecy podrapane ostrym dziobem, paliły, jakby zarzewiem posypane.

— Cichaj, cichaj! — uspokajały ją wszystkie — zgoi się. Pan Jezus więcej cierpiał...

— Ale umarł — wtrąciła niewierząca stara Zawarska już na progu, wychodząc na podwórze.

— Czarownica! — rzuciła za nią któraś, jak kamieniem.

— Jutro, jutro, kumoszko — uspokajała Stożkowa Hejnową, która zwątpiała nagle i przeraziła się możliwego gniewu męża. — Zobaczymy poprawę jutro. Nie zaraz, nie zaraz! Trzeba cierpliwie czekać. Zobaczycie, że jutro jakby ręką odjął.

Rozchodziły się powoli do domów, zostawiając Hejnową w coraz groźniej rosnącym strachu.

Koło wieczora przyjechał Hejna. Długo schodził z woza (już potem poznała, że pijany, a tu Natalka jęczy stale, Boże mój!), wreszcie — krzycząc w sieni na Władka, wszedł do izby.

Rzeczywiście: pijany jak bela, aż Hejnową zaparło. Ale nic nie mówiła.

— Jeść daj! — zwalił się ciężko na stół, aż nowa czapa barania spadła na podłogę.

Teraz dopiero zauważyła ciężką, krwawiącą ranę na głowie. Jęknęła:

— Gdzieżeś był? Skąd to?—i oczami wskazała krew, ciekącą wolniutko po skroni. — A pieniądze? — przestraszyła się i dopadła do niego. — Pieniądześ przepił, co?

— Odczep się! — warknął na nią. — Mam pieniądze, o tu — wyłożył zkieszeni trzy okrągłe 5-ciozłotówki i kilka groszaków.

— A reszta? — Hejnowa trzęsła mężem, w oczy mu patrząc gniewnie. — A reszta? — krzyczała coraz głośniej. — Przepiłeś!

Hejna głowy nie podnosił z nad stołu, ślinę ciekącą z ust wolno zdejmując palcami.

— Z wozu spadłem — mruczał. — Leżą tam.

— Gdzie? — krzyczała Hejnowa — Władek, Maryśka, lampę do wozu i idźcie! Gdzie? Gadaj że, pijaku!

— Za Sobalą, trochę do nas — wymamrotał.

— Lećcie! Władek, lampę i idź z Maryśką. Za Sobalą. Szukaj — i do męża. — To ja tu gospodaruję, biegam, Natalka chora, a on pije!— lamentowała. — To ja ratować ją chcę, tę moję gospodynię drogą, córkę nieszczęśliwą przez twoje pijaństwo, kurę nawet poświęciłam, a on...

Na przypomnienie kury, stanął Hejnie w oczach policjant z notesem i protokół. Podniósł głowę i pijane oczy wlepił w żonę...

— Jaką kurę? — zapytał.

— A tę tłustą, co to jajka... cygance dałam na odczynienie uroku... — zbladła nagle, bo Hejna wstawał wolno, a gniew w nim rósł zły, widziała po oczach.

— To ty pijesz, i ja nic... — próbowała go pchnąć na stołek, ale nie dała rady. Odepchnął ją i do siekacza, co nim świniom żarcie siekają, i do niej.

— Jezu! — zdążyła krzyknąć tylko, bo zwalił ją z nóg.

Przylecieli zaraz od Staszczoka i wyrwali mu z rąk, bo byłby pozabijał wszystkich.

— Jezu! — jęczała Hejnowa. — Pijak, zatraceniec, świnia jakaś...

— Milcz! — tupał w strasznym gniewie. — Milcz!... kurę oddała cygance... — opowiedział Staszczokowi.

— Wiem, wiem. Ale tylkoś tyle pieniędzy przywiózł? — zdziwił się Staszczok. Ho, ho!

Hejna opadł z wyczerpania na łóżko.

— Przepiłem... — machnął ręką i usnął.

— Już śpi, pierun, już śpi — podnosiła się Hejnowa z podłogi. — Ażebyś ty nie obudził się, ty djable! — wymyślała. — Nie szukajta! — krzyknęła na Maryśkę, która przyszła powiedzieć, że pieniędzy znaleźć nie mogą. — Idźta spać!

W dusznej izbie buczało głośne chrapanie Hejny.

Henryk Huzik.

LIST KRAKOWSKI.

Kraków, w styczniu 1937.

Ostatni Kurs Alkohologji pozostawił w Krakowie silne wrażenie na słuchaczach ze sfer inteligencji, których bywało około 500 przez 11 wieczorów, tak, że na niektórych zwłaszcza godzinach wykładowych nie mogła ich już pomieścić największa sala Kopernika w Uniwersytecie Jagiellońskim. Dowodem, że tych ludzi zagadnienie alkoholizmu bliżej zainteresowało, bywały zebrania Przyjaciół Trzeźwości w następnych miesiącach organizowane: bo właśnie po kilkaset osób z owych słuchaczy Kursu przychodziło wysłuchać referatów, to dra Chłopickiego, to przybyłego z Poznania dra Niesiołowskiego i t. p.

Na odczyt zaproszonego ze Lwowa p. Skiby p. t.: „Co głowa, to rozum", zbiegło się około 600 osób z wszelkich sfer społeczeństwa. Tenże prelegent miał tu następnie referat specjalny na temat: „Co każdy wychowawca winien wiedzieć o alkoholizmie" dla kierowniczek przedszkoli, sierocińców i wszelkiego rodzaju zakładów wychowawczych, zostających pod kierownictwem katolickiego Związku Caritas; więc salę zapełniło 180 zakonnic przeróżnych zgromadzeń, a między niemi wiele profesorek w habitach ze szkół zakonnych. Nazajutrz miał p. Skiba jeszcze inne audytorjum: samych akademików. To Polska YMCA poprosiła prezesa „Trzeźwości" o prelegenta, któryby mógł poprowadzić wieczór dyskusyjny o alkoholizmie, a p. Kalinowski zaprowadził tam p. Mikołaja Skibę, jako najlepszego znawcę przedmiotu, i ten najświetniej potrafił wybić z głów młodzieńców sto wątpliwości. Pożyteczna dyskusja ciągnęła się godzinami...

A już inaczej niż ze studentami, rozprawiał po całych dniach p. Skiba na dalekich peryferjach wielkiego Krakowa, gdy tu przyjeżdżał jako prelegent wagonu-wystawy Abstynenckiej Ligi Kolejowców; tych jego niezrównanych pogadanek z proletarjatem, nie odwiedzającym nigdy sal odczytowych w centrum miasta, doprawdy warto było posłuchać inteligentowi. Tam w jakimś Płaszowie, czy Prokocimiu, gdzie wagon stawał na rozstajnych drogach, przez które wali całymi dniami tłum tysiączny, taka wystawa propagandowa, ciągle żywem słowem objaśniana przez kogoś umiejącego z przedmiejskim proletarjatem pogadać, stawała się sensacją w rodzaju cyrku, czy panopticum z cielęciem o trzech ogonach — i to dla wszystkich dostępną za darmo, a zamieniała się w lekcję, z którą iść w zawody nie mogą nasze Kursy o poziomie akademickim.

I właśnie dlatego, byśmy mieli instruktorów i prelegentów dla należytego uświadamiania o niebezpieczeństwie alkoholizmu ogromnej rzeszy świata pracy fizycznej, należy corocznie robić na wielką skalę kursy dla młodego kleru i początkującego nauczycielstwa, dla medyków i prawników, dla wszystkich zawodów wyzwolonych i dla działaczy społecznych, którzyby na każdym kroku mogli propagować trzeźwość, a nie wiedząc, co to jest alkoholizm, lekceważą sobie sprawę.

Nowy Kurs przygotowuje już od kilku tygodni niestrudzony prezes p. Kalinowski, a odbywać się będzie w uniwersyteckiej sali Kopernika od 4-go do 18-go kwietnia, codziennie w godzinach wieczornych.

Na prelegentów znowu zaproszeni zostali specjaliści pierwszorzędni, oprócz profesorów miejscowych, z Warszawy, Wilna, Poznania i Lwowa. Program tegoroczny uwzględni głównie stronę psychiczną zagadnienia, więc tem bardziej zainteresuje krakowską inteligencję, która, przyzwyczajona we wszelkich dziedzinach wiedzy do wykładów świetnych, wybiera zwykle tylko co ciekawsze.

Z tego względu organizowanie cyklów odczytowych na terenie krakowskim sprawia duże trudności. Ale jeszcze może trudniej organizować z Krakowa wykłady na prowincji. Tej sztuki dokazują Powszechne Wykłady Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadzi je dr. Reguła z pomocą p. Białonia. Terenem ich jest około 50 miejscowości w województwach: krakowskiem, kieleckiem i śląskiem. Oprócz miast gimnazjalnych, dociera się również do osad fabrycznych o licznych skupieniach robotniczych, a teraz przez wejście w kontakt z rozwijającą się żywiołowo Akcją Katolicką, trafia się nawet do domów ludowych po wielkich parafjach wiejskich.

I dlatego nas specjalnie cieszyć musi fakt, że między 13 działami z różnych dziedzin wiedzy jest osobny dział wykładów z zakresu walki z alkoholizmem i narkomanjami. Prelegentami, jak w działach innych, są tu lekarze-profesorzy i asystenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz prezes Tow. „Trzeźwość", literat Kalinowski. Ze statystyki paru lat ostatnich wynika, że ze wszystkich działów wygłoszono najwięcej odczytów przeciwalkoholowych i na tych właśnie bywało najwięcej słuchaczy. Więcej niż lekarskich żądano wykładów literacko-publicystycznych i te ostatnie miały też największą przeciętną liczbę słuchaczy. Widząc tę z każdym rokiem rozszerzającą się działalność działu przeciwalkoholowego, Departament Służby Zdrowia podniósł na ten cel udzielaną subwencję, a sekretarjat Powsz. Wykładów robi ze swej strony szczególne wysiłki, by jak najbardziej celowo roszerzać swój zasięg, zdobywać zgoła nowe sfery słuchaczy, i jednocześnie powiększać listę prelegentów.

Tymczasem to ostatnie jest nie tylko ogromnie trudne z tej przyczyny, że brak wogóle alkohologów między uczonymi (poza tą garstką profesorów, których z trudem zresztą udało się prezesowi Kalinowskiemu wciągnąć do stałego udziału w kursach) i że między wybitnymi siłami naukowemi, jakiemi Kraków rozporządza, prawie nikt specjalnie się nie poświęca zagadnieniu alkoholizmu; ale jeżeli idzie o wyjazd na prowincję, na godzinę wykładu alkohologji w miejscowości, do której podróż w obie strony musi zabrać 8 do 12 godzin, to jakże tu wymagać straty dnia od profesora medycyny, od lekarza o rozległej praktyce? To też na miejscu możemy znakomitości swoje czasem uprosić na salę odczytową poza kliniką, czy pracownią naukową, ale nie na wyjazdy, gdzie prelegent musi się tłuc po bocznych linjach ze złemi połączeniami i t. p. Na tem większe uznanie zasługuje sekretarjat Wykładów, że sobie z takiemi trudnościami radząc, wykazuje pierwszorzędne wyniki w pracy i bardzo wydatnie już pomaga nam w akcji przeciwalkoholowej.

Tegoroczny Tydzień Trzeźwości również będzie należycie uwzględniony, a najwięcej pod tym względem zrobi Centrala Kół Młodzieży Abstynenckiej, na której czele stoi Czcigodny Ojciec Kuznowicz, rad, że od

pewnego czasu ożywia się znacznie działalność sekretarjatu i powstały liczne Koła na terenach już zamarłych.

Niedawno temu w Domu Katolickim na zaproszenie dyrektora Instytutu Djecezjalnego zebrało się grono kierowników poszczególnych działów Akcji Katolickiej na konferencję z okazji przygotowywanego w Warszawie na światowym Kongresie przeciwalkoholowym Zjazdu Katolickiego. Wysłuchano z prawdziwem zaciekawieniem referatu gościa z Poznania, ks. dyr. Gałdyńskiego, który cyfrowo wykazywał, jak wstydliwie mało mamy jeszcze w Polsce zorganizowanych abstynentów w porównaniu z zagranicą. Pod wrażeniem tych dla wielu osób istnych rewelacyj, zebrani pod przewodnictwem prezesa Kalinowskiego żywo dyskutowali nad koniecznością zainteresowania stowarzyszeń Akcji Katolickiej zagadnieniem alkoholizmu. Na skutek tego już z różnych stron ziemi krakowskiej zgłaszano się o prelegentów, lub domagano się włączenia do programu kursu społecznego na wsi także wykładów przeciwalkoholowych.

Pomaga pod tym względem djecezjalny tygodnik „Dzwon Niedzielny", który zresztą stale od lat kilku, dzięki zrozumieniu sprawy przez ks. red. Długosza, chętnie miejsce poświęca propagandzie trzeźwości, często tę sprawę poruszając w artykułach wstępnych.

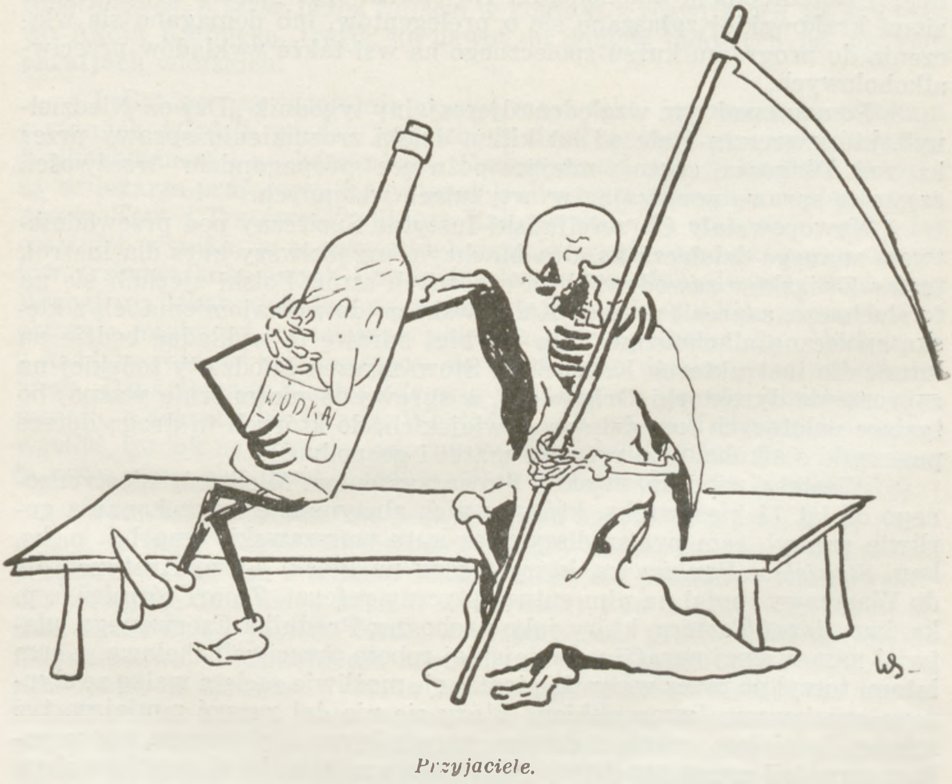
Nowopowstały Chrześcijański Instytut Społeczny pod przewodnictwem znanego działacza ks. dra Machaya, urządziwszy kurs dla instruktorów Związków zawodowych, a z różnych stron Polski zjechali się na to słuchacze, zaprosił prezesa Kalinowskiego do zaznajomienia ich z klęską społeczną alkoholizmu. On również sprawę tę wykładać będzie na kursie dla instruktorek Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży żeńskiej na zaproszenie dyrektorki Orłowskiej, a sprawa to niezmiernie ważna, bo tysiące należących tam dziewcząt wiejskich, do których tą drogą dotrze pouczenie o alkoholu, to przyszłe matki i gospodynie.

Niestety, zabrakło męskim Stowarzyszeniom Młodzieży niestrudzonego od lat 11 kierownika, który w nich abstynencję z przekonania gorliwie szerzył, sam przeszedłszy nasz kurs warszawski. Zmarł ś. p. ks. kan. *Stanisław Pankiewicz*, który jeździł na Polski Zjazd Abstynentów do Warszawy i miał na nim entuzjastyczny referat. Zmarł również ś. p. ks. kan. *Józef Tomera*, który jako proboszcz Prądnika Czerwonego, ułatwiał nam w swej parafji podmiejskiej robotę przeciwalkoholową, a sam latami toczył po przez wszystkie instancje możliwie zaciętą walkę ze słynnym szynkarzem Immerglikiem, który się nie dał ruszyć z miejsca tuż między kościołem, szkołą i domem parafjalnym — i jeszcze nad szynkiem urządził nocny bar-dancing dla gości z miasta, by ci mogli go obronić. Pomagał proboszczowi w walce z alkoholikami emerytowany kolejarz i naczelnik gminy, zagorzały abstynent, również niedawno temu zmarły w Czerwonym Prądniku, ś. p. *Stanisław Szczypiński*. Cześć pamięci zasłużonym Współpracownikom na niwie naszej sprawy... Niewielu ich mamy i jeszcze ich wciąż ubywa.

Swój.

Wacław Szulc.

ALKOHOLIZM W RYSUNKACH.



Przyjaciele.



Wesołe widowisko.



Pan: „na zdrowie!"

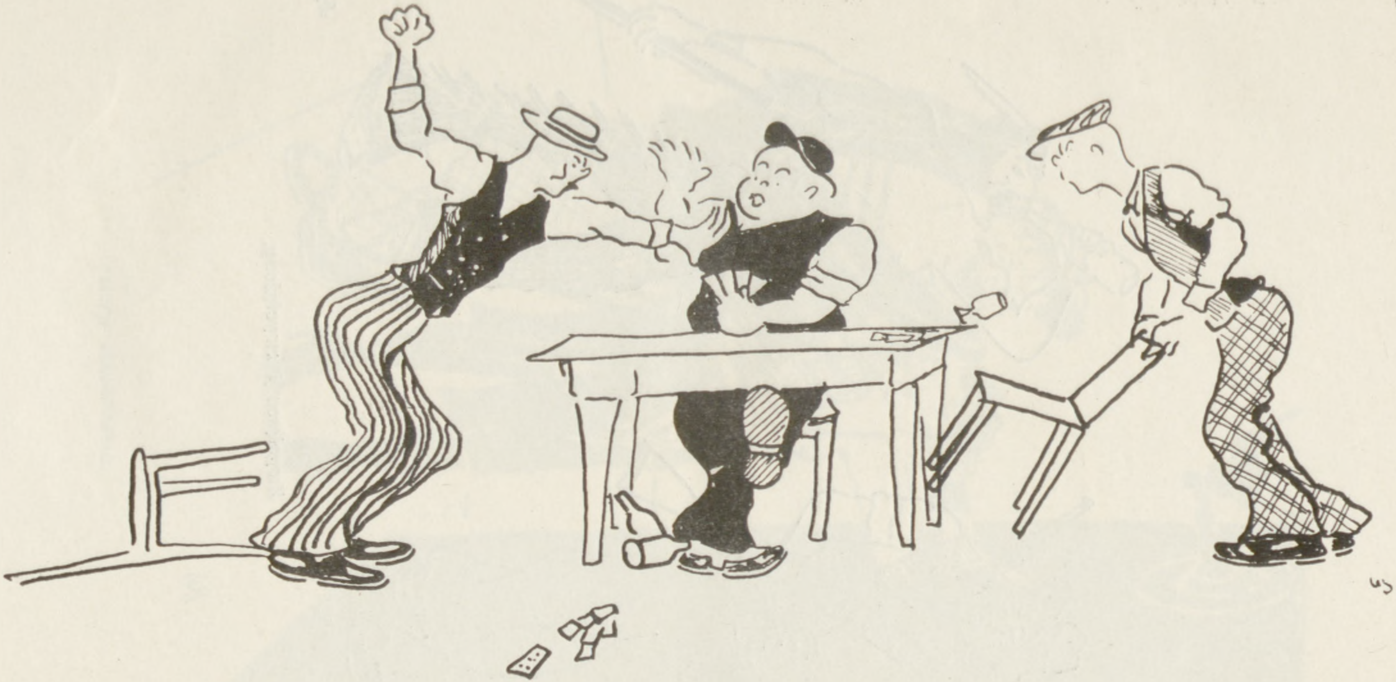
Pies: „nie piję!"



Wesoły powrót.



Miłe złego początki...



... lecz koniec żałosny...



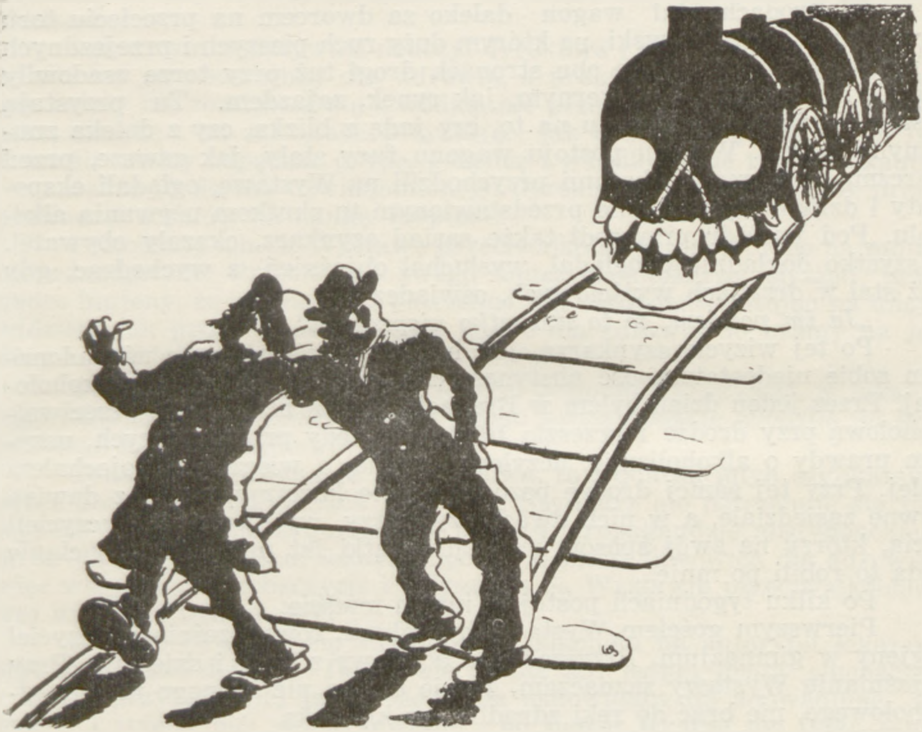
Zwycięsca i zwyciężony.



Filary alkoholizmu.



Z dobrodziejstw alkoholizmu.



Na złej drodze.

NA ROZSTAJNYCH DROGACH.

Od połowy lipca dalszy objazd wagonu Wystawy Abstynenckiej Ligi Kolejowców z postojami na stacjach: Krasne, Brody, Złoczów, Tarnopol, Kopyczyńce, Czortków, Zaleszczyki, Kołomyja, Śniatyn, Stanisławów, Chodorów, Stryj, Drohobycz, Nowy Zagórz, Chyrów, Rawa Ruska, Bełz, Sokal, Kowel, Łuniniec, Pińsk, Łapy, Porzecze k/Grodna, Wilno, Nowoświęciany, Lida, Sarny, Równe, Rzeszów, Tarnów, Nowy Sącz, Żywiec, Bielsko, Dziedzice, Oświęcim, Trzebinia, Kraków i Kraków-Płaszów.

W Brodach stał wagon daleko za dworcem na przecięciu toru przez t. zw. trakt lwowski, na którym duży ruch pieszych i przejezdnych z miasta i do miasta. Po obu stronach drogi tuż przy torze usadowiły się dwie karczmy z obszernym, jak rynek, zajazdem. Tu przystają wszystkie fury bez względu na to, czy jadą z blizka, czy z daleka znużonymi końmi. W dniu postoju wagonu fury stały, jak zawsze, przed karczmą, a furmani z batami przychodzili na Wystawę, oglądali eksponaty i dziwili się wyraźnie przedstawionym tu skutkom używania alkoholu. Pod wieczór przyszedł także sąsiad szynkarz, okazały obywatel. Wszystko dokładnie pooglądał, wysłuchał objaśnień, a wychodząc, gdy już stał w drzwiach wyjściowych, oświadczył:

„*Ja im powiem, że to wszystko nieprawda*“.

Po tej wizycie szynkarza, jak nigdy przedtem, jasno uświadomiłem sobie niedostateczność abstynenckiej propagandy przeciwalkoholowej. Przez jeden dzień byłem w Brodach, stałem z Wystawą przeciwalkoholową przy drodze i przeszło 1000 osób, tędy przechodzących, uczyłem prawdy o alkoholizmie, uczyłem niepicia, a wieczorem pojechałem dalej. Przy tej samej drodze pozostały dwie karczmy, stare, z dawien dawne zasiedziałe, a w nich dwóch szynkarzy, wytrawnych nauczycieli picia, którzy na swój sposób uczyli dziesiątki lat przede mną i ciągle będą to robili po mnie...

Po kilku tygodniach postój w innem mieście.

Pierwszym gościem Wystawy był lekarz, równocześnie nauczyciel higjeny w gimnazjum. Przyszedł na Wystawę z żoną i dziećmi. Przy objaśnianiu Wystawy zaznaczam, że nie trzeba pić żadnego napoju alkoholowego, nie brać do ręki zdradliwego kieliszka.

W tem miejscu lekarz wtrąca szybko poprawkę: „Nigdy nie pić nie można, bo czasem wypicie alkoholu jest potrzebne *dla zdrowia*“.

Nie zaprzeczam, ale zapytuję go, kiedy może zachodzić taki wypadek.

— Właśnie wczoraj — odpowiada lekarz — staliśmy z młodzieżą kilka godzin na ulicy, biorąc udział w pewnej uroczystości. Wszyscy przemarzli i napewno profesorowie byliby rozchorowali się na grypę, gdybym nie miał w kieszeni flaszki śliwowicy. Zawołałem profesorów i dyrektora do bramy i tam napiliśmy się śliwowicy. (Całkiem jak dorożkarze!) Teraz wszyscy będą zdrowi.

— W jaki sposób śliwowica zapobiegła grypie?

— Śliwowica rozgrzała — tłumaczy lekarz.

— A czy pan doktór nie przypomina sobie, że alkohol wypędza gorącą krew pod skórę i przez to obniża ciepłotę ustroju?

— Oczywiście pamiętam.

— Jakimże tedy cudem alkohol, oziębiający ustrój może go ogrzać?

— To już proszę pana następuje taka reakcja... zakończył rozmowę lekarz, stosujący w bramie profilaktykę śliwowicową.

Trzeźwi, uczeni lekarze już dawno orzekli, że alkohol nie może być wypijany dla zdrowia. Nie moja rzecz na ten temat rozprawiać. Natomiast z całą kompetencją mogę stwierdzić, że terapja śliwowicowa, ordynowana przez lekarza w sieni, jest tak doskonałą propagandą alkoholizmu, że najbardziej pomysłowy szynkarz nie wymyśliłby bardziej skutecznej.

Lekarz autorytatywnie nauczył dyrektora i nauczycieli gimnazjum, że alkohol jest potrzebny dla zdrowia, a praktycznie zademonstrował, jak należy nie rozstawać się z wódką, ale przezornie brać z sobą do kieszeni flaszkę i na zakrętach przystając, jak djabła święconą wodą, łykami śliwowicy odpędzać grypę, gruźlicę i wszelkie inne trądy i dżumy.

Jakże tu do tak uświadomionego dyrektora iść z prośbą, by przyprowadził uczniów na naukę *niepicia?*

Przysłanie ich na Wystawę przeciwalkoholową byłoby co najmniej niepedagogiczne. Przecież od swego nauczyciela-lekarza słyszeli przy nauce higjeny, że alkohol jest potrzebny dla zdrowia. — Stojąc na ulicy, widzieli, jak grono nauczycielskie poszło dla zdrowia do bramy na jednego *profilaktycznego.*

Doprawdy nie wypada tym samym uczniom wykazywać, że lekarz-higjenista uczył ich nieprawdy, a grono nauczycielskie chodziło do sieni złożyć hołd przesądom!

Taka jedna ordynacja śliwowicowa, to woda na młyn szynkarski, przez długie lata obracająca jego koła. Szynkarz nie potrzebuje się już wysilać na szukanie argumentów przeciw propagandzie abstynenckiej, bo krótko powie: „Sam lekarz kupował u mnie śliwowicę dla zdrowia, więc wszystko, co zobaczycie i usłyszycie na Wystawie przeciwalkoholowej nie może być prawdą“.

Z powoływaniem się zwolenników alkoholu na autorytet lekarski stykam się codziennie. Dosłownie niema ani jednej grupy słuchaczy, z której przynajmniej jedna osoba nie usiłowałaby mi udowadniać, że można i trzeba pić „umiarkowanie“, bo nawet lekarze nie tylko sami piją, ale polecają alkohol chorym i zdrowym. Mówią to całkiem szczerze i z całem zaufaniem do dobrej rady lekarskiej i z prawdziwą wiarą w zupełną nieszkodliwość, a nawet zdrowotność jednego kieliszka. Piją, chociaż w zasadzie nie są może nawet szczególnymi amatorami alkoholu. Wiadomości o nowych badaniach i orzeczeniach uczonych lekarzy, o istnieniu związku lekarzy abstynentów nie mają znaczenia, a jeśli ktoś kiedyś coś o tem słyszał, to puścił mimo uszu, bo znacznie głośniej codzień krzyczała do niego terapja śliwowicowa.

W takich warunkach nauczanie alkohologji jest trudniejsze od nauczania wszelkich innych umiejętności, bo w tej dziedzinie wszyscy już wszystko wiedzą, a wszystko wiedzą opacznie. Wiadomości i przekonania nawskroś fałszywe, od prapokoleń celowo wtłaczane w mózgi przez szynkarzy, zrosły się w jedną całość z umysłowością współczesnych ludzi. Nauczanie o alkoholizmie trafia więc na podłoże umysłowe, zaję-

te już czem innem i dlatego chcąc uczyć dzisiejsze pokolenie o alkoholizmie, musi się przedtem z trudem i mozołem *oduczać* wszelkich nieprawd i fałszów, pochodzących ze szkoły szynkarzy i ordynatorów śliwowicy.

Ileż czasu i wysiłku trzebaby na to, aby nauczyciela gimnazjum z przekonaniem pijącego w sieni śliwowicę, oduczyć „wiedzy" o jej profilaktycznych właściwościach, by potem na miejsce wolne od zabobonu wstawić nowoczesne pojęcia o narkotykach.

Prawda o narkotykach jest tak odmienna od poglądów urobionych przez zjednoczone szynkarstwo, tak bardzo inna od wszystkiego, w co ogół obywateli wierzy, że większości słuchaczy nie może się zmieścić w głowie.

Trudność nauczania alkohologji zwiększa się przez to, że ludzie boją się poznać prawdę dla wielu ogromnie niewygodną. To też przeliczni słuchacze wbrew najoczywistszej słuszności, wszelkimi sposobami, z całą zawziętością bronią się przed jej uznaniem, a nawet prostem przyjęciem do wiadomości.

Wobec takich przeszkód wyniki polskiej propagandy przeciwalkoholowej, prowadzonej przez bardzo nieliczne instytucje i jednostki, przy pomocy minimalnych środków finansowych, muszą być bardzo nikłe; a ktokolwiek przystępuje do pracy przeciwalkoholowej, niech zgóry liczy się z tem, że uzyska tylko małą skuteczność. Niech się tem jednak nie zraża, lecz właśnie dlatego niech tem usilniej kołata do rozumów, uczuć i woli współobywateli. Im więcej znajdzie się w społeczeństwie pracowników przeciwalkoholowych, im więcej przedsięwzięć propagandowych, tem pewniej wśród miljonów obywateli uda się odszukać tych, którzy podaną im prawdę nie tylko przyjmą do wiadomości, ale i do zastosowania się.

Jeżeli dobrą sprawę głosi się wielotysięcznym rzeszom, to mimo wszystko, choć zalkoholizowane mózgi są oporne, choć tak powszechnie zaciążyła nad wysiłkami ideologja szynkarska, choć wola picia zasłania oczy na widzenie rzeczy przeogromnie jasnych i wyraźnych, to przecież wśród setek tysięcy ludzi znajdą się napewno jednostki o dobrej woli i zdrowym umyśle, zdolnym zrozumieć, że przeistoczenie zwyczaju alkoholowego żadną miarą nie może się dokonać bez udziału jednostki, bez jej osobistej zupełnej trzeźwości.

Trudności, które się napotyka i które zawsze należy przewidywać w propagandzie przeciwalkoholowej, a w związku z tem konieczność wkładania w nią ogromu pracy — to rzecz nie nowa dla apostolstwa. Częstą bezowocnością wysiłków nie można się zniechęcać, mając w pamięci przypowieść ewangieliczną o siewcy, rzucającym ziarna, z których wiele idzie na marne, ale gdy jedno padnie na dobrą glebę, wyda plon stokrotny.

Chcąc mieć duże wyniki, trzeba ziarnem propagandy przeciwalkoholowej zasiać cały kraj. Trzeba iść ze słowem nauki od domu do domu, stawać na rozstajnych drogach, na placach targowych i ruchliwych ulicach miejskich, wszędzie, gdzie są ludzie, nie gardząc żadnym słuchaczem, jednakowo ceniąc każdego człowieka, który przystaje, by słuchać słowa.

Propaganda przeciwalkoholowa musi być powszechna, dla wszyst-

kich mieszkańców kraju, musi trafić na równi do spożywców szampana, jak i samogonki. Wszystkie warstwy społeczne, pijąc, podtrzymują alkoholizm, więc do wszystkich bez wyjątku trzeba wołać o pomoc w walce z alkoholizmem; wszystkim dawać uświadomienie.

Pisanie szczegółowego sprawozdania z każdego postoju Wagonu-Wystawy zajęłoby zbyt wiele miejsca, a dla zobrazowania zainteresowania Wystawą wystarczy wspomnieć o niektórych.

W *Tarnopolu* stał wagon przy przejeździe przez tor na drodze z śródmieścia do stacji kolejowej i do drugiej części miasta za dworcem. Przez dwa dni do godź. 11-ej w nocy wagon był nieustannie pełny publiczności wszelkich sfer, tak jak różnorodnymi są przechodnie ulicy.

W *Zagórzu* wypadł postój na niedzielę. Tor kolejowy przedziela wieś na dwie części. Po jednej stronie kościół, po drugiej cerkiew. Wagon stanął przy drodze łączącej obie części osady. W godzinach przed. południowych wstąpiło do wagonu zaledwie kilka osób, ale gdy ludzie zaczęli iść z nabożeństw, zapełnił się wagon publicznością, która w kilku partjach słuchała krótkich wykładów. Przez całe popołudnie do godz. 22-iej ani na chwilę nie ustawał ruch zwiedzających. Ci sami ludzie, którzy w dzień dokładnie zwiedzili Wystawę, przyszli jeszcze raz wieczorem na wykład z przeźroczami, trzykrotnie powtarzany, bo na raz wszyscy chętni nie mogli się w wagonie zmieścić.

Jeśli ktoś wstąpił na Wystawę przeciwalkoholową, bo wagon stał mu na drodze, to jeszcze nie można sądzić, że się interesuje sprawą alkoholizmu i że naprawdę chce się czegoś dowiedzieć. Gdy jednak, wiedząc już o tem, że tam uczy się niepicia, przychodzi po raz drugi, to już można poczytywać za dowód zajęcia się sprawą walki z alkoholizmem i dobrej woli pójścia za podawanemi tu wskazaniami.

W *Sarnach* tory dworca kolejowego ciągną się środkiem miasta, a obie części łączy ścieżka, przechodząca przez tory. Wagon ustawiono przy tej przechodniej ścieżce. W niedzielę w dniu ulewnego deszczu frekwencja wynosiła 500, w poniedziałek wraz z grupami wyższych klas gimnazjum — 1.500 osób.

W *Kołomyi* tor kolejowy do Słobody Rungurskiej przebiega ulicami miasta i przecina rynek. Na specjalne zarządzenie Dyrekcji Kolejowej od godz. 16.23, t. j. w porze wolnej od przejazdu pociągów, ustawiono wagon na torze na rynku. Do chwili przybycia parowozu około 10 wieczór, by odwieźć wagon na stację, przeszło przez Wystawę 2.500 osób, mieszkańców miasta i wsi, gdyż był właśnie dzień jarmarku.

Z powtórnego objazdu Polesia i Wołynia trzeba zanotować, że Wystawa, zatrzymując się po przerwie jedno do dwu miesięcznej, w tych samych miastach na temsamem miejscu, miała frekwencję wyższą niż w dniach pierwszego postoju, złożoną z innych osób, przechodzących tymi samymi drogami, a więc — warto szukać ludzi!

*

Wagonem walki z alkoholizmem i innemi chorobami społecznemi od grudnia 1936 dysponuje Lwowskie Tow. Przeciwgruźlicze. Objeżdżamy województwo Stanisławowskie.

W dniach 7 i 8 stycznia wypada postój w Kałuszu. Miasto od dworca kolejowego bardzo daleko i dojście po głębokiem błocie, więc stracona nadzieja na jakąkolwiek frekwencję. Na szczęście w Kałuszu jest kopalnia soli potasowych posiadająca własną linję kolejową, a w zarządzie kopalni są ludzie rozumiejący znaczenie propagandy przeciwgruźliczej i przeciwalkoholowej. Zarząd kopalni zawiadomiony przez zawiadowcę stacji kałuskiej o przybyciu wagonu, doczepia go rano do swego pociągu i zawozi do kopalni.

Kopalnia w Kałuszu, to duży zakład przemysłowy. Z głębokości ponad 300 metrów wydobywa się z ziemi sól niebieską, sylwinit i kainit, w olbrzymich młynach miele wydobyte bryły na pył, by jako nawóz sztuczny użyźniał gleby całego kraju, a w dużej ilości wysyłany do Anglji, poprawiał także tamtejsze role. Praca trwa tutaj bez przerwy całe 24 godziny.

Zaraz po przyjeździe wagonu na teren kopalni zwiedzili go inżynierowie i urzędnicy, dając innym pracownikom dobry przykład zainteresowania się. Na postój dzienny ustawiają wagon poza obrębem kopalni, by z Wystawy mogli korzystać przechodnie z miasta. Około 8-mej wieczór wracamy na teren kopalni, by zamknąć wagon i pójść spać.

Wykonanie tego tak bardzo codziennego postanowienia nie łatwe, bo co chwilę wchodzi ktoś do wagonu, a inni później, tem liczniejsze grupy. Około pół do dziesiątej w nocy zaczyna się na Wystawie ruch na dobre. Wstępują robotnicy, schodzący się do kopalni, by zmienić szychtę o 10-tej w nocy.

Kilka minut po 10-tej atakuje Wystawę cała gromada ludzi. Przed chwilą wyszli po ośmiu godzinach pracy pod ziemią i z huczących młynów solnych. Większość z górniczemi latarkami w ręku. Sala wagonu szybko się zapełnia; robi się ciasno, jak w kościele. Gwar, wołania o miejsce. Reszta, liczniejsza niż wewnątrz wagonu, pozostaje na dworze, szukając sposobności, by wejść do środka, br... na dworze zimno i zacina śniegiem.

W natłoku niemożliwe oglądanie eksponatów.

Zaczynam mówić o gruźlicy, o jej ścisłym związku z alkoholizmem. Audytorjum uspokaja się i zupełnie ucisza. Słychać tylko warkot młynów solnych. Ucisza się także zgromadzenie przed wagonem. Pukają do okien i proszą, by okna pootwierać, bo i oni na dworze chcą słuchać.— Stoję przy oknie i mówię na dwie strony. Staram się streszczać, by długo nie zatrzymywać żądnych wypoczynku spracowanych ludzi, ale im się nie śpieszy. W trakcie wykładu padają zapytania, przeważnie z grupy z za okien, na które trzeba dać dokładne wyjaśnienia. Rozwijająca się pogadanka przeciąga się ponad godzinę, a mimo to grono słuchaczy nie szczupleje nawet z pośród tych, co słuchają na mrozie.

Ostatni słuchacze wyszli na krótko przed północą.

Nocna wizyta robotników i górników solnych warta więcej niż tysiące przechodniów ruchliwych ulic miejskich, wstępujących do wagonu z próżnej ciekawości dla zabicia czasu, bo nocni goście przyszli utrudzeni w porze, która do każdego woła o spoczynek. Nie żałowali swych godzin, chcąc się szczerze dowiedzieć prawdy. Tacy słuchacze na pewno przyjmą dawane im wskazania.

Za kilka dni byłem w Worochcie. Inteligencja zajęta na nartach.

nie zagląda do wagonu, ale licznie przychodzą Huculi. Gospodarze poważni i bardzo inteligentni, z którymi ogromnie łatwo można się porozumieć.

Przyszła też z rodzicami maleńka Hucułka Hanusia, uczenica pierwszej klasy. Czytać jeszcze nie umie, więc objaśniam jej wykres—wpływ alkoholu na postępy dzieci w nauce, a ona bardzo śmiało mi mówi, że jej ten wykres nie dotyczy, bo ona nie pije i tatuś nie pije i mamusia nie pije, bo należą do „Widrodżenia".

Na sali jest kilkunastu Hucułów abstynentów. Są abstynentami nie tylko z racji należenia do Towarzystwa, ale doskonale znają zagadnienie alkoholizmu w całej jego rozciągłości. Kupują literaturę przeciwalkoholową, co jest wyjątkowem zdarzeniem w wagonie.

Zapytuję ojca Hanusi, jak abstynenci Huculi dają sobie radę z przyjęciami na świętach i uroczystościach rodzinnych, mając kumów i sąsiadów pijących. Odpowiada, że to idzie zupełnie łatwo, że goście są zadowoleni nie tylko z abstynenckich przyjęć w domu, ale i z bezalkoholowych zabaw w Tow. „Proświta", gdzie większość abstynencka wprowadziła zwyczaj urządzania wszelkich zabaw i obchodów bez alkoholu. Jeżeli już ktoś nie może na takiej zabawie obejść się bez wódki, to pije gdzieś w kącie, kryje się z tem, bo się tych drugich trzeźwych wstydzi.

Tak wola i stanowcza postawa trzeźwych może wpływać na przeistoczenie obyczaju.

Abstynent Hucuł, mówiąc o swych zabawach bezalkoholowych, stał właśnie przy obrazku „Wesele bez wódki — wesele z wódką" i, pokazując ręką, dalej mi tłumaczy: „W Worochcie w „Proświcie" tak wygląda zabawa, jak to wesele bez wódki".

Uwierzyłem.

Ale oto przed kilku dniami otrzymałem list od żony, w którym zapytuje, czy ma pozwolić dzieciom pójść na opłatek do pewnego Towarzystwa Oświatowego na Łyczakowie (we Lwowie), bo na głowę opłatkowca wyznaczono po 2 kieliszki wódki, 2 kieliszki wina i 2 kufle piwa.

Dla średniej tolerancji taka dawka alkoholu wystarczy, by uruchomić noże. Wobec tego musiałem się sprzeciwić uczestniczeniu dzieci w takiem zebraniu.

Przykro pomyśleć, że ludzie uczeni, krzewiciele oświaty, nie rozumieją tego, co tak dobrze zrozumieli prości Huculi. Oni mi tu mówili, że złudzeniem są wszelkie dążenia do oświaty, gdy równocześnie ogłupia się alkoholem mózgi, które chce się oświecać.

Oby się tej prawdy nauczyli od Hucułów nasi społecznicy-oświatowcy! Niech się nie wstydzą uczyć od Hucułów. Raczej wstydzić się trzeba, gdy w pochodzie kulturalnym Huculi przodują stolicom.

Mikołaj Skiba.

BIAŁA TRUCIZNA.

Jesień. Z cichym chrzęstem spadają na ziemię liście — żółte, złociste, czerwone. Jak ich dużo. Jaki śliczny się z nich usłał dywan wzorzysty, bogaty. Pokrył zczerniałe trawniki, opustoszałe klomby Niebo pogodne, jasne, ale nie tą soczystą modrością lata, nie tym uśmiechem

słońca rozświecone, co zda się duszę niebieścić, a wyzłacać, napawać ją radością, zachwytem... Wyblakłe jak źrenice, co dużo już łez wypłakały, osnute mgłą melancholji, przygaszone tęsknotą wspomnień. Jesienne niebo — jesiennego dnia.

Ten trochę senny, smutny krajobraz ożywiają rudowłose duszki-wiewiórki, kręcąc się to tu, to tam, z drzewa na drzewo, z polany na polanę. Puszyste kitki migają wszędzie — koło ławek, gdzie spacerowicze oczarowani akrobacją pląsających tanecznic, sypią im orzechy, na drodze — jeśli ziarno tam się potoczy, nawet w kieszeni ofiarodawcy, który zachwycony pozwala bezkarnie się plądrować.

Idę przez park, jak wtedy... i widzę wszystko... tylko może innemi niż wtedy oczami. Chcę raz jeszcze przemierzyć te wszystkie ścieżki, któremi wtedy prowadziło mię życie w radość niezmierną i ból bez granic, które los kwieciem najcudniejszem umaił, by tem boleśniej kolcami róż opadłych i głogów serce mi rozranić. Jakże bliźniaczo podobne i teraz jeszcze nasze dzieje. Ja wspomnieniami minionego szczęścia sączę w swe żyły jad słodkiej trucizny, Ty może w tej chwili, „białą trucizną“ wywołując kolorowe omamy, zabijasz siebie — jak zabiłeś mnie i miłość...

— — — — — — — — — — — — — —

Pusta, boczna alejka. Młody, samotny mężczyzna i wiewiórka, oto na przebogatem tle jesieni tocząca się akcja. Mężczyzna pobrzękuje wymownie garścią orzechów. Rudowłosa nimfa staje słupka, strzyże bystremi uszkami, wreszcie w kilku susach dopada otwartej dłoni, pełnej skarbów, odbiega, łapki tworzą miseczkę, ostre igiełki ząbków tną, rozrywają skorupkę, rozgryzają łapczywie tłuste, białe jądro. Zjadła. Znów podbiega i to samo powtarza się raz, drugi, trzeci... Obydwoje są sobą zajęci, wpatrzeni w siebie, z siebie całkowicie radzi — mężczyzna i wiewiórka.

U wylotu alejki ukazuje się smukła postać dziewczęcia. Duże szare oczy w ciemnej i ciemnym włosem okolonej twarzyczce już zdaleka obejmują tę scenę i napawają się jej urokiem. Bladawe, ale ładne w wykroju usteczka rozszerzają się wdzięcznym, zachwyconym uśmiechem. Nie jest ładna, choć i brzydką nazwać jej nie można. Jest przedziwnie miła — dziewczęca i kobieca zarazem. Rozwiązany i przed chwilą widać niedbale zwinięty pakiecik zdradza zawartość, a nawet przerwaną dopiero co czynność jedzenia. Nadgryziony rogalik wysuwa się niedyskretnie, jakby zapraszając do dalszego ciągu. Ale dziewczę, widząc się nie samą w tym odludnym zazwyczaj kątku, nie myśli już o jedzeniu. Stoi o kilka kroków od nich i patrzy.

Zazdrości pewnie tego wiewiórczego zaufania, poufałości... wyciąga rękę z okruszkami bułki. Wiewiórka podbiega i odskakuje zawiedziona. Dźwięczny, młodzieńczy śmiech przerywa ciszę. „Pani pozwoli?“ przesypuje orzechy na dłoń dziewczęcia. Teraz już razem obserwują pocieszne stworzonko, śmieją się z jego figlów. Zapas orzechów skończony, wiewiórka odbiegła... Dziewczę skinąwszy lekko główką niby na znak pożegnania, odchodzi zwolna, on idzie, ociągając się. Dziewczę nie wygląda na zawieranie łatwych, przygodnych znajomości, zresztą —

czyż podoba mu się tak bardzo? idzie jednak, zmusza go do tego jakaś utajona siła. Stają na mostku. Tu już ona dzierży prym. Dyskretnie utajone rogaliki wychodzą na światło dzienne. Rwą je na drobne kęsy i rzucają w mieniącą się łuskę jeziora. W dole czekają już niecierpliwie białe łabędzie, melodyjnym ruchem wyginając strzeliste łodygi szyj. Nie zdąży jeszcze okruch zamoczyć się w nurcie, gdy w locie schwyci go dziób śnieżnego pływaka.

Dziewczyna dopiero z ostatnim rzuconym kęsem uświadamia sobie własny głód. Jest i na to rada. W tym dniu czarów wszystko przeczują i wszystkiemu zaradzą dobroczynne wróżki. Jak wiewiórka, łabędź, tak teraz ona chrupie z zadowoleniem ofiarowane jej słodycze. Jest jej dziwnie dobrze, lekko, wesoło. Sztywny, elegancki pan, który raził z początku znudzonym wyrazem twarzy, przemienił się w miłego, rozdokazywanego chłopca, z którym można i ciekawie i beztrosko pogawędzić.

Są już właściwie przyjaciółmi. Poznajomiły ich, zbliżyły wiewiórki, łabędzie, i te uśmiechy, spojrzenia z serca do serca idące. Ciepłą falą otoczyły ich złociste, słoneczne kręgi, upieściły delikatne wonie drzew i kwiatów — ostatnich kwiatów, ukołysał szum prastarych drzew. On— już zna jej imię i wie, jak je wymawiać należy, ona głoskom jego imienia nadaje nowe, miękkie tony...

Tak jak w tej ludowej piosence: „Nie swatały mi cię kumy, jeno leśnych lasów szumy...", tak i tu — park — chatą, a drużbami jego stali mieszkańcy. Błękit, słońce i oni — zagubieni w tem wszystkiem, zagubieni w sobie... Stara, a wiecznie młoda prządka — miłość-przędziwo w ręce ujęła i złotą nicią serca mota...

Kręć się kręć, wrzeciono, wić się tobie, wić..."

— — — — — — — — — — — — — —

Jurku! pozwól mi odejść. Boję się, że ta bajka pryśnie, a wtedy... wtedy o wiele trudniej będzie żyć. Ja nie chcę, ja nie mogę cię kochać!"

Śmieje się Jur i w oczy dziewczęcia zatapia błyszczące źrenice. Co to znaczy, nie chce — nie może — gdy już kocha... Przecież to właśnie miłość maluje na jej twarzy te prześliczne łuny, to miłość przepaja blaskiem szczęścia smutne zazwyczaj oczy, to miłość karminem powlokła usta pocałunków spragnione, — to miłość! Jur wie, widzi. O — on zna się na tem. Ona teraz w mocy miłości, w jego mocy. Czy kocha ją? pewnie tak — choć sam się do tego przyznać jeszcze nie chce. Dobrze mu z jej uczuciem, grzeje się w słońcu miłości — może i kocha, ale są na świecie rzeczy bardziej upajające, jak miłość, są oszołomienia bardziej tęczowe, wywołane narkotykami. Ona o tem nie wie. Jest szczęśliwa. Wierzy i kocha. Odrzuca skrupuły. Z złotego kłębka marzeń ziszczających się, nić po nici rozsnuwa, sypie przed nim słowa, jak kwiaty, słowa pieściwe i upojne.

Ściele mu do stóp spojrzenia przepastne, omdlałe nadmiarem uczuć, niesie uśmiechy to dziewczęce czyste, a wierne, to płomienne, przepalone żarem wspomnień i obietnicą nowych szałów kuszące...

Kręć się kręć, wrzeciono...

— — — — — — — — — — — — — —

Coś się zaczyna rwać... coś zgrzytem wpadać w melodję uniesień. Jakieś troski, czy ukryte cierpienia marszczą czoło Jura, przerzucają go z nastroju w nastrój, wyrywają mu z ust cierpkie, niesprawiedliwe słowa, nieuzasadnione wyrzuty, podejrzenia. Chwilowa wesołość przechodzi w niepokój, rozdrażnienie, czułość w gniew, miłość w obojętność i znów „wice wersa“. Staje się nieobliczalny w słowach, czynach, myślach. Opętany manją samobójczą, mówi i rozważa tylko jedno — ucieczkę — od życia. Próżne łzy, prośby, zaklęcia... wielka, groźna tajemnica staje murem między niemi. I zewnętrznie nie jest to ten sam człowiek. Zmięta blada twarz kurczy się, co chwila jakimś nerwowym grymasem, wysmukła postać ugina się wprzód, jakby pod ciężarem jakiegoś niewidzialnego brzemienia, oczy patrzą błędnie z poza szkieł, zaczerwienione, bezsenne, ręce drżą niby w febrycznym ataku... Straszne... Straszne... to już nie jak niedawno młody, pełen energji człowiek — to ruina, to starzec — o chorej duszy, a zużytem ciele. Kiedy ona pragnie uspokoić go pieszczotą, wyrywa się z jej objęć, wołając ochryple: „Idź! idź! zaraz mi będzie lepiej, idź tylko!“ to znów tuli się do niej, jak przestraszone dziecko, bezradny, i skarży się, że otaczają go jakieś zjawy, widziadła, idą do niego, są tuż... zrywa się, odpycha urojone widma wysiłkiem osłabłych rąk... zdaje się, że traci zmysły... A potem, gdy ona przejęta trwogą, oszalała z rozpaczy, wygnana jego nieprzytomnym krzykiem, wychodzi, by powrócić za chwilę i znów czuwać wbrew protestom, zastaje go znów całkowicie odmienionego. Jasny, uśmiechnięty, młodzieńczy, serdeczny, jak dawniej, mówi o swych uczuciach, pragnieniach, aspiracjach... Jak dawniej całuje jej miłujące dłonie i zapłakane oczy, a wreszcie zasypia z jakimś błogim, szczęśliwym uśmiechem na ustach. Nie cieszy jej to jednak. W tem, jak i w poprzedniem, tkwi to straszne nieodgadnione, niepojęte „coś“, co niweczy spokój, miłość, szczęście. Nad niebem jej uczucia coraz większe rozpinają się chmury.

„Kręć się kręć, wrzeciono, prysła wątła nić...“

— — — — — — — — — — — — — —

Dowiedziała się wreszcie... Wydarła mu tajemnicę na to, by samej skostnieć, zlodowacieć, zmartwieć w obliczu grozy, przed którą nie widziała ratunku.

„Biała Trucizna“. „Dobroczynna mąka“, jak nazwał „to“ ze śmiechem, gdy w jednej z chwil narkotycznego oszołomienia zdradził ukochanej tak skrzętnie dotąd chowaną tajemnicę. Czy się tego wyrzeknie? o nie, nigdy! gdybyż wiedziała, ile upojeń, fantastycznych marzeń, kolorowych olśnień daje ten magiczny proszek. Życie bez tego jest dla niego mdłe, szare, bezwartościowe... „A miłość?“, pada nabrzmiałe łzami pytanie. Odpowiada mu szyderczy, urągliwy śmiech. „A praca? nauka, wiedza, której tak pragnął przecież?“ Praca? już ją rzucił, czy też oni go wyrzucili — wszystko jedno — to nieważne, wiedza? coś się tam kiedyś bajało po dziecięcemu, prawda, ale to były zamki na lodzie, nie warto. Tylko ten świat, do którego wprowadza narkotyk, jest jego światem, gdyby nawet mógł — nie chciałby zawrócić z tej krainy otumanień, gdyby nawet chciał — nie mógłby zawrócić...

Nawet największe, najświętsze zaklęcie, jakiem dotąd było słowo

„matka“, straciło swe znaczenie. Jeśli dość mu będzie tego życia, jeśli nie starczy mu pieniędzy na „Białą Truciznę“, istnieje wyzwolenie w suchym trzasku pociągniętego cyngla. Matka przeboleje — zapomni... Ona zapomni...

Dalsze wypadki toczyły się w błyskawicznem tempie. Narkotyk coraz niepodzielniej obejmował we władanie ciało, serce i rozum młodzieńca. Niebywałym sprytem zdobywał pokaźne sumy na kupno „białego proszku“. Od kogo się dało... gdzie się dało. Nie cofał się przed prośbą, kłamstwem, czy szantażem wreszcie. Z nią zerwał oddawna. Dawała mu miłość, a on chciał pieniędzy... tylko pieniędzy... Rodzina wyrzekła się go, znajomi odsuwali się od niego. Grał nieszczęśliwie, karta mu nie szła. Grał na pieniądze, których nie miał... Grał na „słowo honoru“, którego też już nie miał. Nawiązywał znajomości z dziewczętami sfer niższych, praczkami, krawcowemi, modystkami. Udawał miłość, aż olśnione jego manierami i arystokratycznym niedbałym wdziękiem panka, składały mu w ręce wszystkie mozolnie uciułane grosze. Brał je bez cienia wstydu i domagał się więcej. Za strawę, dach nad głową, dawał siebie, jak uliczna dziewka. Nienawidził wspomnień o „niej“; były za czyste, za dobre, za święte. Sam leżąc w błocie, plwał na gwiazd odbicie, nie mając sił, by ku prawdziwym wzrok podnieść.

A ona wygnana bezlitośnie, a przecież wierna mu całą cierpiącą duszą, drżała o niego... o jego los... o jego życie... aż wreszcie...

— — — — — — — — — — — — — —

„Dnia 4-go... wystrzałem z rewolweru próbował odebrać sobie życie Jerzy S. Przyczyna — rozstrój nerwowy. W stanie bardzo ciężkim odwieziono go do szpitala Św. Ducha“.

Płachta gazety zawirowała obłędnie w rękach dziewczęcia. Jerzy! jej Jerzy! O! Boże!

Za chwilę była na miejscu. Wpuszczono ją, ulegając rozpaczliwym zaklęciom.

Przypadła ustami do woskowych rąk leżących nieruchomo na kołdrze, ogarnęła wzrokiem pogrążone w omdleniu ciało. Zakrwawione bandaże znaczyły ślad rany. Koło serca. Serca, którego tętno wyczuwała nieraz przy swojem sercu, które biło radością życia, szukało prawdy, piękna, a teraz — może za chwilę umilknie na wieki zdławione szponami śmierci, przesycone — „Białą Trucizną“...

Rwie się chrapliwy oddech chorego... rwą się bezsłowne modły rzuconej w spazmie bólu przed stopnie ołtarza-dziewczyny.

Największy „Lekarz Świata“ dobrotliwem okiem, zasnutem łzą litości spojrzał ku dziewczęciu. „Najcierpliwszy Męczennik“ użalił się jej męki.

Odczuła i wchłonęła w siebie to ukojenie, spływające ku niej z Boskiego oblicza. Łzy nie są już tak palące, skargi nie tak gorzkie. Nikły blask nadziei rozświetlać się zaczyna w spłakanych oczach.

A tam — w szpitalu, po chwilach ciężkich i zda się ostatnich, iskra życia nanowo rozpalać się zaczyna. Woskowe dłonie tracą swą nieruchomość, oddech staje się głębszy, spokojniejszy i w sen przechodzi. Gorączka opada. „Uratowany“, mruczy poczciwy eskulap, rzucając niby

to groźne błyski w zapatrzoną w niego dziękczynnie dziewczynę. „Uratowany“, poruszają się modlitewnym szeptem bezkrwiste wargi matki. „Uratowany“, śpiewa fanfarą radości w duszy dziewczęcia.

Nadchodzą chwile rekowalescencji, wracają marzenia, projekty, miłość. Wraca życie — bujne, radosne życie, bo oto podwójny przyniesiono mu ratunek. W szpitalu poznano się na prawdziwej przyczynie rozpaczliwego kroku, i pośpieszono młodemu człowiekowi z pomocą. Reszty dzieła dokonali ludzie, którzy pokierowali chwiejnymi krokami podwójnego ozdrowieńca. Ludzie, którzy wydali walkę nałogom, złemu, pijaństwu, rozpuście, haszyszom i t. p. klęskom niszczącym w zaraniu młode życia. Ludzie ci, to założyciele organizacji „Trzeźwość“, pionierzy wielkiej idei, apostołowie niezłomnej prawdy, że nałóg podaje człowieka w najstraszniejszą niewolę i upadek. Ci to właśnie ludzie dokończyli dzieła uzdrowienia, wskazali cel życia, a wydatną pomocą była miłość... tych dwojga... oczyszczona w ogniu cierpienia.

— — — — — — — — — — — — — —

I oto wędrówka moja skończona. Przeżyłam w wspomnieniu wszystkie raz już przeżyte etapy. Tylko w ostatnim jakże bardzo wybiegłam w przeszłość... Wiem, że tak będzie, że tak być musi, ale tymczasem w słoneczny, jesienny dzień idę znajomemi ścieżynami parku... sama... i smutna... a na włosy, twarz i zwilgotniałe powieki sypią się liście żółte... złote... czerwone...

Nela Krzepkowska.

F A R S A.

— Jest pan dziwnym człowiekiem, panie Nicku.

Nick siedział przed lustrem i ścierał z twarzy szminkę, nawazelinowaną watą.

— Jest pan dziwnym artystą i człowiekiem, panie Nicku.

— Nieprawda, z czego pan to wnosi?

— Żyje pan w jakimś nierealnym świecie. We własnym świecie. Gdzie niema gry, gdzie wszystko jest prostem, naturalnem życiem. Przecie pan na scenie nie gra, pan żyje. Po skończonym spektaklu pan nie ściera szminki z twarzy, nie rozpoczyna pan innego, bardziej przykrego, realnego życia, lecz jest pan tym samym ze sceny Nickiem. To jest bardzo dziwne, panie Nicku.

— Dlaczego?

— To, że pan zamyka oczy i uszy na realne życie, że niechce pan pójść na kompromis. Stąd wypływa pana tragiczna postawa wobec ludzi i życia.

— Skąd pani to wie?

— Z pana smutnej, zmęczonej twarzy. Pan się bardzo męczy. Może dlatego, że za dużo przebywa pan z sobą. że jest pan samotny. Człowiek samotny jest taki niedoskonały. Człowiek staje się dopiero wartościowym przez kogoś. Kiedy wyjdzie ze siebie. Kiedy zacznie być.

A człowiek zaczyna być, kiedy się przeciwstawia. I wtedy dopiero można znaleźć miarę jego wartości.

Nick siedział zwrócony plecami do mówiącej do niego kobiety, wpatrywał się w lustro odbijające ją i ścierał pieczołowicie szminkę.

— Dowidzenia, panie Nicku. Przypuszczam, że pozwoli mi pan wpaść tu od czasu do czasu. Tak się dobrze z panem mówi i czuje. Mimo pana tarć wewnętrznych, promieniuje z pana jakiś dziwny spokój i ufność. Dziecięca ufność. I to jest właśnie dobre, panie Nicku.

— — — — — — — — — — — — — —

Nick szukał kobiety. Wyglądało to trochę groteskowo, bo wiedział, że miłość, to nic innego, jak wielkie zakłamanie. Ucieczka od samotności, która w pewnej chwili staje się przytłaczającym ciężarem. Lęk, że już nikt tak doskonale tej samotności nie wypełni, jak ktoś, kogo się kocha — wiedział i o tem — stwarza wyznania, zaklęcia, czułości. Nick bał się więc kobiet, które tego nie rozumiały. Dlatego w obcowaniu z niemi był szorstki, niegrzeczny i obcy. Szukał kobiety, której czułość nie byłaby pozą, lecz zrozumieniem. Pomocą w jego dziwnie pogmatwanem życiu wewnętrznem. Było to tak, jakby czekał na dobrą księżniczkę z bajki, która przyjdzie, powie mu dość i Nick pożegna się ze sceną — trzema ścianami złudy, — a wróci do prawdziwego słońca, kwiatów, dzieci. Będzie śpiewał i grał dla synka, a synek złoży pulchne rączęta i zapiszczy roześmianym głosikiem:

„Blawo, stali Niciu!"

Bo Nick był artystą. Dobrym artystą. Gdy się pojawił na scenie, widownia krzyczała:

Brawo, Nick!!!

Nick z przyklejonym uśmiechem oddawał ukłon i zaczynał komedję, tragedję, farsę, czy też groteskę, w zależności od stopnia zrozumienia publiczności. Bywało, że w najtragiczniejszych chwilach publiczność parskała niepohamowanym śmiechem i naodwrót, kiedy należało się śmiać, twarze powleczone były tragiczną powagą i wielemówiącem zamyśleniem. Mało było osób, które potrafiły nie pomylić smutku z wesołością. Tych jednak Nick nie lubiał. Były jednakowe, nie kryły niespodzianek. Tamci, to było życie. Proste, płynące od serca odruchy. Niefałszowana reakcja. Szczerość gestu. Najlepsza, nieświadoma krytyka.

Kończył grę huraganem braw. I znów przyklejony uśmiech. A kiedy Nick po raz pierwszy uśmiechnął się niewymuszenie, „księżniczka" znalazła się w jego życiu. Siedziała w pierwszym rzędzie. Poznał ją po drwiącym uśmiechu i obojętnych oczach.

— „Jest pan dziwnym człowiekiem, panie Nicku".

W ten sposób zaczęła się znajomość Nicka z „księżniczką".

— — — — — — — — — — — — — —

Jak liście z drzew, zaczęły opadać kartki z kalendarza. Dzień po dniu. Monotonny, niezmienny, jednakowy wymiar czasu. Dzień, noc, dzień, noc, dzień, noc...

Minęło lato, nastała deszczowa zimna jesień. Widownia krzyczała:

Brawo, Nick!!!

Nick obawiał się, że to ostatnie ataki entuzjazmu publiczności, poczem wszystko ucichnie. Nick się przeżyje. Nicka nie będzie. Może gdzieś, kiedyś, w jakiejś gazecie pokaże się wzmianka o dawnym, starym Nicku, i to już wszystko.

Nick to wiedział i może dlatego był codzień bardziej smutny. A może dlatego, że „księżniczka“ już tak dawno go nie odwiedziła. Za to on zaczął odwiedzać nocne lokale. Poniżająco bezwstydna, wymalowana kobieta śpiewała mu niemal w same uszy:

„Gdy wrócisz,
O nic cię nie zapytam,
Poprostu cię przywitam,
Jak gdyby nigdy nic“.

Albo namiętnym, charkoczącym, zmęczonym głosem:

„Szkoda naszej miłości,
Szkoda ciebie i mnie“.

Przykro mu było patrzeć na te kobiety wiecznie pijane, tragicznie rozbawione, wiecznie się poniżające.

„Szkoda naszej miłości,
Że skończyła się już“.

W ich głębokich, niezbadanych oczach odnajdywał siebie, swój los. Nie pogardzał niemi. Były mu bliskie przez komedję, jaką musiały co noc odgrywać. Z tem, że jego ceniono, a niemi pogardzano. Wódka była ich wybawieniem. A w obecnej chwili i jego. Bolesne to wybawienie. Po którem czuje się jeszcze większą gorycz, jeszcze większy niesmak, jeszcze większe zniechęcenie.

„Trudno,
Gdy człowiek zakochany“.

Księżniczko dobra, czemu nie przyjdziesz?

— — — — — — — — — — — — — —

— Musi się pan jakoś rozerwać. To niebezpieczna choroba, a publiczność tęskni za panem.

Lekarz mówił szorstko, bez ogródek. Brał rękę Nicka i badał puls. Nick obojętnie słuchał słów lekarza i głupio się uśmiechał. Obojętnem mu było, czy lekarz opukiwał mu plecy, czy ściskał ręce. Lekarz patrzał na Nicka przez małe, podłużne, w złoconej oprawie okulary.

— Tak, panie Nicku, trzeba się koniecznie rozerwać i przełamać.

Nie otrzymał odpowiedzi. Obmył ręce, włożył palto i kapelusz.

— Jeżeli będzie pan nadal pił, może to się tragicznie skończyć.

Nick lubiał śmiesznego lekarza, dreptającego po pokoju i gderzą-

cego: „tak, tak, panie Nick". Patrzył, jak lekarz zniknął w drzwiach. Ręka mimowoli wyciągnęła się do stolika, gdzie stała wódka, ale natychmiast zjawiła się refleksja: czy warto, czy to chociaż trochę pomaga? Nick zapalił papierosa. Pokój tonął w łagodnym, ciepłym półcieniu.

— — — — — — — — — — — — — —

Ogromne, drukowane grubym, czerwonym drukiem afisze oznajmiały, że Nick wrócił na scenę. Widownia została szczelnie wypełniona szumem toalet, nieskazitelną białością gorsów, wytworną rozmową i powłóczystemi spojrzeniami.

Dzwonek. Światło powoli gasło, zlewając w jedną ciemną masę dostojnie grubych i łysych panów, napuszone zgryźliwie starsze panie i tajemnicze uśmiechy młodych dziewczyn. Została tylko jedna jasna plama, a w niej Nick. Choroba zostawiła swój ślad, stał się bardziej śmieszny i brzydki. Publiczność jednak hucznemi oklaskami witała swojego ulubieńca.

Brawo, Nick!!! Brawo, Nick!!!

„Księżniczka" siedziała w pierwszym rzędzie. Nickowi zdawało się, że „księżniczka" uśmiecha się ze wszystkich krzeseł. Uśmiech „księżniczki" był serdeczny, a Nickowi było czegoś bardzo żal. Bardzo żal. Pan siedzący przy „księżniczce" miał bardzo równy przedział na głowie, wywatowane bary i błyszczące lakierki. Nick poczuł, jak coś go chwyta mocno za gardło, zamyka oddech — ciało staje się rozdygotane, bezwładne, jak galareta. Lepka gorycz wypływa na wargi.

— Księżniczko, dobra księżniczko!...

Zrutynowanym ruchem ręki chwycił się za gardło i zwalił na podłogę. Wśród śmiertelnej ciszy publiczności. Nikt się nie roześmiał. Tym razem wszyscy jednakowo zrozumieli Nicka i orzekli: kapitalnie zagrał tę farsę. Ale nikt nie bił brawa.

Nick leżał na scenie i czekał na lekarza.

A na dworze padały płaty miękkiego, białego śniegu. Kobiety chwytały go w czerwone usta, chłodził ich utajony żar. Jeździły tramwaje. Gazeciarze wykrzykiwali tytuły wieczornych gazet. Domy w obfitości śniegu wyglądały, jak chałupki z bajki.

Czyjeś auto pędziło w białą, skłębioną zawieruchę.

To „księżniczka" odjeżdżała do domu.

Kazimierz Józef Lipiński.

Z ŻYCIA.

Dancing. Kolorowe, przyćmione światła, stłumione namiętnością szepty, rozgrzane alkoholem śmiechy. Ręce szukające nerwowo czyichś drugich rąk — i oczy przymglone jakimś nienaturalnym blaskiem...

Jazz rozkrzyczany w hałaśliwym fox-troccie — i zabłąkana bezpowrotnie melodja wędrująca w sentymentalnych słowach:

... „powiedz, że wrócisz, choćbyś miał skłamać"...

... „Wrócę, wrócę“ — szepce jakiś zalany w „pestkę“ starszy pan z brzuszkiem, plącząc się po sali i szukając zagubionego stolika. Po wielu okrążeniach sali dociera wreszcie do miejsca zagubionego i siadając przy „rozmarlenionej“ blondynce, zamawia nowe wino, wlewając go do gardła z przedziwnym uporem, jakgdyby chciał zapić się na śmierć.

Na salę wszedł oficer, prowadząc pod rękę młodą dziewczynę, która jakgdyby onieśmielona rozkrzyczanym tłumem ludzkim, odruchowo przycisnęła się mocniej do ramienia mężczyzny. Zajęli wreszcie stolik. Zamówili wino i dania. Rozmowa potoczyła się żywo. Oficer patrzył łagodnie i czule w oczy dziewczyny i uśmiechał się serdecznie, a ręce, które od czasu do czasu gładziły pieszczotliwie dłonie dziewczęcia mówiły o tem, że ten młody porucznik musi być szczęśliwy przy jej boku.

Zasłuchani w smętną melodję muzyki, zapatrzeni w siebie — mówili sobie wiele rzeczy wzrokiem. O wszystkich swoich dążeniach, o wszelkich pragnieniach. We wzroku ich była zawarta cała treść życia.

Wzrok dziewczyny chwilami tylko przesłaniała jakaś mgła i na ustach zabłąkał się zagadkowy półuśmiech. Czasami jakieś wahanie zawisło na ustach dziewczyny i jakieś urwane już w myśli zdanie wybiegło na wargi i zamarło w niepewności...

Wszystko jednak szybko rozpraszało jedno spojrzenie na młodą, energiczną twarz porucznika, w jego jasne, szczerze patrzące oczy. Był miły, prosty, ujmujący. Znała to wszystko w nim, kochała i ceniła.

Ostatnio tylko niepokoiła ją jedna myśl: Cyryl zadużo pije... Patrzyła na niego w tej chwili i stwierdzała, że pije zastraszającą ilość wina i wódki...

Coś ostrzegało ją w tej chwili i jakiś głos wewnętrzny mówił jej, że z tego nic dobrego nie wyniknie. Wyczuwała instynktownie ruinę i upadek całych swoich marzeń i nadziei...

I oto znowu pewien smutek nieokreślony osiadł na jej miłej i ładnej twarzyczce.

Nie chciała się jednak poddawać tym złym przeczuciom. Całą siłą woli starała się wmówić w siebie, że to minie i wszystko skończy się dobrze. Bo i pocóż psuć nastrój tego miłego, ciepłego wieczoru, kiedy jest szczęśliwa, ma blisko siebie Cyryla. Może patrzeć w jego kochane oczy i słuchać niskiego, aksamitnego głosu?...

A jednak — jakiś robak zwątpienia zakradł się do jej duszy i długo wgryzał się w serce przesmutnym niepokojem.

W tej chwili muzyka zagrała sentymentalne tango i młody porucznik Cyryl, chwiejnym ukłonem poprosił do tańca swoją narzeczoną Miję.

Pary snuły się wolno w takt muzyki. Cyryl przyciskał do siebie mocno dziewczynę i szeptał jej długo o swojej wielkiej i dozgonnej miłości.

Mija słuchała tego z pewnym niepokojem. Drażniły ją teraz jego słowa. Do wściekłej i głuchej rozpaczy doprowadzał ją wstrętny odór alkoholu. Jej spokojna dotychczas natura zaczynała gwałtownie buntować się w niej i kazała jej prawie że z nienawiścią patrzeć na Cyryla. Byłaby z przyjemnością wszystkie jego słowa o miłości wtłoczyła mu

siłą z powrotem do gardła. Zdawało jej się w tej chwili, że nienawidzi wszystkich ludzi, że deptałaby z pogardą cały świat...!

Na wszystkie zaklęcia i wyznania Cyryla nie odpowiadała słowem. Usta jej tylko drżały lekko i nieznośnie drażnił ją zapach wódki i zimnego mięsa.

Orkiestra przestała grać.

Po powrocie do loży — Mija po pewnym wahaniu powiedziała głosem stanowczym:

— Cyrylu, wracamy do domu.

Tyle było w jej głosie jakiegoś niezłomnego postanowienia, jakiejś wielkiej energji, że Cyryl spojrzał na nią zdumiony i chociaż to życzenie jej nie przypadło mu do gustu, — nie miał odwagi zaoponować. Próbował tylko pojednawczo zapytać:

— Dlaczego, czy źle się czujesz?

— Dziwi cię, że nie każdy dobrze się czuje w takiem środowisku, między temi zapijaczonemi twarzami? — odparła Mija.

W głosie jej zabrzmiał taki zdecydowany bunt, że wyglądało to prawie zaczepnie. Przegrodziło ich to zdanie, jak rzucona pod nogi rękawica i podobni byli teraz raczej do wrogów—a nie przyjaciół. Z twarzy Miji wyglądała jakaś zaciętość i czaiła się w każdem załamaniu świateł, które igrały kolorowemi ogniami w jej oczach.

W twarzy Cyryla widoczne było niezdecydowanie. Nie wiedział, jak ma zachować się teraz wobec tej dziewczyny. Nie była to już ta sama słodka Mija, którą przed chwilą widział, ale obca, daleka dziewczyna, która przez dziwne nieporozumienie tylko znalazła się tu razem z nim po to, aby zakłócać mu spokój.

Mgła przesłoniła mu oczy. Walczył z sobą. żałował tych cudnych chwil tak szybko minionych, chwil, w których jakaś radość i słodycz słoneczna wlewała mu do serca dziwne ciepło. Poddawał się temu uczuciu z nadzwyczajną radością i teraz oto — chciałby za wszelką cenę wrócić te chwile, zatrzymać je choćby na moment jeszcze. Chciałby powiedzieć jej o tem, ale słowa zatrzymują się w gardle. Jakaś siła tamuje wszystkie jego myśli i naraz jakaś przekora i fałszywa ambicja zawraca bieg tych myśli w inną stronę. Zły duch buntu szepce i urągliwie śmieje się z niego... — „Pozwolisz sobie byle dziewczynie morały prawić i pozbawiać się przyjemności, jaką daje ci wódka?...

Och, ty szaleńcze... ty głupcze..."

Szeptał mu długo i złośliwie do ucha Demon Zła, aż wreszcie zaczął go przeciągać na swoją stronę i po krótkiej chwili miał go w swem posiadaniu.

Cyryl spojrzał wyzywająco na Miję, jakgdyby wahając się jeszcze.

— Skoro tak bardzo źle się czujesz wśród tych zapijaczonych twarzy, to sobie idź! — padło z ust jego mocne i twarde zdanie wypowiedziane podniesionym głosem.

Mija spojrzała na niego zdumiona i po krótkim namyśle wyszła.

Oczy jej przesłoniła mgła łez. Nie widziała nic i nikogo. Nie słyszała ordynarnych śmiechów i zaczepek mężczyzn — amatorów nocnych przygód i brudnej miłości. Szła szybko i biegło za nią tylko jedno słowo „idź".

„To sobie idź, idź, idź“, powtarzała w myśli i biec zaczęła prawie, jakgdyby to słowo goniło ją i smagało po twarzy, jak zniewaga. Czy to aby wszystko możliwe, czy to nie był zły, straszliwy sen?...

Niestety — nie tłomaczył go w jej oczach nawet fakt, że to spożyty alkohol przez niego przemawiał. Jaką wartość posiada człowiek, który dla wódki depce godność kobiety, jej ambicję, honor i miłość?... Więc jej miłość warta jest mniej, niż kieliszek wina, czy koniaku? Widocznie. Boć przecież on wybrał wódkę, a jej pozwolił odejść samej, narażonej wśród nocy na ordynarne, niedwuznaczne zaczepki. Nie mogła w to uwierzyć.

Oglądnęła się jeszcze za siebie, bo przecież on musiał zrozumieć to i wyjść za nią.

Ale na ulicy było pusto i głucho. Po bruku gonił ją tylko jakiś pusty śmiech pijanego przechodnia.

Cyryl pozostał tam, gdzie szampan perlił się, jak złoto i złudnym chwilowym mitem omotywał głowy ludzkie — tam, gdzie wódka częstokroć silniejsza niż wszelka miłość ludzka, wprowadzała nastrój chwilowego zapomnienia i wytwarzała pojęcie, że „życie jest przecież takie piękne“.

Łzy płynęły teraz po twarzy Miji niehamowane. Płakała nad całą ruiną swego szczęścia, jakgdyby wypłakać chciała cały swój ból i resztki słabnącej nadziei. Kochała Cyryla nad życie własne i gotowa była dla tej miłości poświęcić wszystko, nawet siebie i swoje szczęście. W rozpalonym mózgu powstawała myśl, że musi go ratować... Cyryl nie może się zmarnować. Co będzie z jego karjerą wojskową?

Robiła sobie wyrzuty w tej chwili, że zabardzo uniosła się gniewem. Sama wszystkiemu jest winna.

Dowlokła się do domu i szybko rozebrała się, kładąc się do łóżka. Wierzyła, że sen ją pokrzepi i przyniesie jej jakąś dobrą radę. Napewno jutro się wszystko ułoży i wyjaśni. Przewracała się długo nie mogąc zasnąć, aż wreszcie trapiona złemi myślami i znękana płaczem — usnęła.

Nazajutrz była, jak rozbita. Przejścia ubiegłej nocy pozbawiły ją tej pogodnej równowagi duchowej i wyczerpały ją nerwowo.

Postanowiła zadzwonić do Cyryla i rozmówić się z nim. Ociągała się jednak i łudziła się, że może Cyryl odezwie się pierwszy. Czekała do godziny 4-tej po południu i — nic. Drażniący niepokój ogarnął ją nanowo.

Ujęła słuchawkę telefoniczną do ręki.

— Czy mogę prosić pana Cyryla Haniewicza?

... ... Sekunda — dwie — trzy — cztery — pięć —Ręka ze słuchawką opada powoli i łzy perlą się na dłoni — łzy wiszą w powietrzu i czepiają się kurczowo czyjichś oczu śmiesznych, zdziwionych i dziecinnych.

Niema Cyryla. Poprosił o urlop i wyjechał do Zakopanego. Tak bez słowa pożegnania — bez wytłomaczenia.

Ktoś zadzwonił do drzwi, ktoś otworzył i podał jej list. Wzięła do ręki — odpieczętowała...

Szanowna Pani!

Proszę wybaczyć mi nietakt ubiegłej nocy i jednocześnie uważać nasze sprawy za skończone. żegnam Panią. Proszę mnie tak bardzo nie potępiać i czasami wspomnieć mnie życzliwie.

Cyryl Haniewicz".

I to już jest wszystko... Więc w tych kilku słowach zamknięta jest cała miłość.

Odczytywała list kilka razy, jakgdyby starała się odnaleźć między tymi wierszami jeszcze trochę Cyryla tego dawnego, dobrego Cyryla— nie tego, od którego słów chłodem wieje i jakąś grzeczną niechęcią... Pragnęła czegoś więcej dopatrzeć się w tych martwych słowach, jakiegoś gorącego pocałunku, jakiegoś słowa o miłości, jakiegoś zaprzeczenia i wyjaśnienia.

Ogarnęła ją gorączka.

— „Proszę mnie tak bardzo nie potępiać" — powtarzała po raz setny słowa jego listu. Boże, czyż ja go potępiam? Cóż znaczy wszelkie zło wobec wielkiej, potężnej miłości?...

Teraz już wszystko stracone — myślała: zagubiła się cała w tym uczuciu do niego i teraz oto stoi, jakby niezupełnie doskonała, jakgdyby część jej istoty postrzępiona została i porwana.

Włożyła płaszcz i kapelusz i wyszła na ulicę. Nie wiedziała, gdzie idzie i po co.

— — — — — — — — — — — — — —

Dużo czasu upłynęło, zanim Mija odzyskała równowagę ducha i powoli zaczęła przyzwyczajać do swojego losu. Początkowo uciec chciała od ludzi i od dotychczasowego otoczenia, miejsca zamieszkania, gdyż wszystko przypominało jej Cyryla. Z każdym przedmiotem, z każdym kątem łączyło ją wspomnienie jego. Za silne więzy wspomnień łączyły ich wzajemnie, ażeby mogła to tak szybko przeboleć i zapomnieć. Z czasem jednak przyszło częściowe uspokojenie i cicha rezygnacja: tak musiało być.

— — — — — — — — — — — — — —

Zima była wyjątkowo mroźna. Śnieg sypał białemi płatami. Zakopane i wszystkie miejscowości narciarskie zaroiły się ludźmi. Amatorzy białego sportu licznie zjechali, aby dać upust swej energji sportowej. Rozgrzane twarze, roześmiane oczy i wesołe głosy, które rozbrzmiewały głośno, a echo niosło je daleko, daleko. W grupie ludzi idących z nartami, wyróżniał się jakiś młody oficer — upartym milczeniem. Nie cieszyło go ani wesołe towarzystwo, ani cudny śnieg, który na biało wyczarował cały świat gór. Przyjechał — właściwie i sam nie wiedział po co. — Chciał uciec od czegoś, co wiecznie przesłaniało mu oczy, chciał uciec od siebie samego — zapomnieć — raz chociaż nie czuć tego przykrego bólu gdzieś w sercu. Rzucał się w wir zabaw — z jednej ostateczności w drugą. Szalał w stołecznych Café-dancingach i setkami przepijał pieniądze w nocnych lokalach.

Teraz myślał nad tem wszystkiem i doszedł do wniosku, że to wszystko — napróżno. Coś dręczy go niemiłosiernie i jakaś wściekła, niewypowiedziana tęsknota krzyczy w nim głośnym niepokojem — co będzie dalej? Szedł z pochyloną głową, jakgdyby pod brzemieniem wielkiego smutku. Nie słyszał dokoła siebie śmiechów, rozmów, aż wreszcie jego serdeczny przyjaciel młody inżynier G. trącił go lekko i rzekł:

— Cyrylu, co się z tobą dzieje? mówimy do ciebie wszyscy, a ty nas zupełnie nie słyszysz. Obudź się wreszcie.

Cyryl podniósł wolno głowę i nieprzytomnie spojrzał na przyjaciela. Twarz miał zmęczoną, ściągniętą grymasem w dużą fałdę koło ust.

— Ja — nie mogę tak dłużej męczyć się. Muszę ją zobaczyć.

Czuł, że za chwilę rozpłacze się jak dziecko, dlatego poprosił przyjaciela, żeby pod jakimkolwiek pretekstem wrócili do pensjonatu. Wymówili się od towarzystwa gwałtownem zasłabnięciem Cyryla i wrócili do domu. Tu Cyryl, nie krępując się już zupełnie, wyładował całą swoją gorycz. Powiedział przyjacielowi o wszystkiem. Młody inżynier G. długo zastanawiał się — i wreszcie oświadczył, że Cyryl musi jakoś porozumieć się z Miją. Postanowili nazajutrz napisać do niej. Tymczasem, idąc w myśl zasady, że „na frasunek dobry trunek" — wyszli, aby się czegoś napić. Była godzina 3-cia w nocy, kiedy Cyryl chwiejnym krokiem, z silnemi dreszczami wracał do swego pokoju.

Nazajutrz wywiązała się silna gorączka i lekarz, który przyszedł, pokiwał głową i oświadczył panu G. Zapalenie płuc. Stan groźny. Organizm zniszczony nadmiernem używaniem alkoholu. Ratunek utrudniony. Przepisał lekarstwa, dał zastrzyk i wyszedł, obiecując przyjść wieczorem. W razie, gdyby nagle się pogorszyło — wezwać go wcześniej.

Młody przyjaciel porucznika pobiegł na pocztę i nadał depeszę do Miji:

„Przyjeżdżać. Cyryl chory. Stan groźny".

— — — — — — — — — — — — — —

Mija szybko wsiadała do pociągu, który za chwilę ruszył. Denerwowała się ogromnie, zdawało jej się, że pociąg specjalnie tak wolno jedzie, wiedząc, że jej tak bardzo się śpieszy. Złe przeczucia opadły ją jak kruki. Prosiła Boga, żeby zdążyć. Pragnęła ujrzeć go jeszcze chociaż raz, choćby to sama musiała życiem przypłacić.

Już trzecia w nocy, a pociąg wolno sunie i jego miarowy stukot nieznośnie bije w tętnach i boli, niemiłosiernie boli. Myśli rozsadzają głowę i skupiają się w jedynym pragnieniu: zobaczyć go jeszcze żywego. Wmawia w siebie i pociesza się, że przecież Cyryl jest młody, silny i, że napewno organizm wytrzyma, — a jednak jakieś złe przeczucia nie dają jej spokoju.

Przyszedł wreszcie upragniony cel podróży i Mija szybko wsiada w dorożkę i jedzie pod wskazanym adresem. Biegnie szybko po schodach... Wpada jak burza do pokoju, gdzie w białym łóżku leży ten, którego ukochała nad życie.

Patrzy na wszystkich pokolei błędnie i zrozumieć nie może, dlaczego jest tak cicho — dlaczego wszyscy milczą?... Spotyka nagle wzrok

doktora, który głowę opuszcza nisko na piersi, jakgdyby przyjmował winę za stracone życie na siebie. Wychodzi zrozpaczona z pokoju i idzie na ulicę. Kupuje kwiaty i wraca do niego, kładąc je obok i szlochając przejmująco. Jest w niej jakiś olbrzymi żal i gorycz, której pomieścić w sobie nie może. Jest w niej jakiś ból niewyżytej, niezaspokojonej miłości.

— — — — — — — — — — — — — —

Z opuszczoną głową, przytłoczona ciężarem smutku, wracała Mija z drogi, na którą odprowadziła Cyryla na wieczność. Wracała z miejsca ostatniego pożegnania z nim. W sercu czuła straszliwą pustkę, z którą miała już iść przez całe życie. Wiedziała, że tej pustki nieda się już niczem zapełnić.

Deszcz smagał ją po twarzy, sączył się do ust chłodną wilgocią. Szyny kolejowe pędziły w nieskończoność. Mija szła wolno. Mijające ją słupy telegraficzne wydzwaniały dziwne słowa. Mijała właśnie krzyż przydrożny, przy którym usiadła odpocząć, jak po ciężkiej wędrówce życia. Siedziała zamyślona i zapatrzona w niezbadany kres tej drogi.

Deszcz padał i padał nieustannie...

Michalina Woźniakówna.

A L K O H O L I K.

Dla was — zawsze pozostanę nieznany,
o los mój — was serce nie zaboli,
nad życiem przegranem nie zapłacze.
Którędy ja chodzę — ścieżką rozpaczy —
wlecze się tylko nędza pijanych
i ja — alkoholik.

Przemierzam życie, przemierzam
krok za krokiem
— jakie ciężkie kroki! —
Barki
(... duszę się!...)
przywaliła wieża...
— powietrza! — przestrzeni! — drogi!

W piersi serce goreje — pożar.
Pożar serce spala na popiół.
Dym gryzący w oczach — gęsta mgła.
Ktoś słońce strącił, zatopił
i już szumi, zalewa wszystko
noc głęboka od rozpaczy zła.

Rzeka — przepaść pluszcząca, nagli:
— prędzej!
biedny jesteś, biedny jak szczur! —
— Ach, wiem już:
jak z dołu, z zatęchłej nędzy
wydobędzie mnie wisielczy sznur.

Dla was zawsze pozostanę nieznany,
nad życiem przegranem nikt nie zapłacze,
i o los mój — was serce nie zaboli.
Którędy ja pójdę — ścieżką rozpaczy —
wlecze się tylko nędza pijanych
i ja — alkoholik.

Henryk Huzik.

Z FRONTU WALKI Z NARKOTYKAMI.

Amerykanin o środkach odurzających.

Autorem niniejszego artykułu jest p. Leonard A. Lyall, Prezes Stałego Centralnego Komitetu Opjumowego w Genewie. Artykuł ten ukazał się w językach francuskim i angielskim w wydawnictwie Związku międzynarodowego walki z narkotykami za kwiecień - lipiec 1936 r. (Études et commentaires de l'Association internationale de défense contre les stupéfiants w Genewie).

Głównym celem konwencji o ograniczeniu fabrykacji środków odurzających z r. 1931 jest zmniejszenie produkcji narkotyków na całym świecie do ilości koniecznych dla zaspokojenia legalnego zapotrzebowania. W r. 1931 konferencja, która opracowała tę konwencję, uznała, że zapotrzebowanie światowe roczne, dla celów leczniczych i naukowych, wynosi 9 tonn morfiny, 2 tonny dwuacetylomorfiny i 5½ tonn kokainy.

Od tego czasu wprowadzono na rynek nowe środki, ale wobec tego, że zastępują one dawne, użycie ich będzie miało niewielki wpływ na podane wyżej przewidywane spożycie. W istocie, w miarę wzrostu użycia środków nowych, zmniejszy się spożycie środków dawnych. Wszystkie one jednak dadzą się podciągnąć pod poprzednie trzy grupy z niewielkimi odchyleniami. W roku 1931 ani kodeina, ani dionina nie podlegały kontroli rządów. Wynikła stąd trudność w podaniu ilości tych środków, zużytych w ciągu roku, to też konferencja nie mogła ustalić, jakie ilości będą potrzebne celem pokrycia legalnego zapotrzebowania światowego.

Rok 1934 był pierwszym, w którym konwencja z r. 1931 została całkowicie wykonana. Dane statystyczne, ogłoszone przez Centralny Stały Komitet Opjumowy, wykazały, iż na podstawie cyfr, podanych Komitetowi przez poszczególne rządy, ilości narkotyków fabrykowanych i spożytych na całym świecie w r. 1934, były następujące:

	ilości w kg. fabrykow.	ilości w kg. spożytych
Morfina zużyta jako taka	5.799	7.075
Eucodal, Dicodid, Dilaudid i Acedicon	346	282
	6.145	7.357
Dwuacetylomorfina	1.114	1.026
Kokaina	3.472	3.209

Cyfry te wskazują, że ilości każdego z tych środków, fabrykowane w r. 1934, są znacznie niższe od ilości przewidywanego spożycia światowego w r. 1931.

Cyfry spożycia światowego, podane powyżej, nie są kompletne, gdyż niektóre rządy nie mogły ustalić ilości środków odurzających, spożywanych na ich terytorjum. Skutkiem tego Komitet postarał się określić istotne spożycie światowe w r. 1934, dodając do ilości fabrykowanych w ciągu roku, zapasy, podane jako istniejące w krajach wytwórczych na początku roku i odejmując od tej sumy zapasy, wymienione w tych krajach w końcu roku. Wynik tych obliczeń jest następujący:

	Spożycie światowe w roku 1934
Morfina, zużyta jako taka	7.946 kg.
Eucodal, Dicodid, Dilaudid, Acedicon	353 „
	8.299 kg.
Dwuacetylomorfina	1.149 „
Kokaina	3.624 „

Podług tych obliczeń również spożycie narkotyków w r. 1934 było znacznie niższe od przewidywanego zapotrzebowania światowego w r. 1931. Spożycie heroiny spadło prawie o połowę w znacznej mierze skutkiem zmniejszonego spożycia w Japonji.

W roku 1929 fabrykacja morfiny wynosiła ogółem 55.377 kg. Cyfra ta nie obejmowała fabrykacji rosyjskiej. W roku 1934 fabrykacja wynosi już tylko 24.191 kg. W ciągu pięciu lat osiągnięty postęp jest olbrzymi. Postęp ten jednak nie jest wyłączną zasługą konwencji o ograniczeniu fabrykacji, gdyż w roku 1932, a więc przed wprowadzeniem w życie konwencji, ogólna ilość morfiny, podana jako wyprodukowana na całym świecie bez Rosji, wynosiła 24.112 kg., czyli cokolwiek mniej niż w roku 1934.

Zarówno osiągnięty postęp, jak i przyjęcie konwencji o ograniczeniu fabrykacji były wynikami tej samej przyczyny: dzięki dyskusji publicznej o nadużyciach w handlu pokątnym narkotykami przed Opjumową Komisją Doradczą, Stałym Centralnym Komitetem Opjumowym, Ogólnem Zgromadzeniem Ligi Narodów i Konferencją o ograniczeniu, wynikł skandal. Nadużycia były zbyt widoczne. Rządy przekonały się nareszcie, że nie mogą one być nadal tolerowane.

Błędny byłby jednak wniosek, wysnuty z powyższego, że konwencja o ograniczeniu fabrykacji jest wogóle zbędna. Konwencja ta pozwala na przygotowanie danych statystycznych znacznie dokładniejszych i lepiej zestawionych o handlu narkotykami, niż te, które były możliwe

przy konwencji genewskiej z r. 1925. Zwiększyła ona również nadzór międzynarodowy nad handlem narkotykami i wzmocniła go nad wyrobem narkotyków w poszczególnych krajach. O ile tylko postanowienia konwencji będą ściśle przestrzegane, okaże się rzeczą trudną skierować, jak to było w zwyczaju, poważne ilości narkotyków z fabryk koncesjonowanych, gdzie były one wyrabiane, do handlu pokątnego. Europa i Japonja nie będą nadal pozostawały pod zarzutem trucia różnych narodów przez fabrykację i wywóz narkotyków, wyrabianych w fabrykach upoważnionych i kontrolowanych przez rząd danego kraju.

Jednakże konwencja o ograniczeniu ma swoje ściśle określone granice, których przekroczyć nie wolno. Nie obejmuje ona mianowicie surowców, służących do wyrobu narkotyków. W latach 1933 i 1934 kilka tonn opjumu w bochenkach wysłano z Turcji do krajów, których zapotrzebowania legalne nie mogły zużytkować takich ilości tego surowca. Władze tureckie zawiadomiły o wywozie Komitet Centralny. żaden z tych transportów nie doszedł do podanego przez władze tureckie miejsca przeznaczenia. Niektóre z nich były wysłane za fałszywymi certyfikatami przywozu. Nie ulega wątpliwości, że opjum to zostało dokądś wywiezione. Dokąd — tego nie wiemy. Ale jest rzeczą prawie pewną, że opjum to zasiliło handel pokątny. Ilość opjumu, wysłana z Turcji, jest jednakże zupełnie niewystarczająca, aby zaspokoić potrzeby handlowe przemytu narkotyków. Handel ten musi zatem znaleść gdzieindziej bardziej obfite źródła.

Dotychczas nie udało się ustalić, jaka ilość narkotyków jest potrzebna celem zaspokojenia kontrabandy. Narkomani w Chinach i Mandżurji spożywają corocznie tonny i tonny morfiny. Większość tej morfiny jest prawdopodobnie fabrykowana na miejscu. Istnieje prawdopodobieństwo, że z Mandżurji do Chin płynie nieustanny potok morfiny i heroiny, ale nikt nie może określić rozmiarów tego przypływu nawet w najogólniejszem przybliżeniu. Wobec tego, że Liga nie uznała Mandżuko, kraj ten nie dostarcza Lidze Narodów ani Komitetowi Centralnemu danych statystycznych, dotyczących produkcji opjumu, morfiny i heroiny, ale nikt nie może określić rozmiarów tego przypływu nawet

Ameryka Północna jest jedyną częścią świata, która ogłosiła ścisłe informacje o liczbie swoich narkomanów. Kanada ustaliła kilka lat temu, że istnieje tam około 8.000 narkomanów i że każdy z nich spożywa 3 do 6 granów dziennie. Stany Zjednoczone określiły w r. 1934 liczbę narkomanów u siebie na 100.000 i średnie spożycie dzienne każdego z nich na 6 granów. Wobec tego przybliżone nielegalne spożycie narkotyków w Kanadzie wynosi 855 kg. rocznie, w Stanach Zjednoczonych zaś 14.221 kg. rocznie.

W samej Ameryce Północnej narkomanom potrzeba 15 tonn narkotyków dla zaspokojenia ich nałogu. Jest dla mnie rzeczą zupełnie niemożliwą ustalić, ile spożywają narkomani innych kontynentów. Ze statystyk, dołączonych do sprawozdań Centralnego Komitetu za r. 1934, wynika, że urzędy na całym świecie zajęły wskutek nielegalnego przywozu lub wywozu następujące ilości fabrykowanych narkotyków: morfiny 57 kg., dwuacetylomorfiny 158 kg. i kokainy 67 kg. Z tych ilości w Ameryce północnej zajęto:

	Morfiny	Dwuacetylomorfiny	Kokainy
Stany Zjednoczone	24 kg.	6 kg.	4 kg.
Kanada	2 „	—	—

Zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Kanadzie opjum i roślina coca nie są hodowane. Jest rzeczą pewną, że kontrola wyrobu środków odurzających i handlu legalnego w obu tych krajach działa bardzo sprawnie. Należy więc wyciągnąć stąd logiczny wniosek, że narkomani muszą zaopatrywać się zagranicą. Przybliżone obliczenie za r. 1934 przedstawia się w sposób następujący:

	narkotyki wwiezione	narkotyki zajęte
Stany Zjednoczone	14.221 kg.	34 kg.
Kanada	855 „	2 „

Z powyższych cyfr wynika, że konfiskaty urzędów celnych nie mają najmniejszego wpływu na obroty handlu nielegalnego. Zyski, osiągane przy tym procederze, są olbrzymie. Komisarz amerykański do spraw narkotyków, p. Anslinger, w sprawozdaniu złożonem przed komisją ustawodawczą Kongresu Stanów Zjednoczonych w r. 1936, ustalił, że przeciętna cena narkotyków, sprzedawanych detalicznie na rynku nielegalnym, wynosi około dolara za gran, czyli ponad 15.000 dolarów za kilogram. Cena hurtowa w Genewie, a ceny te są wszędzie mniej więcej jednakowe, wynosi około 228 dolarów amerykańskich za kilo. W ten sposób chociaż narkotyk przechodzi przez znaczną liczbę brudnych rąk, nim dojdzie do nieszczęśliwych narkomanów, zyski dla każdego z pośredników są jeszcze bardzo pokaźne.

Byłoby wielką niesprawiedliwością mieć pretensje do władz celnych za więcej niż skromne wyniki, jakie osiągają. Przemytu fabrykowanych środków odurzających drogą rewizji celnych nie da się zniszczyć, ani wyplenić, gdyż kontrola dostatecznie ścisła, aby zniechęcić, czy odstraszyć przemytników, zabiłaby handel legalny. Aby istotnie uzyskać wyniki dodatnie, dyrekcje i urzędy celne muszą w tych przypadkach korzystać wyłącznie z usług informatorów. Informator należy do najgorszej kategorji oszustów, zdradza swoich wspólników i jeśli sprawa się wyda, przypłaci to życiem. Nic dziwnego, że, narażając się na tak poważne niebezpieczeństwo, każe sobie przedtem dobrze zapłacić.

Zwalczając handlarza pokątnego, policja ma przynajmniej jedną przewagę nad celnikami: jej działalność nie przeszkadza i nie niszczy handlu legalnego. Jednakże jeśli narkotyki dostały się do rąk handlarza, prawie niepodobna przeszkodzić, aby ten nie rozsprzedał ich swoim klientom.

Z cyfr, podanych przez niektóre państwa, wynika, że ilości skonfiskowane przez policję, są jeszcze niższe od tych, które były skonfiskowane przez władze celne. Konfiskaty, zarówno policyjne, jak i celne, nie mogą mieć istotnego wpływu na handel pokątny.

Amerykański skarb państwa poświęcił 1.244.399 dolarów na wprowadzenie w życie ustawy o narkotykach w roku budżetowym, kończącym się 30 czerwca 1935 r. Wyroki skazujące w r. 1934 za przekroczenie ustaw o substancjach odurzających wynoszą łącznie 5.136 lat więzienia. Związana z tem procedura sądowa musiała kosztować rząd amerykański znaczne sumy. Stany Zjednoczone mają zatem, prócz pre-

tensji moralnych, również poważne pretensje finansowe do tych państw, które zaopatrują handel pokątny, gdyż ofiarami tego handlu są właśnie Stany Zjednoczone.

Stany Zjednoczone są krajem, co do którego mamy niezbite dowody krzywd, wyrządzonych przez handel pokątny. Nie ulega wątpliwości, że Egipt, Kanada, Indje, Chiny i inne kraje ponoszą również straty, nie dające się obliczyć.

Wszyscy muszą przyznać, że obie konwencje genewskie z lat 1925 i 1931 były bardzo pomocne przy zwalczaniu nadużywania narkotyków i szkód, przez nie wywołanych. Fabryki koncesjonowane przestały wyrabiać znaczne ilości tych środków, które niewiadomemi drogami dostawały się do rąk handlarzy pokątnych. Ale handel ten nie przestał istnieć. Corocznie narkomani otrzymują z nieznanych źródeł całe tonny tych środków. Słusznie wyraził się senator Cavazzoni: „przecież nie spadają one z nieba, gdzieś muszą być wyrabiane“. Gdzie — nie wiemy. Wykazaliśmy powyżej, że obecne wysiłki władz celnych i policyjnych w kierunku zahamowania handlu pokątnego i zniszczenia go, nie dają prawie żadnych wyników. Aby handel ten przestał istnieć, trzeba zastosować inne metody i sposoby.

Dawniej fabryki koncesjonowane fabrykowały tysiące tonn, te tysiące dostawały się w ręce handlarzy, a z chwilą, gdy weszli w ich posiadanie, było prawie niemożliwem przeszkodzić zaopatrywaniu w nie narkomanów. Kontrola fabryk ten stan rzeczy zmieniła całkowicie. Fabryki były koncesjonowane, a więc dobrze znane władzom. Ukrócenie nadużyć nie natrafiło zatem na zbyt wielkie trudności. Zagadnienie dało się przezwyciężyć bez nadmiernych wysiłków. Inaczej ma się rzecz z fabrykami pokątnemi, nie wiemy, gdzie są, ale musimy je znaleść. Znaleść fabrykę pokątną w kraju obcym i nieznanym jest jednak znacznie łatwiejsze, niż uganiać się za tysiącami drobnych paczek narkotyków, krążących nawet po własnym kraju. Wywiadowca policyjny, który będzie się starał odszukać fabrykę pokątną, ryzykuje życie, ale na szczęście, policjanci nie ulękną się niebezpieczeństwa przy wykonywaniu swoich obowiązków. Fabryki pokątne istnieją i mogą istnieć, ponieważ zupełnie bezkarnie zaopatrują się w surowce. Dopóki surowce, opjum i roślina coca, będą hodowane w większych ilościach, niż tego wymaga handel legalny, nadmiar będzie poszukiwać rynku nielegalnego. Ostateczne zwycięstwo nad przemytem środków odurzających będzie odniesione dopiero wtedy, gdy produkcja opjumu i liści coca na całym świecie będzie doprowadzona do ilości koniecznych dla zaspokojenia wyłącznie potrzeb legalnych.

Konopie indyjskie (cannabis indicae, herba, tinctura, extractum), haszysz.

Sprawą konopi indyjskich w ich rozmaitych postaciach: ziele, nalewka, ekstrakt eterowy i haszysz, zajmuje się już oddawna Komisja Doradcza Ligi Narodów do spraw opjum i innych środków odurzających. W roku 1936 Komisja ta ogłosiła 4 dokumenty, z których wynika, że wyłoniła ona specjalną podkomisję dla konopi indyjskich. W skład jej wchodzą przedstawiciele W. Brytanji, Kanady, Egiptu, Hiszpanji,

Stanów Zjednoczonych Ameryki, Francji, Indji, Meksyku, Holandji, Polski i Sjamu, w charakterze asesora tej podkomisji funkcjonuje p. de Myttenaire. Do podkomisji weszli, jako biegli, wybitni profesorowie, jak prof. Casparis z uniwersytetu berneńskiego, znawcy higjeny tropikalnej z Syrji, Tunisu, Kairu, Rabatu. Niektórzy z nich zajmują odpowiedzialne stanowiska w Europie, jak np. ppułkownik A. G. Biggam, były profesor higjeny klinicznej w Kairze, obecnie zastępca profesora medycyny tropikalnej w Król. Wojskowem Kolegjum Medycznem w Millbank (Londyn), Prof. Rodhain, profesor instytutu medycyny tropikalnej im. księcia Leopolda w Antwerpji i p. Symonds, prowadzący badania naukowe z ramienia rządu angielskiego na Ceylonie, obecnie radca Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Londynie do badań naukowych w sprawach policyjnych. Biegli ci otrzymali kwestjonarjusze do wypełnienia, w których oprócz pytań natury chemicznej, botanicznej, farmakopealnej, farmakologicznej, znajdują się pytania następujące: przyczyny i skutki nadużywania Cannabis sativa w rozmaitych krajach; skutki z punktu widzenia zaburzeń umysłowych i przestępczości; czy nałóg, spowodowany Cannabis, wzmaga się, w jakich krajach i w razie twierdzącym, jaka jest tego przyczyna; czy stwierdzono u narkomanów usiłowanie zastąpienia innych środków odurzających przez użycie konopi indyjskich. W razie twierdzącym, czy istnieje po temu inna przyczyna prócz trudności, napotykanych przez nich przy zdobywaniu tych środków. Czy istnieją przetwory konopi indyjskich, mające taką wartość leczniczą, aby były nie do zastąpienia w medycynie; czy konopie indyjskie (Cannabis sativa) wywołują narkomanję, w jej rozmaitych formach; czy nagłe zaprzestanie użycia wywołuje objawy, towarzyszące pozbawieniu narkomanów innych środów odurzających, jak np. morfina. Metody leczenia stanów chorobowych, wywołanych przez nadużywanie Cannabis. Jeżeli narkomanja Cannabis istnieje, jakie są metody reedukacji narkomana haszyszowego, które przeszkodziłyby mu ponownie popaść w ten sam nałóg, lub w inną narkomanję, albo w alkoholizm. Na pytania te biegli nie dali jeszcze odpowiedzi, albo nie są one jeszcze ogłoszone. Tymczasem Liga Narodów podaje dane, dotyczące szeregu krajów europejskich i pozaeuropejskich, w których konopie indyjskie są hodowane, bądź spożywane, bądź też jedno i drugie. Przytoczymy wyjątki ze sprawozdań kilku krajów europejskich.

W ł o c h y. Ze względów klimatycznych hodowla konopi indyjskich nie jest możliwa. Natomiast skutkiem położenia geograficznego, Italja jest krajem tranzytowym między Wschodem, wytwórcą surowca i Zachodem, fabrykantem i wielkim spożywcą narkotyków. Sprawa przemytu środków odurzających nabiera tam zatem pierwszorzędnego znaczenia, na co Rząd włoski zwrócił już baczną uwagę.

H o l a n d j a. Inspekcja Aptek rozpisała w r. 1934 ankietę o nadużywaniu konopi indyjskich. Wynika z niej, że lekarstwa, zawierające nalewkę lub wyciąg z konopi indyjskich, są bardzo mało używane. W dzielnicy portu amsterdamskiego haszysz jest nieznany i użycie tego środka przez przybyszów ze Wschodu nigdy nie było stwierdzone. Natomiast haszysz palą w Roterdamie. Podobno cudzoziemcy, między nimi Egipcjanie, wwożą haszysz i od czasu do czasu wprowadzają go do obrotu. Władze zwróciły już uwagę na tę okoliczność. Obywatele holen-

derscy, zdaje się, nie mają zwyczaju narkotyzować się konopiami indyjskiemi.

W krajach bałkańskich, mających klimat odpowiedni dla hodowli Cannabis, hodowla ta jest zabroniona: w Bułgarji od r. 1925, w Grecji od r. 1920, w Jugosławji od r. 1929, w Turcji od roku 1933.

W Bułgarji nie stwierdzono ani jednego przypadku nielegalnej hodowli konopi indyjskich. Produkcja żywicy i fabrykacja zwykłych przetworów, w których żywica jest zasadą, są również zabronione.

Grecja. Hodowla konopi indyjskich, dawniej bardzo rozpowszechniona, jest od kilku lat zakazana. W roku 1933 zdecydowano ustawowo, że haszysz, znajdujący się w posiadaniu dawnych hodowców, będzie zabrany za odszkodowaniem w celu zniszczenia. Ilość zebrana i przechowywana w specjalnym magazynie wynosi ogółem około 80.000 kg. Prócz tego na zniszczenie czeka inny transport konopi indyjskich, wynoszący około 5.600 kg., wwieziony tranzytem przez kupców greckich na podstawie zezwolenia władz greckich. Wobec wejścia w życie ustawy, zabraniającej handlu i przechowywania haszyszu, zabroniony został również wwóz. Było więc rzeczą słuszną, aby posiadacze greccy, przechowywujący ten haszysz legalnie, otrzymali odszkodowanie ze Skarbu Państwa za poniesioną stratę. Transport ten znajduje się obecnie w magazynach w Salonikach. Wprawdzie w r. 1934 nie stwierdzono ani jednego przypadku nielegalnej hodowli Cannabis sativa, jednak obrót nielegalny specyfików, wwziezionych drogą przemytu i użycie ich dla celów nielegalnych, nie uległ zmniejszeniu. W kraju, a w szczególności w Atenach i Pireusie, istnieje narkomanja, zaopatrywana w środki odurzające, wwiezione pokątnie i będące przedmiotem nielegalnego obrotu. Pomimo wysiłków policji i surowych kar nie stwierdzono bynajmniej zmniejszenia rozmiarów tej narkomanji. Spożycie konopi indyjskich, których hodowla, przeróbka, handel, wwóz i przechowywanie są zabronione, pozostaje nadal bardzo wysokie. Na 296 osób, zatrzymanych za przemyt środków odurzających, 109 było obwinionych o nielegalny obrót haszyszem. Ogólna ilość skonfiskowanego haszyszu w ciągu jednego roku wynosi 274 kg., z których jeden tylko transport, zajęty na statku motorowym greckim „Nike“ w Mytilenie, na drodze powrotnej z Istambułu, wynosił 150 kg.

Rumunja. W Rumunji hodowla Cannabis indica jest zabroniona. Natomiast dozwolona jest hodowla Cannabis sativa, przytem, o ile chodzi o zastosowanie przemysłowe włókien i nasion, zezwolenie nie jest wymagane. Odmiana Cannabis sativa, hodowana w Rumunji, nie zawiera żywicy, mogącej mieć zastosowanie przy wyrobie środków odurzających. Wyroby galenowe z konopi indyjskich mają zastosowanie wyłącznie dla celów leczniczych. Rząd rumuński nie stosuje systemu certyfikatów specjalnych przy wwozie konopi indyjskich, gdyż wwóz ten jest zakazany z wyjątkiem, gdy są one przeznaczone do wyrobu preparatów, używanych jako leki.

Turcja. Konopie indyjskie nie rośnie na terytorjum Rzplitej tureckiej w stanie dzikim, hodowla jest zabroniona od r. 1933, jak również wyrób żywicy i substancji, których zasadę stanowią. W handlu

nielegalnym skonfiskowano jednak 1.100 kg. haszyszu pod postacią esrar, które pochodziły prawdopodobnie z tajnych składów. Musiały one być tam złożone po zbiorach w latach, poprzedzających wydanie ustawy o prohibicji konopi indyjskich.

Handel nielegalny środkami odurzającemi ześrodkowuje się przeważnie w Istambule, dokąd są przysyłane transporty nielegalne, pochodzące z magazynów wewnątrz kraju i skąd są wysyłane po repartycji do różnych punktów przeznaczenia. Najpoważniejsze składy haszyszu znajdują się w okręgu Brussa, gdzie przed zakazem hodowla konopi indyjskich była rozpowszechniona. Z tych składów w miarę zapotrzebowania haszysz dostaje się do handlu nielegalnego przez małe porty na morzu Marmara, z których najważniejsze są Guemlik, Bandirma, Karamarsel i Yalova. Łódkami i żaglówkami przedostają się one z jednej miejscowości nadmorskiej do drugiej. Nadzwyczaj ożywiony ruch istnieje między przybrzeżem a Istambulem. Ukryte na dnie koszyków z jarzynami i owocami, beczek z oliwą, wewnątrz bel siana i słomy, transporty haszyszu przychodzą do Istambulu. Często znajduje się go w bagażach podróżnych. Używane są też sposoby wprost wyrafinowane, np. nalany w stanie płynnym do butelki z wąską szyjką, której kształty przybrał dokładnie po stężeniu. Były też przypadki, że za kryjówkę służyły cierpliwie wydrążone wklęsłości w kostkach węgla drzewnego lub w łupinach orzechów.

Wprawdzie narkomanja w Turcji dzięki surowo stosowanym środkom prohibicyjnym ma tendencje zmniejszenia się, jednakże obrót jest nadal poważny. 897 osób pociągnięto w r. 1934 do odpowiedzialności za ten obrót (nielegalny wyrób, handel, wwóz i wywóz). Haszysz, jako narkotyk o niskiej cenie, jest raczej używany przez klasy niezamożne. Wykrycie przestępstwa jest względnie łatwe, gdyż nałogowcy haszyszu lubią palić go w towarzystwie i w tym celu gromadzą się w podrzędnych kawiarniach, co ułatwia zadanie policji i pozwala na przyłapanie ich na gorącym uczynku. Często handlarzami są naiwni i prości chłopi, którzy, nie znając przepisów ustawy, usiłują przynieść na rynek haszysz własnej hodowli, aby w ten sposób uzyskać trochę pieniędzy. Handel haszyszem jest dość lukratywny: za wyprodukowany kg. płacą 10 funtów tureckich (24 franki szwajcarskie); zaś kg. w sprzedaży detalicznej kosztuje 40 funtów tureckich (96 franków szwajcarskich).

Związek socjalistycznych republik rad. Centralny Komitet Wykonawczy i Rada Komisarzy Ludowych Zw. S. R. R. rozporządzeniem z dnia 24 października 1934 r. zabroniły zasiewów maku nasennego i konopi indyjskich na terytorjum Związku prócz przypadków, wymienionych w tem rozporządzeniu. Kodeks karny rosyjskiej Republiki sowieckiej został w dniu 1 grudnia 1934 r. uzupełniony artykułem 179a, który przewiduje pociąganie do odpowiedzialności osób winnych zasiewania maku nasennego, lub konopi indyjskich bez uzyskania zezwolenia. Kodeksy karne innych republik zostały w ten sam sposób uzupełnione. Z zakazu hodowli konopi indyjskich są wyłączone zasiewy dla celów leczniczych i naukowych kraju. Corocznie Komisarjat Ludowy Rolnictwa ustala na rok następny powierzchnię hodowli dozwolonej i wydaje zezwolenia na zasiew.

Osoby, trudniące się hodowlą maku nasennego, lub konopi indyj-

skich bez uzyskania zezwolenia, podlegają na podstawie wymienionego artykułu kodeksu karnego karze więzienia do dwóch lat lub do roku z obowiązkową pracą w domu poprawczym. W obu przypadkach przewidywana jest konfiskata zarówno zasiewu, jak i zbioru.

Wydane przez najwyższe organy rządowe Z. S. R. R. zarządzenia mają na celu skuteczne zmniejszenie hodowli surowców, mogących zasilać handel nielegalny, oraz ustalenie odpowiedzialności nie tylko wytwórców, ale również władz, których obowiązkiem jest kontrola hodowli. Przypadków hodowli nielegalnej nie stwierdzono, natomiast istniał przemyt preparatów, zawierających żywicę, a mianowicie na granicy Z. S. R. R. z Persją i Afganistanem, wynosił on w r. 1933 — 1891 kg., zaś w r. 1934 — około 305 kg., wykazuje więc poważne zmniejszenie. Preparaty te były, zdaje się, pochodzenia afgańskiego.

Powyższe wiadomości są czerpane ze sprawozdań Ligi Narodów. A teraz w Polsce. Haszyszem interesuje się prof. Jan Muszyński z Wilna, który w N-rze 11 za listopad 1936 r. „Medycyny współczesnej" daje bardzo ciekawą i obszerną odpowiedź, co do haszyszu, dotyczącą wskazań stosowania, dawkowania i gotowych preparatów. Profesor kończy swój artykuł w sposób następujący: „Być może przez połączenie haszyszu z innemi lekami nasennemi (barbiturany, związki bromowe, lupulina) możnaby otrzymać cenne środki, nadające się do niesienia ulgi w ciężkich przypadkach neurastenicznych i histerycznych. Niestety, na przeszkodzie temu stoi dziś ostra kontrola haszyszu, który podlega takim samym przepisom, jak morfina, kokaina i heroina (kontrola krępująca zarówno lekarza, jak i aptekarza)".

Kontrola haszyszu, zgodnie z postanowieniami ustawy z dnia 22 czerwca 1923 r. Dz. U. R. P. Nr. 72, poz. 559, w przedmiocie substancji i przetworów odurzających, o której wspomina autor notatki, wymaga jedynie, aby przy przeróbce i handlu jednym ze środków odurzających, podlegających ustawie, a więc i haszyszem, było uzyskane specjalne zezwolenie Ministra Zdrowia Publicznego (obecnie Opieki Społecznej). Otrzymanie takiego zezwolenia dla celów leczniczych i naukowych nie nastręcza żadnych trudności, i Ministerjum było zawsze skłonne popierać prace naukowe, związane z użyciem lub nadużyciem środków odurzających. Pracom tym, o ile mi wiadomo, nikt nigdy nie stawał na przeszkodzie. Prof. Muszyński przysłużyłby się sprawie walki z narkomanją, gdyby zechciał zakomunikować fakty nieodpowiadające tym twierdzeniom.

Konferencja w sprawie karania za nielegalny obrót środkami odurzającemi.

Delegat portugalski złożył Radzie Ligi Narodów sprawozdanie w powyższej sprawie treści następującej: (druk Ligi Narodów Nr. 385. 1936. XI. z dnia 16 września 1936 r.).

„Konferencja w sprawie karania za nielegalny obrót środkami odurzającemi i zawarcia odpowiedniej konwencji odbyła się w Genewie w dniach od 8 do 26 czerwca 1936 r. pod przewodnictwem p. Limburga (Holandja) przy udziale delegatów 40 państw, oraz obserwatorów 2 innych państw i przedstawicieli komisji międzynarodowej policji

kryminalnej w Wiedniu (ci ostatni w charakterze biegłych i tytułem doradców (p. „Trzeźwość“ Nr. 10—11, str. 467).

Celem konferencji było przyjęcie metod o charakterze międzynarodowym, dotyczących 3 spraw, wskutek których walka z nielegalnym obrotem środkami odurzającemi okazała się szczególnie trudna:

1) W szeregu państw sankcje karne za przestępstwa, popełnione przeciw postanowieniom konwencji międzynarodowych w przedmiocie zwalczania nielegalnego obrotu środkami odurzającemi, były niedostateczne.

2) W większości krajów nawet notorycznie znane osobniki, organizujące albo ułatwiające przemyt opjumu i nnych środków odurzających, o ile osobiście nie brały bezpośredniego udziału w przechowywaniu, albo przewozie narkotyków, nie podlegają karze.

3) W wielu państwach ustawy nie przewidują wydawania winnych w razie popełnienia w innych krajach przestępstwa przeciw postanowieniom prawnym w przedmiocie nielegalnego obrotu opjumu, albo innemi narkotykami.

Konferencji udało się uzgodnić tekst konwencji. W dniu 26 czerwca 1936 r. podpisali go delegaci 25 państw (w imieniu Rządu Polskiego podpisał b. minister zdrowia publicznego Dr. Witold Chodźko, przyp. red.). Do 16 września r. b. podpisały dalsze 2 państwa. Ostateczny termin składania podpisów ustalono na dzień 31 grudnia 1936 r.

Konferencja przyjęła również Akt końcowy, zawierający pewną liczbę zaleceń, oraz Protokół podpisania.

K o n w e n c j a. Ostateczny tekst został ustalony na zasadach, przyjętych, jako podstawa projektu, złożonego Konferencji. Jednakże układ prawny projektu uległ korzystnym zmianom w ciągu interesującej dyskusji podczas Konferencji. Postanowienia Konwencji dadzą się podzielić na 3 kategorje, odpowiadające trzem poniższym zagadnieniom, a mianowicie:

a) Warunki, na których podstawie strony obowiązują się wydać niezbędne postanowienia ustawodawcze, aby karać surowo, a mianowicie więzieniem, lub innemi karami pozbawienia wolności, szereg aktów, uznanych zazwyczaj, jako objęte wyrażeniem „nielegalny obrót narkotykami“. Konwencja nadaje temu wyrażeniu szeroki sens i artykuł 2 wylicza szczegółowo te czyny, między któremi znajduje się również „udział zamierzony“ i „działania przygotowawcze“.

Konferencja przyjęła również artykuł (5), na którego podstawie Strony Układające się, których ustawy krajowe poddają reglamentacji hodowlę, zbiór i wyrób w celu otrzymania środków odurzających, wyznaczą również surowe kary za wszelkie przekroczenia tych ustaw.

b) Postanowienia, zapobiegające, aby przestępcy nie mogli się uchylić od ścigania i sankcji karnych dzięki okolicznościom natury administracyjnej, jak nieuznawanie przez niektóre państwa zasady wydawania swoich obywateli. W związku z tem artykuł 7 przewiduje, że obywatele państw, w których wydawanie obywateli nie jest przewidziane, a którzy wrócili do ojczyzny po popełnieniu zagranicą czynów, przewidzianych w artykule 2, powinni ulec karze tak, jak gdyby przestępstwo było popełnione na terytorjum kraju ojczystego.

c) Postanowienia, przewidujące zawarcie międzynarodowych

układów administracyjnych, mających na celu ułatwienie stosowania postanowień konwencji, ściganie i karanie przestępców. W związku z tem konwencja przewiduje utworzenie w każdym z krajów układających się Urzędu centralnego, powołanego do nadzorowania i koordynowania wszelkich działań, niezbędnych do zapobiegania nielegalnemu obrotowi i który winien utrzymywać ścisły kontakt z urzędami centralnemi w innych krajach.

Konwencja zawiera ponadto artykuły protokólarne, nadające Sekretarzowi Generalnemu Ligi Narodów uprawnienia, wynikające ze zwykłej procedury, dotyczącej konwencji międzynarodowych. Sądzę, że moi koledzy zgodzą się, aby Rada poleciła Sekretarzowi Generalnemu załatwienie powyższych czynności.

Chciałbym jednak w tym względzie zwrócić uwagę Rady na dwa punkty. Artykuł 16 przewiduje, że Wysokie Układające się Strony będą sobie komunikowały za pośrednictwem Sekretarza Generalnego Ligi Narodów ustawy i rozporządzenia, wydane w celu stosowania konwencji, jak również sprawozdania roczne, dotyczące działania konwencji na ich terytorjach. Aby procedurę tę możliwie uprościć i uczynić jak najmniej kosztowną, proponuję z zastrzeżeniem ewentualnych finansowych skutków, co do których jedynie Zgromadzenie mogłoby się wypowiedzieć, jako władza najwyższa, zwrócić się do rządów z prośbą, aby zamiast odrębnego sprawozdania, dotyczącego działania konwencji, wyodrębniły wszelkie posiadane w tym względzie wiadomości w osobnym rozdziale sprawozdań rocznych o obrocie opjum i innemi środkami odurzającemi, składanych obecnie Lidze Narodów.

Członkowie Rady stwierdzą, że na podstawie art. 25 konwencji Wysokie Układające się Strony obowiązują się w pewnych przypadkach zwołać konferencję w celu rewizji konwencji. Postanowienie to mogłoby zainteresować Ligę Narodów w razie, gdyby strony zamiast same zorganizować konferencję, zwróciły się do Ligi z prośbą o przyjęcie na siebie tego zobowiązania. Jestem pewien, że w razie takiej ewentualności Rada i Zgromadzenie, pozostawiając sobie zupełną swobodę decyzji, rozpatrzyłyby każde podobne zgłoszenie w duchu życzliwego współdziałania.

Będę z pewnością wyrazicielem uczuć konferencji, jeśli zaznaczę z żalem, że delegacja Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej uchyliła się od podpisania konwencji, ponieważ nie zawiera ona zasady ścigania, jako przestępstwo użycia opjum do palenia. Chociaż przedstawiciele wszystkich państw są zgodni w dążeniu do całkowitego zakazu palenia opjum, większość jednak uznaje, że zastosowanie tego środka nie może być natychmiast urzeczywistnione i wywołałoby jedynie znaczne zwiększenie obrotu nielegalnego. Aby możliwie w najwyższym stopniu zadowolnić delegację amerykańską, przyjęto zalecenie, umieszczone w Akcie końcowym, o którem będę mówił poniżej. Rada zechce bezwątpienia wyrazić życzenie, aby zastrzeżenia, wysunięte przez delegację amerykańską, mogły być w jak najprędszym czasie usunięte i aby Rząd Stanów zdecydował się na podpisanie i ratyfikację Konwencji.

W końcu proponuję, aby Rada zechciała wyrazić uznanie dla poważnego dzieła, dokonanego przez konferencję, dla poświęcenia i umiejętności jej wybitnego przewodniczącego, oraz życzenie, aby rządy ze-

chciały jak najprędzej złożyć dokumenty ratyfikacji, lub przystąpienia tak, aby nowa konwencja, której konieczność była kilkakrotnie podnoszona przez Zgromadzenie i Radę, mogła znaleść jak najszybsze zastosowanie w celu skutecznego zwalczania nielegalnego obrotu narkotykami.

II. A k t k o ń c o w y. Akt ten zawiera 4 zalecenia. Pierwsze i najważniejsze dotyczy artykułu 6 konwencji haskiej z r. 1912, omawiającego stopniowe istotne zniesienie fabrykacji, handlu wewnętrznego i użycia opjum preparowanego. Powołując się na ten artykuł, konferencja skierowała wezwanie do państw zainteresowanych, prosząc o dalsze wysiłki w kierunku jak najszybszego zniesienia użycia opjum do palenia; zaleciła również, aby rządy, które zgadzają się jeszcze na używanie opjum dla innych celów niż cele lecznicze i naukowe, w dalszym ciągu i jeszcze usilniej stosowały wszelkie środki skuteczne w kierunku zniesienia tego zwyczaju w czasie możliwie najkrótszym.

Jestem przekonany, że Rada, ożywiona tą samą troską, co konferencja, zechce polecić Sekretarzowi Generalnemu przesłanie tego zalecenia rządom zainteresowanym, wysyłając to wezwanie łącznie w imieniu Rady i konferencji.

Drugie zalecenie konferencji dotyczy sposobów, ułatwiających wydawanie obywateli, trzecie zaś dotyczy policji specjalnej. Proponuję również zwrócenie szczególnej uwagi rządów przez Sekretarza Generalnego na te zalecenia, zobowiązując je do zastanowienia się nad możliwością wprowadzenia ich w życie.

Wreszcie czwarte zalecenie przewiduje wspólne wystąpienie Komisji Doradczej i Rady; konferencja zaleca, aby Komisja Doradcza handlu opjum i innemi środkami odurzającemi rozpatrzyła celowość zwołania przedstawicieli Urzędów centralnych Wysokich Układających się Stron w celu zapewnienia, pogłębienia i rozszerzenia współdziałania międzynarodowego, przewidzianego w konwencji oraz ewentualnego wystąpienia z wnioskiem na Radę Ligi Narodów.

Proponuję, aby Rada poleciła Komisji Doradczej rozpatrzenie tej sprawy podczas następnej sesji łącznie z ewentualną jej stroną finansową i złożenie Radzie sprawozdania.

podała *Marja Sokalówna.*

K R O N I K A.

XXI MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRZECIWALKOHOLOWY W WARSZAWIE (12—17.IX. 37) odbędzie się w Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego pod Wysokim Protektoratem Pana *Prezydenta Rzeczypospolitej.* Prace organizacyjne Pol. Komitetu Org. są w pełnym toku. Rząd Polski rozesłał zaproszenia do wszystkich Rządów, z którymi znajduje się w stosunkach dyplomatycznych. Z szeregu krajów zapowiedziane są na Kongres wycieczki harcerskie. Niedługo zostanie ogłoszony program Kongresu.

DOROCZNY ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ TOW. „TRZEŹWOŚĆ" LEKARZY ABSTYNENTÓW I POKREWNYCH ORGANIZACYJ odbędzie się dn. 2 i 3 maja b. r. w Warszawie w lokalu Tow. (Oboźna 4). Szczegółowy program zostanie rozesłany osobno.

UCHWAŁA ZARZĄDU GŁ. TOW. „TRZEŹWOŚĆ". — Na posiedzeniu Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość" zapadła jednomyślnie następująca uchwała:

„Polskie Towarzystwo Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość" jakkolwiek ściśle apolityczne, uważa za obowiązek patrjotyczny zgłosić niniejszym swoje przystąpienie do Obozu Zjednoczenia Narodowego — w przekonaniu, że zwalczanie alkoholizmu jest pracą dla Polski, której obronność wymaga niezbędnie trzeźwości.

Z tego względu Zarząd Główny Towarzystwa uchwałą z dnia 6.III. 1937 r. oddaje swoją działalność społeczną do dyspozycji Władz organizacyjnych Obozu Zjednoczenia Narodowego".

XV ZJAZD LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH odbędzie się we Lwowie w dniach 4—7 lipca b. r. — Komitet Organizacyjny Zjazdu (Prof. Dr. R. Rencki, Przewodniczący, Zastępca Przewodniczącego, Prof. Dr. D. Szymkiewicz, Sekr. Gener. dla nauk lekarsk. Prof. Dr. W. Koskowski, Sekr. Gener. dla nauk przyrodn. Prof. Dr. M. Kamieński, Skarbnik Prof. Dr. A. Zakrzewski, Sekretarz Dr. J. Papierkowski) utworzył trzydzieści kilka Sekcyj; wśród nich — Sekcję Przeciwalkoholową, powołując na gospodarza tej Sekcji p. red. Jana Szymańskiego, do którego też należy zgłaszać referaty i komunikaty na Sekcję Przeciwalkoholową. Ostateczny termin przesyłania zgłoszeń — 10 kwietnia. *Adres:* Red. Jan Szymański, Warszawa, ul. Fałata 4, m 1. (Na ostatnim, XIV Zjeździe Lek. i Przyr. Pol. w Poznaniu czynna była Podsekcja Przeciwalkoholowa). Na *plenarnem* posiedzeniu Zjazdu we Lwowie na temat alkoholizmu wygłosi referat p. Doc. Dr. Gustaw Szulc, Dyrektor Państwowego Zakładu Higjeny.

AKADEMJA TRZEŹWOŚCI i WYSTAWA PRZECIWALKOHOLOWA, urządzone w Warszawie przez Tow. „Trzeźwość" w związku z „Tygodniem Propagandy Trzeźwości" udały się znakomicie — sprawozdanie w przyszłym numerze.

„DEKADY TRZEŹWOŚCI", urządzane co 10 dni przez Zarz. Gł. Tow. „Trzeźwość" (Oboźna 4), cieszą się stałem, dużem powodzeniem. Na najbliższych „Dekadach" przemawiać będą:

30. marca — Harcmistrz *Wiktor Szyryński:* „Zainteresowania kulturalne młodego pokolenia".

10. kwietnia — Dr. *Ryszard Dreszer:* „Z doświadczeń biegłego sądowego psychjatry".

20. kwietnia — ks. Reg. Dr. *Władysław Padacz:* „Zagadnienia prawne w walce z alkoholizmem".

30. kwietnia — Dr. *Stanisław Stypułkowski:* Najważniejsze problematy społeczne i sprawa alkoholizmu.

Po odczytach część muzyczna. Początek o godz. 20 punktualnie. Wstęp bezpłatny.

Ś. P. DR. STANISŁAW SKALSKI, wielkich zasług działacz społeczny i przeciwalkoholowy, zmarł dn. 5.II. r. b. w Łodzi. Śmierć Jego stanowi ogromną i bolesną stratę dla naszego ruchu. Obszerniejsze wspomnienie zamieścimy w nast. numerze.

GRODZISK MAZOWIECKI. Dn. 28.II r. b. z inicjatywy p. Ogłazy, kierownika miejscowego Centr. Tow. Org. i Kółek Roln. i p. Żakiewiczówny, kierowniczki Kół Gospodyń Wiejsk. tegoż Tow. w Grodzisku odbył się „Dzień Przeciwalkoholowy". Odczyt dla dzieci szkolnych (około 200) wygłosił w sali K. K. O. p. red. J. Szymański, który też mówił na Zjeździe delegatek Kół Gospodyń Wiejskich, przemawiał tam również p. sen. A. Iżycki. Wieczorem odczyt przeciwalkoholowy (z przezroczami) wygłosił w przepełnionej sali K. K. O. p. Dr. Z. Rozen. W wyniku tych wszystkich odczytów powstała myśl zorganizowania następnego „Dnia Trzeźwości" — ma się on odbyć